

**Agatha Christie**

**Hotel „Bertram”**

Tłumaczyła Krystyna Bockenheim

Tytuł oryginału: At Bertram's Hotel

# Rozdział pierwszy

W samym sercu West Endu znajduje się wiele cichych zaułków, nie znanych nikomu oprócz kierowców taksówek, którzy poruszają się w nich nader sprawnie i przedostają się tędy do Park Lane, Berkeley Square czy South Adley Street.

Jeśli wyjdziecie z Parku i skręcicie kilka razy w prawo i w lewo, znajdziecie się na spokojnej ulicy, przy której po prawej stronie ujrzycie hotel „Bertram”, stojący tam od dawna. W czasie wojny zostały zburzone domy po jego prawej stronie, a po lewej ocalało zaledwie kilka przylegających doń budynków. „Bertram” pozostał nietknięty. Oczywiście nie uniknął — jakby powiedział agent biura sprzedaży — zadraśnień, uszkodzeń i ran, ale został przywrócony do pierwotnego stanu niewielkim kosztem. W roku 1955 był dokładnie tak jak w 1939 — dystyngowany, skromny i dyskretnie kosztowny. Taki był hotel „Bertram”, od dawna przez długie lata służący wyższemu duchowieństwu, bogatym wdowom z arystokratycznych rodów z prowincji i dziewczętom jadącym z zagranicznych ekskluzywnych szkół do domu na wakacje. „Jest tak niewiele miejsc w Londynie, gdzie może zatrzymać się samotna dziewczyna — mawiano — ale oczywiście u »Bertrama« jest to zupełnie na miejscu. Zajeżdżamy tam od lat”.

Naturalnie było wiele hoteli prowadzonych na wzór „Bertrama”. Kilka jeszcze istnieje, ale w niemal wszystkich dał się odczuć powiew zmian. Musiały się unowocześnić, aby zadowolić różnorodną klientelę. U „Bertrama” również to i owo zmieniono, lecz zrobiono to tak dyskretnie, że przeróbki nie rzucały się w oczy.

Przed schodami prowadzącymi do wielkich, wahadłowych drzwi, stał ktoś, kto na pierwszy rzut oka wydawał się co najmniej feldmarszałkiem. Złote szamerowania i wstęgi orderowe zdobiły szeroką, męzną pierś. Jego postawa była nienaganna. Kiedy połamany reumatyzmem gość wylaniał się z taksówki, portier otaczał go czułą troską, wprowadzał ostrożnie po schodach i pilotował przez bezszelestnie kołyszące się drzwi wejściowe.

Hotel miał, rzecz jasna, centralne ogrzewanie, ale zamontowane tak umiejętnie, że prawie niewidoczne. Jak dawniej, w dużym głównym hallu stały dwa wspaniałe węglowe piece, a wielkie, mosiężne pojemniki między nimi, wypełnione właściwej wielkości kawałkami węgla, błyszcząły tak, jakby pucowały je edwardiańskie służące. Wokół panowała czerwona, pluszowa przytulność. Fotele również pochodziły z ubiegłego wieku. Były dostatecznie wysokie, aby stare, zartretyzowane damy nie musiały wysilać się w mało dystyngowany sposób, chcąc stanąć na nogi. Siedzenia foteli nie kończyły się, jak większość modnych, kosztownych mebli, w połowie uda, powodując męczarnie cierpiących na gościec lub ischias; nie były leż wszystkie jednakowego kształtu. Miały oparcia proste lub nachylone, oraz różne szerokości, stosowne i dla chudych, i dla otyłych. Goście wszystkich rozmiarów mogli u „Bertrama” znaleźć wygodne siedzisko.

Ponieważ zbliżała się właśnie godzina piąta, hall wypełnił się gośćmi, choć nie było to jedyne miejsce, w którym podawano herbatę. Był jeszcze salon, palarnia (dzięki jakimś tajemnym wpływom zarezerwowana wyłącznie dla panów) z głębokimi fotelami pokrytymi cienką skórą, dwa gabinety,

dokąd można było zaprosić przyjaciół i przyjemnie poplotkować w spokojnym kącie, a także napisać list, jeśli się miało ochotę. Obok tych rozkosznych powabów epoki edwardiańskiej hotel oferował i inne przyjemności, bynajmniej nie reklamowane, ale znane tym, którzy do nich tęsknili. Był więc podwójny bar z dwoma barmanami: Amerykaninem, obsługującym rodaków, dbającym, aby się czuli jak u siebie: zaopatrywał ich w whisky, żytniówkę i wszelkiego rodzaju koktajle, oraz Anglikiem, który podawał sherry i Pimrna Nr 1, a z panami w średnim wieku, zatrzymującymi się u „Bertrama” przed poważniejszymi gonitwami, rozprawiał ze znanstwem o wyścigach w Ascot i Newbury. Była także ukryta dyskretnie wśród korytarzy sala telewizyjna dla tych, którzy o nią pytali.

Jednak ulubionym miejscem popołudniowej herbaty był wielki, wejściowy hall. Starsze damy znajdowały przyjemność w obserwowaniu, kto wchodzi lub wychodzi, rozpoznając starych przyjaciół i robiąc niezyczliwe uwagi o tym, jak się zestarzelili. Siedzieli tam przyjezdni Amerykanie, olśnieni widokiem autentycznych utytułowanych Brytyjczyków, schodzących na tradycyjną, popołudniową herbatę. Bowiem popołudniowa herbata stanowiła prawdziwą specjalność „Bertrama”.

Był to wspaniały obrządek. Rytuałowi patronował Henry, imponująca osobistość około pięćdziesiątki, dobrotliwy, życzliwy, z wytwornymi manierami — kamerdyner doskonały. Właściwą pracę, pod surowym okiem Henry’ego, wykonywał szczupły młodzieniec. Podawano duże, zdobne herbami srebrne lace i georgiańskie, też srebrne, czajniki. Porcelana — nawet jeśli nie prawdziwy Rockingham i Davenport — wyglądała równie szacownie. Szczególnie lubiane były serwisy Blind Earl. Herbata Wyłącznie w najlepszych gatunkach, do wyboru: indyjska, cejlońska, Dar—jeeling, Lapsang itd. A do herbaty można było poprosić o wszystko, co się lubiło — i dostać to!

Tego właśnie dnia, siedemnastego listopada, lady Selina Hazy, sześćdziesięcioletnia dama z Leicestershire, jadła znakomite, maślane bułeczki z apetytem właściwym starszym paniom.

Jej zaabsorbowanie podwieczorkiem nie było jednak aż tak wielkie, by nie pozwalało, ilekroć otwierały się wewnętrzne drzwi wahadłowe, rzucać przenikliwych spojrzeń na nowo przybyłą osobę.

Zauważyła i powitała uśmiechem i skinieniem głowy pułkownika Derka Luscombe’a, wyprostowanego po żołniersku, z wiszącą na szyi lornetką. Przywołała go władczym ruchem i za moment Luscombe rzeczywiście do niej podszedł.

— Halo, Selina, co cię sprowadza do miasta?

— Dentysta — odparła lady Selina trochę niewyraźnie z powodu żutej bułeczki. — A jadąc pomyślałam, że mogłabym też pójść do tego człowieka na Harley Street w sprawie mojego artretyzmu. Wiesz, o kim mowa.

Chociaż na Harley Street praktykowało kilkuset modnych specjalistów od wszelkich dolegliwości, Luscombe wiedział, o kogo chodziło.

— Pomógł ci?

— Raczej tak — rzekła lady Selina powściągliwie.

— Dziwny człowiek. Ujął moją szyję, kiedy niczego się nie spodziewałam, i skręcił ją, jak kurczęciu — poruszyła ostrożnie głową.

— Zrobił ci krzywdę?

— Bardzo możliwe, ale naprawdę nie miałam czasu sprawdzić — nadal ostrożnie kręciła szyją. — Czuję się dobrze. Pierwszy raz od lat mogę spojrzeć przez prawe ramię.

Zademonstrowała to natychmiast i zawołała:

— Ależ to chyba Jane Marple! Myślałam, że od lat nie żyje. Wygląda, jakby miała co najmniej setkę na karku.

Pułkownik Luscombe rzucił okiem w kierunku „wskrzeszonej” Jane Marple, ale bez większego zainteresowania. „Bertram” był zawsze pełen osób, które nazywał omszałymi, starymi pannami.

— Jedyne miejsce w Londynie — ciągnęła lady Selina — gdzie można jeszcze dostać maślane bułeczki. Prawdziwe maślane bułeczki. Wiesz, kiedy pojechałam do Ameryki w zeszłym roku, mieli w menu śniadaniowym coś, co nazywali maślanymi bułeczkami. Rodzaj półśłodkiej bułki z rodzynekami. Zastanawiam się, dlaczego je tak nazywają.

Przełknęła ostatni kąsek i rozejrzała się niezdecydowanie. Henry natychmiast się zmaterializował. Nie szybko czy pośpiesznie. Po prostu nagle się tam znalazł.

— Czy mogę podać coś jeszcze, proszę pani? Jakies ciasto?

— Ciasto? — powtórzyła z powątpiewaniem lady Selina.

— Mamy bardzo dobry placek anyżowy. Mogę go polecić.

— Placek anyżowy? Nie jadłam tego od wieków. Prawdziwy placek anyżowy?

— O tak, proszę pani. Szef kuchni mi ten przepis od lat. Będzie pani zadowolona, jestem pewien.

Henry rzucił spojrzenie komuś ze swojej świty i boy oddalił się w poszukiwaniu placka.

— Przypuszczam, że byłeś w Newbury, Derek?

— Tak. Przekłęte zimno, nie czekałem na dwa ostatnie biegi. Fatalny dzień. Ta źrebica Harry’ego wcale nie była dobra.

— Tak myślałam. A co ze Swanhildą?

— Przyszła czwarta. — Luscombe podniósł się. — Muszę zobaczyć, co z moim pokojem.

Poszedł w stronę recepcji, obserwując po drodze stoliki i siedzących przy nich gości. Ogromnie dużo ludzi przychodziło tu na herbatę. Zupełnie jak w starych, dobrych latach. Od czasów wojny podwieczorek z herbatą wyszedł raczej z mody. Najwyraźniej jednak nie u „Bertrama”. Kim byli ci wszyscy ludzie? Dwóch kanoników i dziekan z Chislehampton. A tamta para nóg w getrach, w rogu, należy do samego biskupa! Zwyczajni pastorki bywali tutaj rzadkością.

— Trzeba być co najmniej kanonikiem, żeby pozwolić sobie na „Bertrama” — pomyślał. — Przeciężnych duchownych na pewno na to nie stać. A jeżeli już o to idzie, ciekawe jak, na Boga, stać na ten hotel takich, jak stara Selina Hazy. Ma tylko parę groszy rocznie. No proszę, jest tu też lady Berry i pani Posselthwaite z Somerset i Sybill Kerr — wszystkie biedne jak myszy kościelne.

Zamyślony dotarł do recepcji, gdzie został mile powitany przez królującą tu pannę Gorringe. Panna Gorringe była starą przyjaciółką pułkownika. Znała każdego klienta i podobnie jak monarchowie, nigdy nie zapominała twarzy. Wyglądała staroświecko, ale godnie. Kędzierzawe, żółtawe włosy (zapewne kręcone na przedpotopowej lokówce), czarna, jedwabna suknia, wyniosły biust, na którym spoczywał wielki, złoty medalion i brosza z kameą.

— Numer czternasty — powiedziała panna Gorringe. — Wydaje mi się, że miał pan ostatnio czternastkę i odpowiadała panu, panie pułkowniku. Jest spokojna.

— Nie mogę pojąć, jak potrafi pani zapamiętywać te wszystkie szczegóły, panno Gorringe.

— Pragniemy, aby nasi starzy przyjaciele mieszkali wygodnie.

— Wchodząc tutaj cofam się o wiele lat. Wszystko wydaje się nie zmienione.

Przerwał, gdyż pan Humfries wyszedł z wnętrza swego sanktuarium, aby go powitać.

Pan Humfries bywał często uważany przez nie wtajemniczonych za pana Bertrama we własnej osobie. Kto był właścicielem hotelu naprawdę, a właściwie czy w ogóle istniał jakiś pan Bertram, rozplynęło się we mgłę przeszłości. Hotel działał od roku 1840, ale nikt nie był zainteresowany badaniem jego historii. Po prostu stał sobie, solidny, rzeczywisty. Kiedy do Humfriesa zwracano się jako do pana Bertrama, nigdy nie rozwiewał złudzeń. Jeżeli chciano, żeby był Bertramem, to był nim. Pułkownik Luscombe znał jego nazwisko, choć nie miał pojęcia, czy Humfries był zarządzającym, czy właścicielem. Sądził, że raczej tym ostatnim.

Pan Humfries, mężczyzna około pięćdziesiątki, miał dobre maniery i prezencję ministra. Potrafił w każdej chwili służyć radą na każdy temat. Mógł rozmawiać o wyścigach, krykiecie, polityce zagranicznej, opowiadać anegdoty o rodzinie królewskiej, udzielać informacji o wystawie samochodowej, znał najbardziej interesujące aktualnie grane sztuki, radził Amerykanom, co obowiązkowo powinni obejrzeć podczas krótkiego pobytu w Anglii. Miał miarodajne informacje o tym, gdzie mogą zjeść obiad ludzie różnych upodobań i dochodów. Przy tym wszystkim nie pospolitował się zbyt. Nie bywał łatwo dostępny. Panna Gorringe miała te same wiadomości w małym palcu i również mogła ich udzielać. W krótkich przerwach pan Humfries ukazywał się na horyzoncie jak słońce i łechtał czyjaś próżność swoim osobistym zainteresowaniem.

Tym razem został uhonorowany pułkownik Luscombe. Wymienili kilka banalnych uwag na temat wyścigów, ale pułkownik był zbyt zaabsorbowany swoim problemem, by nie skorzystać z obecności człowieka, który mógł dać mu odpowiedź.

— Powiedz mi pan, Humfries, w jaki sposób ci wszyscy staruszkowie mogą sobie pozwolić na pobyt tutaj?

— Och, tego jest pan ciekaw? — pan Humfries zdawał się ubawiony. — Odpowiedź jest prosta. Otóż nie mogą sobie pozwolić. Tylko że... — przerwał.

— Tylko że macie dla nich specjalne ceny? Tak?

— Mniej więcej. Zazwyczaj nie wiedzą, że ceny są inne, albo jeśli zdają sobie sprawę, sądzą, że to ulgi dla stałych gości.

— A nie jest tak?

— Cóż, ja prowadzę hotel. Naprawdę nie mogę sobie pozwolić na stratę pieniędzy.

— Więc jak się to panu opłaca?

— To kwestia atmosfery... Obcokrajowcy przyjeżdżający do nas (zwłaszcza Amerykanie, bo tylko oni posiadają pieniądze) mają własne, dosyć dziwne wyobrażenie o tym, jaka jest Anglia. Nie mówię o potentatach przemysłowych — ci zazwyczaj zajeżdżają do „Savoyu” lub „Dorchester”. Życzą sobie nowoczesnych wnętrz, amerykańskiej kuchni, wszystkiego co sprawia, że czują się tu jak w domu. Jest jednak wielu ludzi, którzy rzadko wyjeżdżają za granicę i spodziewają się, że ten kraj jest... no, nie cofnę się aż do Dickensa, ale czytali Cranford Mary Gaskell i znakomitą prozę Henry’ego Jamesa, i chcą, żeby ten kraj był taki, jaki znają z lektury. Więc gdy wracają do domu, opowiadają: „Jest w Londynie cudowne miejsce: hotel »Bertram«. Zupełnie, jakby czas cofnął się o sto lat. To jest właśnie stara Anglia! A ludzie, którzy się tam zatrzymują! Ludzie, których nie spotka się nigdzie indziej. Wspaniałe, stare księżne. Podają tam wszystkie dawne, angielskie potrawy: zachwycający, staroświecki pudding! — nigdy nie próbowaliście takiego; a polędwica wołowa! a comber barani! a tradycyjna, angielska herbata i znakomite, angielskie śniadania! I naturalnie wszystkie inne równie dobre angielskie specjalności. I jest zadziwiająco wygodnie. I ciepło. Ogromne, płonące kłody”.

Pan Humfries przerwał swój monolog i pozwolił sobie na coś zbliżonego do szerokiego uśmiechu.

— Rozumiem — powiedział Luscombe w zamyśleniu. — Ci ludzie, podupadli arystokraci, zubożali członkowie starych, ziemiańskich rodzin tworzą po prostu scenerię?

Pan Humfries skinął potakująco głową:

— Doprawdy dziwię się, że nikt inny nie wpadł na ten pomysł. Oczywiście zastałem hotel już tak przygotowany. Wszystko zostało odrestaurowane. Ludzie przyjeżdżający tutaj myślą, że odkryli to miejsce jako jedyni, że nikt inny o nim nie wie.

— Przypuszczam — rzekł Luscombe — że odnowienie kosztowało dużo?

— O tak. Lokal ma wyglądać na edwardiański, ale musi zapewniać gościom nowoczesny komfort, uważany dziś za rzecz oczywistą. Nasi starszacy — jeśli wybaczy pan, że tak ich nazwę — powinni odnosić wrażenie, że od przełomu stuleci nic się tu nie zmieniło, zaś naszym podróżującym zagranicznym klientom zapewniamy stylowe otoczenie i tradycyjne menu, a jednocześnie wszystkie wygody, jakie mają w domu, bez których po prostu nie potrafią żyć!

— Trochę trudno to czasami pogodzić? — podsunął Luscombe.

— Wcale nie. Weźmy na przykład centralne ogrzewanie. Amerykanie wymagają — wręcz muszą mieć — przynajmniej o dziesięć stopni Fahrenheita więcej niż Anglicy. Mamy więc dwa rodzaje sypialni. W jednych umieszczamy Anglików, w drugich Amerykanów. Pokoje wyglądają jednakowo, ale w istocie różnią się znacznie — elektryczne maszynki do golenia, prysznic i brodziki zainstalowaliśmy tylko w „amerykańskich” łazienkach. Jeśli życzy pan sobie zjeść amerykańskie śniadanie, proszę: płatki zbożowe, sok pomarańczowy z lodu i tak dalej, ale może pan zamówić też śniadanie angielskie.

— Jajka i bekon?

— Tak się mówi, w rzeczywistości jednak znacznie więcej, jeśli pan sobie życzy. Śledzie wędzone, cynaderki, bekon, kuropatwy na zimno, szynka jorkszyrska, dżem pomarańczowy.

— Muszę pamiętać o tym wszystkim jutro rano. W domu nie dostaje się już takich rzeczy.

Humfries uśmiechnął się:

Większość panów prosi tylko o jajka i bekon. Cóż, odwykli od dawnych specjałów.

— Tak, tak... Pamiętam, kiedy byłem dzieckiem... Kredens uginał się pod gorącymi daniami. To było luksusowe życie.

— Staramy się dać ludziom wszystko, czego tu oczekują.

— Razem z anyżowym plackiem i maślanymi bułeczkami, tak, wiem. Każdemu według jego potrzeb, rozumiem... Zupełny marksizm.

— Słucham?

— To tylko przelotna myśl, Humfries. Zderzenie się przeciwieństw.

Pułkownik Luscombe odwrócił się, biorąc klucz podany przez pannę Goringc. Boy podbiegł i odprowadził go z uszanowaniem do windy. Przechodząc zobaczył, że Selina Hazy siedzi teraz ze swoją przyjaciółką Janc Jakąstam, czy inną.

# Rozdział drugi

— Wciąż mieszkasz w tym kochanym St Mary Mead? — zapytała lady Selina. — To bardzo miłe, nie zepsute miasteczko. Często o nim myślę. Takie samo jak zawsze, prawda?

— No, niezupełnie — panna Marple zastanowiła się nad ewolucją swego miejsca zamieszkania. Nowe osiedle. Rozbudowa Village Hall, High Street z nowoczesnymi witrynami sklepów; westchnęła: — Sądzę, że trzeba akceptować zmiany.

— Postęp — powiedziała lady Selina z roztargnieniem. — Chociaż często wydaje mi się, że to nie jest postęp. Pomyśl o eleganckich urządzeniach łazienkowych, które dziś mamy. Są we wszystkich kolorach i znakomicie, jak to mówią, „wykończone”, ale czy można któreś z nich „pociągnąć” albo nacisnąć, jeśli jest innego rodzaju? Za każdym razem, kiedy idziesz do przyjaciół, znajdujesz w klo kilka różnych informacji: „Nacisnąć mocno i puścić”, „Przesunąć w lewo”, „Zwolnić szybko”. A w dawnych czasach, gdy tylko pociągnęło się rączkę w jakikolwiek sposób, natychmiast spływał wodospad... A oto i kochany biskup z Medmenham — lady Selina przerwała na widok starszego, przystojnego duchownego, który właśnie przechodził obok. — Obawiam się, że jest prawie ślepy. Ale to taki wspaniały kapłan.

Wzmianka o duchownym dała upust rozpoznawaniu przez lady Selinę licznych przyjaciół i znajomych, którzy często nie byli tymi, za których ich brała. Poplotkowały troszkę z panną Marple o „starych, dobrych czasach”, choć edukacja tej ostatniej różniła się oczywiście od wychowania lady Seliny, a ich wspomnienia ograniczały się do kilku lat, kiedy to lady Selina jako świeża wdowa, z poważnie ograniczonymi środkami utrzymania, wynajęła mały domek w St Mary Mead; w owym czasie jej drugi syn stacjonował w pobliskiej jednostce lotnictwa.

— Zawsze zatrzymujesz się tu, Jane? Dziwne, że nie widziałam cię przedtem.

— Och, skądże! Nie mogę sobie na to pozwolić, a poza tym w ostatnich czasach rzadko opuszczam dom. Nie, to moja siostrzenica była tak miła i zaprosiła mnie na krótką wizytę do Londynu. Joan jest bardzo dobrą dziewczyną, no, może trudno nazwać ją dziewczyną.

— Panna Marple pomyślała z niepokojem, że Joan musi mieć teraz około pięćdziesięciu lat. — Wiesz, jest malarką. Dosyć znaną. Joan West. Miała niedawno wystawę.

Lady Selina niezbyt interesowała się malarstwem, a prawdę mówiąc, innymi dziedzinami sztuki również. Patrzyła na pisarzy, malarzy i muzyków, jak na okazy zdolnych, tresowanych zwierząt. Traktowała ich pobłażliwie, ale w duchu dziwiła się, dlaczego mają ochotę robić to, co robią.

— Pewnie te nowomodne głupstwa — powiedziała, błędząc oczami po hallu. — O, jest Cicely Longhurst — widzę, że znowu przefarbowała włosy.

— Obawiam się, że kochana Joan jest dosyć nowoczesna.



Tu panna Marple była w błędzie. Joan West była nowoczesna jakieś dwadzieścia lat wcześniej, lecz teraz młodzi, awangardowi malarze uważali ją za zupełnie staroświecką.

Rzuciwszy krótkie spojrzenie na włosy Cicely Longhurst, panna Marple powróciła do rozpamiętywania życzliwości Joan, która powiedziała któregoś dnia do męża:

— Chcę, żebyśmy zrobili coś dla biednej, starej ciotki Jane. Ona nigdy nie wyjeżdża z domu. Myślisz, że zechce pojechać do Bournemouth na tydzień czy dwa?

— Dobry pomysł — odparł Raymond West. Jego ostatnia książka cieszyła się naprawdę dużym powodzeniem i był usposobiony wspaniałomyślnie.

— Sądzę, że była zadowolona z wycieczki do Indii Zachodnich, chociaż szkoda, że została wmieszana w sprawę morderstwa. Zupełnie niestosowna rzecz w jej wieku.

— Chyba ma szczęście do takich zdarzeń. Raymond bardzo lubił starą ciotkę żony, obmyślał dla niej niespodzianki i wysyłał książki, które jego zdaniem mogły ją zainteresować. Dziwił się, gdy uprzejmie odmawiała przyjazdu, a choć zawsze mówiła, że książki były „niezmiernie zajmujące”, podejrzewał czasem, że w ogóle ich nie czytała. Co prawda, miała jakieś kłopoty z oczami.

W tej ostatniej kwestii mylił się. Panna Marple miała, jak na swój wiek, wzrok godny podziwu i właśnie w tym momencie ogarniała z żywym zainteresowaniem i przyjemnością wszystko, co się działo dookoła.

Na propozycję spędzenia jednego lub dwóch tygodni w którymś z najlepszych hoteli w Bournemouth, zawahała się:

— To ogromnie miłe z twojej strony, kochanie, ale doprawdy nie sądzę...

— Ależ to zdrowo dla ciebie, ciociu Jane. Dobrze jest czasem wyjechać z domu. Zmiana otoczenia dostarcza nowych wrażeń i świeżych tematów do rozmyślań.

— Masz zupełną rację, Joan. Chętnie wyjechałabym dokądś, może nie do Bournemouth.

Joan była nieco zdziwiona. Uważała, że Bournemouth mogło być Mekką dla ciotki.

— A Eastbourne? Albo Torquay?

— To, czego pragnęłabym rzeczywiście... — panna Marple zawahała się.

— Słucham, ciociu?

— Pomyślisz pewnie, że to głupio z mojej strony...

— Możesz być przekonana, że nie. (Dokąd też staruszka chce jechać?)

— Tak naprawdę, chciałabym pojechać do Londynu i zatrzymać się w hotelu „Bertram”.

— W hotelu „Bertram”? — nazwa wydała się Joan mgliście znajoma.

Panna Marple zaczęła mówić pośpiesznie:

— Mieszkałam tam raz, kiedy miałam czternaście lat. Z ciotką i wujem Tomaszem, tym kanonikiem w Ely. Nigdy tego nie zapomniałam. Gdybym mogła zatrzymać się tam! Tydzień wystarczyłby w zupełności; dwa tygodnie to zbyt kosztowne.

— W porządku. Pojedziesz do hotelu „Bertram”. Powinnam była pomyśleć, że możesz mieć ochotę na podróż do Londynu — sklepy i inne rozrywki. Załatwimy to, jeżeli ten hotel jeszcze istnieje. Tak wiele hoteli znikło po wojnie: jedne zbombardowano, inne po prostu zlikwidowano.

— Nie, przypadkowo wiem, że ten jeszcze jest. Dostałam stamtąd list od mojej amerykańskiej przyjaciółki Amy Mc Allister z Bostonu. Mieszka tam z mężem.

— Dobrze, zatem nie zwlekając załatwię to — powiedziała Joan. — Obawiam się, że wiele się zmieniło od czasu, kiedy tam byłaś. Nie bądź więc rozczarowana.

Hotel „Bertram” jednak nie zmienił się. Był właśnie taki, jak dawniej. Według panny Marple, po prostu cudowny. W istocie była ciekawa...

Wszystko zdawało się zbyt piękne, aby mogło być prawdziwe. Ze zwykłą jej bystrością i zdrowym rozsądkiem, zdawała sobie sprawę, że pragnęła zwyczajnie odświeżenia wspomnień w dawnych, oryginalnych barwach. Większość czasu spędzała na wspominaniu minionych przyjemności. Jeśli tylko udało się znaleźć kogoś, z kim można było snuć wspomnienia, czuła się uszczęśliwiona. Nie było to już łatwe. Przeżyła większość swoich rówieśników. Wciąż jednak rozpamiętywała dawne dzieje. W dziwny sposób przywracało jej to chęć do życia... Jane Marple, ruchliwa, biało-różowa dziewczynka, pod wieloma względami taka głupiutka. Zaraz, zaraz, kto to był, ten bardzo nieodpowiedni młody człowiek, który nazywał się... och, nie potrafiła sobie już tego przypomnieć! Jak mądrze postąpiła matka, tłumiąc tę przyjaźń w zarodku. Spotkała go wiele lat później — i rzeczywiście był zupełnie okropny! A w tamtym czasie płakała w poduszkę co najmniej przez tydzień!

Natomiast obecnie... ach, te młode biedactwa. Niektóre z nich miały matki, ale nie takie, jak trzeba, które potrafiłyby uchronić córki przed głupimi przygodami, nieślubnymi dziećmi i wczesnymi, a nieszczęśliwymi małżeństwami. Wszystko to było bardzo smutne.

Głos przyjaciółki przerwał te rozważania.

— A to dopiero! Czyżby... tak, to Bess Sedgwick, tam, po drugiej stronie! Spośród wszystkich nieprawdopodobnych miejsc...

Panna Marple jednym uchem słuchała objaśnień lady Seliny na temat zgromadzonych w hallu. Obracały się w różnych kręgach, więc nie była w stanie wymieniać z nią plotek dotyczących znajomych i przyjaciół, których lady Selina rozpoznawała, bądź zdawało się jej, że rozpoznaje.

Jednak Bess Sedgwick to co innego. To nazwisko znał w Anglii każdy. Od ponad trzydziestu lat

Bess Sedgwick była bohaterką rozmaitych skandalilub niezwykłych wydarzeń. Przez większą część wojny działała we francuskim Ruchu Oporu i, jak mówiono, miała na pistolecie sześć nacięć, oznaczających sześć celnych strzałów do Niemców. Przed laty przeleciała samotnie Atlantyk, przejechała też konno Europę i dotarła do jeziora Wan. Prowadziła wyścigowy samochód, uratowała kiedyś dwoje dzieci r. płonącego domu, miała na koncie kilka małżeństw, przyzwoitych imaćo zaszczytnych, a także, według niektórych, była jedną z najlepiej ubranych kobiet w Europie. Utrzymywano również, że udało się jej zakraść na pokład atomowej łodzi podwodnej w czasie próbnego rejsu.

I dlatego, panna Marple wyprostowała się i przyjrzała Bess z żywym zainteresowaniem.

W żadnym razie nie spodziewała się spotkać tej kobiety w hotelu „Bertram”. Elegancki nocny klub czy zajazd dla kierowców ciężarówek — każde z tych miejsc mogło pasować do szerokiego wachlarza pomysłów Bess. Jednak ten szacowny i staroświecki hotel zdawał się być im krańcowo obcy.

A przecież, bez wątpienia była tu. Ledwie od miesiąca nie oglądano twarzy Bess Sedgwick na okładkach modnych magazynów i popularnych czasopism. I oto siedziała u „Bertrama” we własnej osobie, paląc papierosa strzepywała popiół szybkim, niecierpliwym ruchem i patrzyła ze zdziwieniem na stojącą przed nią wielką zastawę do herbaty, jakby nigdy przedtem takiej nie widziała. Zamówiła — panna Marple przymrużyła oczy i przyjrzała się bacznie — tak, pączki. Bardzo interesujące. Po chwili Bess zgasiła papierosa na spodku, podniosła pączek i ugryzła ogromny kęs. Jaskrawo czerwony, truskawkowy dżem spłynął jej po brodzie. Bess odchyliła głowę i roześmiała się najgłośniejszym i najweselszym śmiechem, jaki kiedykolwiek słyszano w hallu hotelu „Bertram”.

Henry natychmiast znalazł się przy niej, ofiarowując małą, delikatną chusteczkę. Wzięła ją, wytarła brodę z temperamentem uczniaka, wołając:

— To właśnie jest prawdziwy pączek. Wspaniały! Rzuciła serwetkę na tacę i wstała. Jak zwykle, oczy wszystkich zwróciły się ku niej. Była do tego przyzwyczajona. Może lubiła wzbudzać zainteresowanie, a może już nawet tego nie zauważała. Warto było na nią popatrzeć: kobieta raczej wywierająca wrażenie niż piękna. Włosy koloni najjaśniejszej platyny, miękkie i lśniące, spadały jej na plecy. Miała dość wydatny nos, głęboko osadzone szare oczy i szerokie usta urodzonego komika. Jej suknia była tak prosta, że zaskakiwało to większość mężczyzn. Wyglądała na uszytą z najgrubszego materiału na worki, bez żadnej ozdoby, bez widocznego zapięcia czy szwu. Kobiety jednak wiedziały lepiej. Każda z prowincjonalnych staruszek u „Bertrama” była świadoma, że ta kiecka kosztowała majątek.

Przechodząc przez hall w kierunku windy, Bess zbliżyła się do lady Seliny i panny Marple i skinęła głową tej pierwszej.

— Hallo, lady Selino. Nie widziałam pani od czasu wizyty u Cruftów. Jak się mają państwo Borzois?

— Co, na Boga, robisz tu, Bess?

— Zatrzymałam się tutaj. Dopiero co przyjechałam z bardzo daleka. Cztery godziny i trzy kwadranse. Nieźle.

— Zabijesz się kiedyś. Albo zabijesz kogoś.

— Och, mam nadzieję, że nic.

— Ale dlaczego zatrzymałaś się właśnie tu?

Bess Sedgwick ogarnęła hali bystrym spojrzeniem. Zdawała się rozumieć, o co chodzi w pytaniu i potwierdziła to ironicznym uśmiechem.

— Ktoś mi powiedział, że powinnam spróbować. Myślę, że miał rację. Zjadłam właśnie wspaniałego pączka.

— Mają tu także prawdziwe maślane bułeczki, moja droga.

— Bułeczki — powiedziała w zamyśleniu lady Sedgwick. — Tak... — Zdawała się z tym zgadzać. — Bułeczki!

Skinęła głową i poszła w kierunku windy.

— Niezwykła dziewczyna — rzekła lady Selina. Dla niej, podobnie jak dla panny Marple, każda kobieta poniżej sześćdziesiątki była dziewczyną. — Znam ją od dziecka. Nie można było sobie z nią poradzić. Kiedy miała szesnaście lat, uciekła z irlandzkim stajennym. Zdołano odnaleźć ją w porę, albo i nie w porę. W każdym razie zapłacili chłopcu, a ją spokojnie wydali za Connistona, starszego od niej o trzydzieści lat, okropnego, odrażającego hulakę, zupełnie znikowanego na punkcie Bess. To nie trwało długo. Odeszła z Johnnie Sedgwickiem. Ten związek mógł być trwały, gdyby Johnnie nie skręcił karku podczas konnego wyścigu z przeszkodami. Potem poślubiła Ridgwaya Beckera, amerykańskiego armatora jachtów. Rozwiódł się z nią trzy lata temu. Słyszałam, że teraz jest zajęta jakimś kierowcą rajdowym — Polakiem, czy kimś takim. Nie wiem, czy ostatecznie wyszła za niego. Po rozwodzie z Amerykaninem wróciła do nazwiska Sedgwick. Afiszuje się z dziwnymi ludźmi. Mówią, że się narkotyzuje. Naprawdę nie mam pojęcia...

— Ciekawe, czy jest szczęśliwa — zauważyła panna Marple.

Lady Selina, której takie sprawy wyraźnie nie interesowały, wydawała się nieco zaskoczona.

— Przypuszczam, że ma masę pieniędzy — powiedziała niepewnie. — Alimenty i tak dalej. Oczywiście to nie wszystko...

— Na pewno nie.

— Zwykle holuje za sobą mężczyznę, albo kilku.

— Tak?

— Niektóre kobiety osiągnąwszy pewien wiek, pragną tylko tego... Ale jakoś... — przerwała.

— Tak — odparła panna Marple. — Jestem również tego zdania.

Zapewne ludzie uśmiechnęliby się z uprzejmą ironią na to oświadczenie staroświeckiej, sędziwej damy, której nie można było podejrzewać, że jest autorytetem w sprawie nimfomanii, i rzeczywiście, panna Marple nie użyłaby tego słowa — jej własne określenie brzmiałoby „zbyt lubiąca mężczyzn”. Jednakże lady Selina przyjęła jej opinię jako potwierdzenie własnej.

— W jej życiu było wielu mężczyzn — rzekła z naciskiem.

— Och tak, ale podejrzewam, że mężczyźni stanowili dla niej jedynie przygodę, nie potrzebę, prawda?

I chyba żadna kobieta, pomyślała panna Marple, nie przyszłaby do „Bertrama” na spotkanie z mężczyzną. Ten hotel wyraźnie nie był odpowiednim miejscem do tego. Choć może, gdyby ktoś taki jak Bess Sedgwick miał ważny powód...

Westchnęła, spojrzała na piękny, zabytkowy zegar, godnie tykający w kącie, i pożegnawszy lady Selinę, wstała z ostrożnością charakterystyczną dla reumatyka. Poszła powoli do windy. Lady Selina popatrzyła za nią i rzuciła się w stronę siwego gentelmana o wyglądzie wojskowego, który czytał „Spectatora”.

— Jak miło zobaczyć pana znowu. Generał Arlington, nieprawdaż?

Jednakże starszy pan zaprzeczył bardzo uprzejmie, jakoby był generałem Arlingtonem.

Lady Selina przeprosiła, ale nie była zbyt zmieszana. Łączyła krótkowzroczność z optymizmem, a ponieważ jej największą przyjemnością było spotkanie starych przyjaciół i znajomych, stale popełniała omyłki tego rodzaju. Wielu gościom hotelu zdarzało się to samo, ponieważ światła były nastrojowo przyćmione. Nikt nie obrażał się zresztą, a nawet jakby to sprawiało ludziom przyjemność.

Panna Marple uśmiechała się do siebie, czekając na windę. To takie podobne do Seliny! Jest zawsze przekonana, że zna wszystkich. Sama nie mogłaby z nią współzawodniczyć. Jej jedyną „zdobyczą” tego rodzaju był przystojny i elegancki biskup Westcester. Zwracała się doń czule „drogi Robbie”, a on odwzajemniał się jej równą poufałością i wspomnieniami o małym chłopczyku na plebanii w Hampshire, proszącym natrętnie: „Bądź teraz krokodylem, ciociu Janie. Bądź krokodylem i zjedz mnie”.

Winda zjechała, umundurowany mężczyzna w średnim wieku otworzył szeroko drzwi. Ku pewnemu zdziwieniu panny Marple, zjeżdżającym pasażerem okazała się Bess Sedgwick, którą widziała przed chwilą jadącą na górę.

I właśnie w tym momencie, Bess z jedną nogą w powietrzu zamarła bez mchu tak nagle, że panna Marple robiąc krok do przodu zachwiała się. Bess wpatrywała się w coś ponad jej ramieniem z takim skupieniem, że stara dama odwróciła się.

Szwajcar otworzył właśnie wahadłowe drzwi wejściowe i przytrzymał je, aby wpuścić do hallu dwie kobiety. Jedną z nich była wyszukanie ubrana dama w średnim wieku, nosząca niegustowny, ozdobiony fiołkami kapelusz, druga — siedmasto- lub osiemnastoletnia dziewczyna, szczupła, z długimi, gładkimi włosami koloru lnu, ubrana prosto, ale elegancko.

Bess Sedgwick opanowała się, zawróciła nagle i weszła ponownie do windy. Kiedy panna Marple podążyła za nią, usłyszała słowa przeprosin:

— Proszę mi wybaczyć. Prawie wpadłam na panią — głos brzmiał ciepło, przyjaźnie. — Właśnie przypominałam sobie, że czegoś zapomniałam. To brzmi idiotycznie, ale jest prawdą.

— Drugie piętro? — zapytał windziarz. Panna Marple uśmiechnęła się i skinęła głową, przyjmując przeprosiny. Wyszła z windy i wolno powędrowała do swego pokoju, rozważając, jak to miała w zwyczaju, różne małe, nieważne problemy.

Na przykład — to, co powiedziała lady Sedgwick, nie było prawdą. Dopiero co udała się do swego pokoju i właśnie tam musiała sobie „przypomnieć, że czegoś zapomniała” (jeśli była to prawda) i zjechała, aby to coś znaleźć. A może zamierzała spotkać się z kimś, albo poszukać kogoś? Ale jeżeli tak było, co właściwie ujrzała, kiedy drzwi windy otwarły się. Co takiego zaniepokoiło i spłoszyło ją tak bardzo, że natychmiast zawróciła na górę?

Musiały to być dwie nowo przybyłe. Kobieta w średnim wieku i dziewczyna. Matka i córka? Nie — pomyślała panna Marple — na pewno nie matka i córka.

Nawet u „Bertrama”, dumiała uszczęśliwiona, mogą zdarzać się interesujące sprawy.

# Rozdział trzeci

— E... — czy jest pułkownik Luscombe? Kobieta w kapeluszu z fiołkami stała przy recepcji.

Panna Gorringe uśmiechnęła się na powitanie i natychmiast wysłała stojącego w pobliżu boya na poszukiwania. Nie musiał się jednak trudzić, gdyż w tej chwili pułkownik zjawiał się w hallu i podszedł szybko do kontuaru:

— Dzień dobry, pani Carpenter — uściśnął uprzejmie jej dłoń, potem zwrócił się cło dziewczyny.

— Kochana Elwiro — ujął serdecznie jej obie ręce.

— Tak, tak. Bardzo się cieszę. Wspaniale, wspaniale. Siadajmy — wskazał paniom krzesła i usadowił je.

— Tak, tak — powtarzał. — Cieszę się bardzo. Wysiłek i brak swobody, z jakim to mówił, były widoczne. Potrafił tylko powtarzać, jak bardzo jest uradowany. Obie panie nie starały się mu pomóc. Elwira uśmiechała się miło. Pani Carpenter chichotała trochę bezmyślnie i gładziła swoje rękawiczki.

— Miały panie dobrą podróż?

— Tak, dziękuję — odparła Elwira.

— Żadnej mgły? Nic takiego?

— Och, nie.

— Nasz lot trwał o pięć minut krócej — poinformowała pani Carpenter.

— Tak, tak. To dobrze, bardzo dobrze — powtarzał starając się podtrzymać rozmowę. — Mam nadzieję, że ten hotel będzie paniom odpowiadał?

— Och, na pewno jest tu bardzo przyjemnie — powiedziała z entuzjazmem pani Carpenter, rozglądając się dokoła. — Jest bardzo komfortowy.

— Obawiam się, że dosyć staroświecki — rzekł pułkownik przepaszająco. — Nie ma ... ee ... dansingu, ani nic takiego.

— Przypuszczam, że nie — zgodziła się Elwira. Rozejrzała się obojętnie. Z całą pewnością podejrzenie „Bertrama” o dansing było niemożliwe.

— Obawiam się, że za dużo tu starych pierników — powtórzył pułkownik Luscombe. — Powinienem być może umieścić cię w bardziej nowoczesnym hotelu. Jak wiesz, niezbyt dobrze znam

się na tych sprawach.

— Tu jest bardzo przyjemnie — powiedziała grzecznie Elwira.

— To tylko na kilka nocy — ciągnął pułkownik.

— Pomyślałem, że moglibyśmy pójść dziś wieczorem na przedstawienie, może na musical — rzekł dosyć niepewnie, jakby nie wiedział, czy użył właściwego słowa — pod tytułem *Rozpuśćcie włosy, dziewczyny*. Mam nadzieję, że to coś dobrego.

— Cudownie — wykrzyknęła pani Carpenter. — To będzie prawdziwa rozkosz, prawda, Elwiro?

— Cudownie — powtórzyła dziewczyna obojętnie.

— A potem kolacja. W Savoyu?

Propozycja wywołała nowe okrzyki pani Carpenter. Pułkownik spojrzawszy ukradkiem na Elwirę, rozpogodził się nieco. Pomyślał, że jest zadowolona, choć wyraźnie nie zamierza wyrażać niczego więcej prócz grzecznego poparcia, ze względu na zachowanie pani Carpenter. „I nie winię jej”, powiedział sobie.

Zwrócił się do starszej kobiety:

— Może chciałaby pani zobaczyć pokoje, sprawdzić czy wszystko jest w porządku i tak dalej.

— Och, na pewno jest znakomicie.

— Jeśli coś nie będzie paniom odpowiadać, zmienimy to. Znamy mnie tutaj bardzo dobrze.

Panna Gorringe wręczyła klucze nowo przybyłym:

— Numery 28 i 29 na drugim piętrze, z przylegającą łazienką.

— Pójdę na górę rozpakować rzeczy — zdecydowała pani Carpenter. — Może chcielibyście trochę pogawędzić tymczasem?

„Taktownie”, pomyślał pułkownik. „Trochę ostentacyjnie, ale jednak uwolniła nas na chwilę od siebie”. Chociaż, doprawdy nie miał pojęcia, o czym rozmawiać z Elwirą. Bardzo dobrze ułożona dziewczyna, zapewne, ale nie był przyzwyczajony do dziewcząt. Żona zmarła przy porodzie, dziecko wychowywała rodzina żony, a dom prowadziła mu starsza siostra. Syn ożenił się i wyjechał do Kenii, wnuki miały jedenaście, pięć oraz dwa i pół roku, i podczas jego ostatniej wizyty zajmowały się piłką nożną, rozmowami na tematy kosmiczne, pociągami elektrycznymi oraz jazdą na jego kolanach. Proste. Ale młode dziewczęta?

Zapytał Elwirę, czy chciałaby się czegoś napić. Zamierzał zaproponować piwo imbirowe lub oranżadę, ale uprzedziła go:



— Chętnie. Prosiłabym o dżin z wermutem.

Pułkownik Luscombe spojrział na nią trochę niepewnie. Nie przypuszczał, że dziewczęta — ileż ona miała lat? — szesnaście? siedemnaście? — pijały dżin i wermut. Uspokoił się jednak pomyślawszy, że Elwira wie, co wypada. Zamówił dżin z wermutem i wytrawne sherry.

Odchrząknął i zapytał:

— Jak było we Włoszech?

— Dziękuję, bardzo przyjemnie.

— A ta szkoła, w której byłaś, u hrabiny Jak–jej–tam? Nie zanadto ponura?

— Hrabina jest dosyć surowa. Ale nie przejmowałam się nią.

Spojrzął niepewny czy odpowiedź nie brzmi dziwnie, ale ciągnął, jękając się lekko, lecz czując się swobodniej niż poprzednio:

— Żałuję, że nie znamy się lepiej, skoro jestem twoim opiekunem i ojcem chrzestnym. Trudno mi — rozumiesz — trudno mężczyźnie, który jest takim starym niedołęgą jak ja, wiedzieć, czego potrzebuje młoda panna, a przynajmniej domyślać się, co powinna mieć. Mam na myśli wykształcenie, a po ukończeniu nauki to, co w moich czasach nazywano ostatecznym szlifem. Przypuszczam, że obecnie podchodzi się do tego poważniej. Jakiś zawód? Posada? Kiedyś o tym pomówimy. Czy jest coś, co chciałabyś robić?

— Zamierzam pójść na kurs dla sekretarek — powiedziała Elwira bez entuzjazmu.

— Oo, chcesz być sekretarką?

— Nie za bardzo.

— No więc...

— Właśnie o tym zaczął pan mówić — wyjaśniła Elwira.

Pułkownik poczuł się dziwnie zbity z tropu.

— A moi kuzynowie, Melfordowie. Sądzisz, że będziesz zadowolona, mieszkając u nich? Jeśli nie...

— Myślę, że tak. Lubię Nancy. A kuzynka Mildred jest naprawdę kochana.

— Zatem wszystko w porządku?

— Na razie tak.

Luscombe nie miał pojęcia, co jeszcze mógłby powiedzieć i kiedy się nad tym zastanawiał, odezwała się Elwira. Jej słowa były proste i wyraźne.

— Czy ja mam jakieś pieniądze?

Znowu zwlekał z odpowiedzią, przyglądając się jej w zamyśleniu. Wreszcie powiedział:

— Tak. Masz naprawdę dużo pieniędzy. To znaczy będziesz miała, kiedy skończysz dwadzieścia jeden lat.

— Kto ma je teraz? Uśmiechnął się:

— Są w depozycie; pewna kwota z dochodów jest potrącana co roku na pokrycie wydatków związanych z utrzymaniem i wykształceniem.

— I pan nimi dysponuje?

— Jest nas trzech.

— Co stanie się, gdybym umarła przed ukończeniem tych dwudziestu jeden lat?

— Ależ Elwiro, nie zamierzasz chyba umierać. Co za bzdura!

— Mam nadzieję, że umrę nieprędko, ale nie można tego przewidzieć, prawda? W zeszłym tygodniu rozbił się samolot i wszyscy zginęli.

— Tak, ale tobie to się nie zdarzy — rzekł Luscombe stanowczo.

— Tego przecież nie może pan wiedzieć — odparła Elwira. — I jestem ciekawa, kto dostanie moje pieniądze, gdybym umarła.

— Nie mam najmniejszego pojęcia — głos pułkownika zdradzał rozdrażnienie. — Dlaczego o to pytasz?

— To mogłoby być interesujące — powiedziała Elwira, pogrążona w myślach. — Jestem ciekawa, czy komuś opłaciłoby się mnie zabić.

— Cóż za bezsensowne pomysły. Nie mogę pojąć, dlaczego zajmujesz się takimi sprawami.

— Tak sobie tylko myślę. Dobrze być zorientowanym, jak się sprawy mają.

— Nie myślisz chyba o mafii albo o czymś w tym rodzaju?

— O nie, to byłoby głupie. Kto dostanie moje pieniądze, kiedy wyjdę za mąż?

— Pewnie twój mąż. Ale doprawdy...

— Czy jest pan tego pewny?

— Nie, wcale nie jestem. To zależy od sformułowania w dokumentach. Nie jesteś przecież zamężna, dlaczego więc tak się niepokoisz?

Elwira nie odpowiedziała. Wydawała się głęboko zamyślona. W końcu potrząsnęła głową i zapytała:

— Widuje pan czasem moją matkę?

— Czasem. Niezbyt często.

— Gdzie jest teraz?

— Och... Za granicą.

— Gdzie za granicą?

— Francja... Portugalia. Naprawdę nie wiem.

— Czy zechce kiedykolwiek zobaczyć się ze mną? Napotkał jej czyste spojrzenie. Nie miał pojęcia, co odpowiedzieć. Czy był to odpowiedni moment na ujawnienie prawdy? Może na wymijającą odpowiedź? Albo na bardzo krzepiące kłamstwo? Co można powiedzieć dziewczynie, zadającej pytanie z taką prostotą, kiedy odpowiedź jest niezmiernie skomplikowana?

— Nie wiem — odparł zrezygnowany.

Oczy Elwiry dalej patrzyły na niego z powagą. Luscombe poczuł się skonfundowany. Narobił bigosu. Dziewczyna musi być ciekawa — jasne, że chce wiedzieć. Każdy na jej miejscu pragnąłby znać prawdę.

— Nie możesz myśleć... sędzę, że trudno wytłumaczyć. Twoja matka jest, no, raczej inna, niż...

Elwira przytaknęła energicznie:

— Wiem. Wciąż czytam o niej w gazetach. Jest kimś zupełnie wyjątkowym, prawda? To naprawdę cudowna osoba.

— Tak — zgodził się pułkownik. — Istotnie, to niezwykła kobieta. — Przerwał i zaczął znowu. — Ale niezwykle osoby są bardzo często... No, nie zawsze jest dobrze mieć niezwykłą osobę za matkę. Możesz mi wierzyć.

— Nie lubi pan mówić na ten temat? Myślę jednak, że w tym, co pan właśnie stwierdził, jest wicie racji.

Siedzieli twarzą w kierunku wielkich drzwi wahadłowych, prowadzących na dwór, które nagle otwały się gwałtownie i do hallu wszedł dużymi krokami młody człowiek, kierując się prosto do recepcji. Był ubrany w czarną, skórzaną kurtkę. Jego energia była tak jaskrawa, że hotel „Bertram” nabrał przez kontrast charakteru muzeum. Goście wyglądali jak pokryte kurzem zabytki z dawnych lat.

Mężczyzna podszedł do panny Gorringe i zapytał:

— Czy lady Sedgwick mieszka tutaj?

„Tak” panny Gorringe tym razem nie było okraszone uprzejmym uśmiechem. Z wyraźną niechęcią sięgnęła po słuchawkę.

— Czy pan życzy sobie...

— Nie — odparł młody człowiek. — Chciałem tylko zostawić list dla lady Sedgwick. — Wydobył go z kieszeni kurtki i położył na mahoniowym kontuarze. — Musiałem się tylko upewnić, że naprawdę tu mieszka.

Pewne niedowierzanie zabrzmiało w jego głosie, kiedy rozejrzał się dookoła, po czym zawrócił do wyjścia. Powiódł obojętnie oczami po siedzących w hallu ludziach. Spojrzał bez zainteresowania na pułkownika i Elwirę; Luscombe odczuł niespodziewany gniew:

— Do diabła! Elwira jest ładną dziewczyną. Kiedy byłem młodym chłopcem, zauważyłbym ją, zwłaszcza wśród tych przedpotopowych eksponatów — pomyślał. Ale młody człowiek wyraźnie nie interesował się ładnymi dziewczynami. Wrócił do recepcji i zapytał, podnosząc nieco głos, aby zwrócić uwagę panny Gorringe:

— Jaki jest tu numer telefonu? 1129, prawda?

— Nie — odpowiedziała recepcjonistka — 3925.

— Regent?

— Nie, Mayfair.

Skinął głową. Potem skierował się szybkim krokiem do wyjścia i zniknął, popychając wahadłowe drzwi z takim samym impetem, jak przy wchodzeniu. Wydawało się, że wszyscy odetchnęli swobodniej, podejmując przerwane rozmowy.

— Tak — powiedział pułkownik Luscombe trochę ni w pięć ni w dziewięć, jakby brakowało mu słów.

— Tak, doprawdy! Ci młodzi ludzie w dzisiejszych czasach...

Elwira uśmiechnęła się:

— Poznał go pan, prawda? Nie? Nie wie pan, kto to jest? Głos jej drżał z przejęcia. — Ladislaus Malinowski.

— Ach, to ten facet — nazwisko było pułkownikowi znajome. — Kierowca rajdowy.

— Tak. Był dwa razy mistrzem świata. Przed rokiem miał okropny wypadek. Połamał sobie

mnóstwo kości. Teraz znowu jeździ, — Podniosła głowę nasłuchując.

— To jego nowy wóz wyścigowy.

Ryk motoru przeniknął z ulicy do hallu. Pułkownik pojął, że ten Ladislaus Malinowski jest jednym z idoli Elwiry. „Cóż — pomyślał — lepsze to, niż któryś z tych długowłosych piosenkarzy czy wyjców, lub Beatlesów, czy jak się tam oni nazywają”. Luscombe był staroświecki w swoich poglądach na młodych ludzi.

Wahadłowe drzwi otwały się znowu. Elwira i pułkownik spojrzeli wyczekująco w ich stronę, lecz życie w hotelu „Bertram” wróciło już do normalnego stanu. Wchodzącym był tylko siwowłosy, starszy duchowny. Zatrzymał się na moment, rozglądając się wkoło z lekko zakłopotaną miną, jakby nie rozumiał, gdzie jest i skąd się tu wziął. Taka przygoda nie była nowością dla kanonika Pennyfathera z katedry w Chadminster. Wielokrotnie zdarzało się, że nie wiedział, skąd przychodzi, dokąd idzie i po co. Przytrafiało mu się to, kiedy szedł ulicą lub siedział na zebraniu komitetu. Zdarzało się także, że tkwił w stallach katedry i nie wiedział, czy wygłosił już kazanie, czy dopiero ma to zrobić.

— Zdaje się, że znam tego staruszka — powiedział Luscombe, przypatrując się księdzu. — Któż to jest? Zatrzymuje się tu często, jestem pewien. Abercrombie? Archidiakon Abercrombie — nie, to nie on, choć trochę podobny.

Elwira spojrzała obojętnie na kanonika Pennyfathera. W zestawieniu z rajdowcem był zupełnie bezbarwny. Nie interesowała się żadnymi duchownymi, choć będąc we Włoszech odczuwała umiarkowany podziw dla kardynałów, a w każdym razie uważała ich za dość malowniczych.

Twarz kanonika Pennyfathera rozjaśnił wyraz zadowolenia. Przypomniawszy sobie, gdzie jest: w hotelu „Bertram”, oczywiście, gdzie spędzał noc w drodze — zaraz, zaraz — dokąd teraz jechał? Chadminster? Nie, przyjechał właśnie z Chadminster. Jechał, no oczywiście, na kongres do Lucerny. Promieniejąc podszedł szybko do recepcji i został powitany ciepło przez pannę Gorringe.

— Miło zobaczyć pana znowu, kanoniku Pennyfather. Doskonale ksiądz wygląda.

— Dziękuję, dziękuję. Byłem poważnie przeziębiony w zeszłym tygodniu, ale to już minęło. Czy pani ma dla mnie pokój? Pisałem w tej sprawie...

Panna Gorringe uspokoiła go.

— O tak, otrzymaliśmy list księdza. Zarezerwowaliśmy numer 19, pokój który wasza wielbność zajmował ostatnio.

— Dziękuję, dziękuję. Chwileczkę, niech pomyślę... Już wiem, chcę go na cztery dni. Jadę właśnie do Lucerny i nie będzie mnie przez jedną noc, ale proszę pokój zatrzymać. Zostawię większość rzeczy i wezmę do Szwajcarii tylko małą walizeczkę. Nie będzie z tym kłopotu?

Panna Gorringe uspokoiła go po raz drugi:

— Wszystko będzie w największym porządku. Wy tłumaczył to ksiądz bardzo jasno w liście.

Nikt inny nie użyłby słowa „jasno”. „Dokładnie” brzmiałoby lepiej, ponieważ niewątpliwie pisał szczegółowo.

Pozbywszy się wszelkich trosk, kanonik Pennyfather odetchnął z ulgą i znalazł się razem z bagażem w pokoju numer 19.

W pokoju 28 pani Carpenter zdjęła z głowy wieniec fiołków i starannie układała nocną koszulę na poduszce swego łóżka. Spojrzała na wchodzącą Elwirę.

— Jesteś, kochanie. Czy chcesz, żebym ci pomogła rozpakować się?

— Nie, dziękuję — odparła Elwira grzecznie. — Nie wyjmuję zbyt wielu rzeczy.

— Którą sypialnię wolisz? Łazienka jest między pokojami. Kazałam położyć twój bagaż w drugim pokoju. Sądzę, że ten może być zbyt głośny.

— To bardzo miło z pani strony — powiedziała Elwira w swój beznamiętny sposób.

— Na pewno nie chcesz, żebym ci pomogła?

— Nie, dziękuję, naprawdę nie. Może bym się wykąpała.

— Tak, to dobry pomysł. Chcesz kąpać się pierwsza? Ja skończę tymczasem wyjmowanie rzeczy.

Elwira przytaknęła. Weszła do przylegającej łazienki, zamknęła drzwi i zasunęła rygiel. Udała się do własnego pokoju, otworzyła walizkę i rzuciła kilka drobiazgów na łóżko. Potem rozebrała się, włożyła szlafrok, weszła do łazienki i odkręciła kurki. Wróciła do pokoju i usiadła przy telefonie. Nasłuchiwała chwilę, potem podniosła słuchawkę.

— Tu pokój 29. Czy może mi pani dać Regent 1129?

# Rozdział czwarty

W Scotland Yardzie konferencja była w toku. Zebranie miało charakter nieoficjalny. Sześciu lub siedmiu mężczyzn siedziało wygodnie wokół stołu, a każdy z nich był autorytetem w swojej dziedzinie. Temat absorbujący uwagę tych stróżów prawa stał się ogromnie ważny w ciągu ostatnich dwóch czy trzech lat. Omawiano serię przestępstw, których sprawcy byli wciąż nie znani. Wzrosła liczba rabunków na wielką skalę. Napady na banki, grabieże przewożonych na wypłaty pieniędzy, kradzieże pocztowych przesyłek biżuterii, rozboje w pociągach. Nie mijał miesiąc od popełnionego przestępstwa, a już podejmowano próbę nowego i przeprowadzano je pomyślnie.

Siedzący u szczytu stołu sir Ronald Graves, zastępca szefa Scotland Yardu, przewodniczył naradzie. Zgodnie ze swoim zwyczajem więcej słuchał niż mówił. Tym razem nie składano oficjalnych raportów. To należało do rutynowej pracy C.I.D.\* Zebranie było konsultacją na najwyższym szczeblu, wymianą myśli między ludźmi widzącymi problem z nieco odmiennych punktów. Oczy sir Ronałda przesunęły się wolno po małej grupie, po czym skinął głową w kierunku mężczyzny siedzącego na końcu stołu.

— No, Tata — powiedział — posłuchajmy kilku twoich swojskich powiedzonek.

Mężczyzną, do którego się zwrócił, był nadinspektor Fred Davy, który wkrótce miał przejść na emeryturę.

Wyglądał na starszego niż był naprawdę, stąd wzięło się jego przezwisko „Tata”. Miał doskonałą prezencję i tak ujmujący i łagodny sposób bycia, że wielu przestępców było niemile zaskoczonych, znajdując w nim w toku dochodzeń mniej dobrotliwego i łatwowiernego człowieka, niż wydawało się to na pierwszy rzut oka.

— Tak, Tata, posłuchajmy twojej opinii — dodał inny nadinspektor.

— To wielka afera — powiedział nadinspektor Davy z głębokim westchnieniem. — Tak, wielkie przedsięwzięcie. I być może rozrasta się.

— Kiedy mówisz wielka afera, masz na myśli liczbę przypadków?

— Tak jest.

Inny mężczyzna, Comstock, z ostrą, lisią twarzą i czujnymi oczami, wtrącił się do rozmowy.

— Chcesz powiedzieć, że mają przewagę?

— Tak i nie — odparł Tata — Gdyby ją mieli w stu procentach, mogłoby to być katastrofalne. Dotychczas panują świetnie nad sytuacją, niech ich diabli.

Andrews, jasnowłosy, drobny, sennie patrzący mężczyzna, rzekł wolno:

— Zawsze byłem zdania, że od rozmiaru akcji zależy więcej, niż się ludziom wydaje. Weźmy małe, jednoosobowe przedsiębiorstwo. Jeśli jest dobrze prowadzone i jest właściwej wielkości, to pewne, że odniesie sukces. Ale kiedy rozrasta się, powiększa i staje się zbyt duże w swojej kategorii, nagle pada. Podobnie z łańcuchami dużych magazynów. Albo imperium w przemyśle. Gdy jest właśnie odpowiednio wielkie, odnosi sukces. W przeciwnym razie nie da się nim kierować. Wszystko sprowadza się do właściwego rozmiaru. Każdy interes musi zachowywać ten warunek — jeżeli przy tym jest dobrze prowadzony, osiąga szczyty.

— Jak wielki, według ciebie, jest cały ten kram? — burknął sir Ronald.

— Większy, niż myśleliśmy początkowo — powiedział Comstock.

Inspektor Mc Neill, chudy, żyłasty mężczyzna dodał ponuro:

— Powiedziałbym, że to się rozrasta. Tata ma rację. Stale się powiększa.

— Może i dobrze — zauważył Davy. — Wzrost ilości przestępstw może stać się trochę za szybki, wtedy cały proceder wymknie im się z rąk.

— Sir Ronaldzie, pytanie brzmi: kogo zdejmujemy i kiedy? — zapytał Mc Neill.

— Mamy okrągły tuzin facetów, których możemy zwinąć — stwierdził Comstock. — Wiemy, że w tę sprawę wmieszana jest banda Harrisa. Mamy oko na ich zaciszną, małą kryjówkę na drodze do Luton, na garaż w Epsorn, pub w pobliżu Maidenhead i famie przy Great North Road.

— Nie oplaca się zamknąć nikogo z nich?

— Myślę, że .nie. Wszystko to są płotki. Ogniwa. Ledwie pojedyncze ogniwo łańcucha. Punkt, gdzie wymienia się samochód i szybko zwiewa dalej, solidny pub, w którym zostawia się wiadomości, drugorzędny sklep z odzieżą, umożliwiający zmianę wyglądu, pracownia kostiumów teatralnych na West Endzie, także bardzo użyteczna. Właściciele tych punktów są opłacani. Bardzo dobrze opłacani, ale nie wiedzą nic.

Senny nadinspektor Andrews znowu się odezwał:

— Stoimy przeciw kilku dobrym mózgom. Jeszcze się do nich nie zbliżyliśmy. Znamy parę powiązań i to wszystko. Jak powiadam, tkwi w tym banda Harrisa, a Marks zajmuje się stroną finansową. Zagraniczni pośrednicy są w kontakcie z Weberem, ale on jest tylko agentem. Nie mamy nic konkretnego przeciw żadnemu z tych ludzi. Wiemy, że mają jakiś sposób kontaktowania się ze sobą i z innymi częściami przestępczego koncernu, ale nie możemy dojść, jak to robią. Obserwujemy ich i śledzimy, lecz oni o tym wiedzą. Gdzieś działa wielka centrala. Dotarcie do niej pozostaje w sterze naszych planów.

— To jest jak olbrzymia sieć — rzekł Comstock. — Zgadzam się, że gdzieś musi być kwatera główna. Miejsce, w którym projektowana jest każda operacja, gdzie szlifuje się plany. Ktoś obmyśla



to wszystko i daje roboczy projekt akcji „Poczta” czy „Wypłaty”. To właśnie są ludzie, których musimy dostać.

— Może nawet nie ma ich w kraju — powiedział spokojnie Tata.

— Tak, sędzę, że to prawda. Mogą siedzieć w igloo, czy w namiocie w Maroku, albo w domku alpejskim w Szwajcarii.

— Nie wierzę w tych geniuszy zbrodni — rzekł Mc Neill potrząsając głową. — To brzmi dobrze tylko w powieściach. Oczywiście, trzeba mieć łeb, ale nie wierzę w Mistrza Zbrodni. Uważam, że stoi za tym bardzo sprytna, mała rada nadzorcza, centrum planowania z prezesem. Dążą do polepszenia wyników i stale doskonalą technikę. W każdym razie...

— Co takiego? — spytał zachęcająco sir Ronald.

— Zapewne nawet w niewielkim, zgranym zespole niezbędne są poświęcenia. Ja to nazywam regułą rosyjskich sań. Od czasu do czasu, kiedy sądzą, że możemy być na świeżym tropie, pozbywają się spośród siebie jednego, który wydaje się im do tego odpowiedni.

— Nie boją się tego robić? Nie za wiele ryzykują?

— Myślę, że zabieg można przeprowadzić w taki sposób, żeby skazany nie zdawał sobie sprawy, że będzie wyrzucony z sań. Wydaje mu się po prostu, że wypadł. Zachowuje spokój, ponieważ sądzi, że tak trzeba. To jest możliwe. Oni mają dużo pieniędzy i mogą pozwolić sobie na hojność. Kiedy facet siedzi w więzieniu, dbają o jego rodzinę, jeśli ją posiada. Może organizują ucieczkę.

— To byłaby już przesada — rzekł Comstock.

— Chyba że...

— Myślę sobie — przerwał sir Ronald — że ciągle snucie domysłów nie jest najlepszą metodą śledczą. Mówimy zbyt wiele na ten temat.

Mc Neill uśmiechnął się.

— Czego naprawdę chce pan od nas, sir?

— Cóż — sir Ronald zastanawiał się chwilę. — Zgadzą się wszyscy co do sedna sprawy — powiedział powoli. — Zgadzą się co do ogólnej polityki i naszych zamierzeń. Myślę, że opłacałoby się rozejrzeć za kilkoma drobiazgami, które same nie znaczą wiele, ale odbiegają troszkę od powszedniości. Trudno wyjaśnić, co mam na myśli. Chodzi mi o coś takiego, jak ta historia ze sprawy Culvera sprzed pani lat. Plama z atramentu. Pamiętacie? Plama z atramentu wokół mysiej nory. Dlaczego, na Boga, ktoś miałby wylewać butelkę atramentu do mysiej dziury? To nie wydawało się ważne. Odpowiedź była trudna. Ale kiedy znaleźliśmy ją, doprowadziła nas do rozwiązania. Z grubsza biorąc, o czymś takim myślę. O zastanawiających szczegółach. Nie mam nic przeciw gadaniu, jeśli wpadniecie na coś trochę odbiegającego od normy. Drobiazgi, ale irytujące. Widzę, że Tata kiwa głową.

— Nie można nie zgodzić się z tobą — rzekł nadinspektor Davy. — Jazda, chłopcy, próbujmy coś wykombinować. Nawet jeśli będzie to jedynie mężczyzna noszący śmieszny kapelusz.

Nie było natychmiastowej odpowiedzi. Każdy był nieco zaskoczony i niezdecydowany.

— Dalej — powiedział Tata. — Nadstawię karku pierwszy. To jest właśnie dziwna historia, ale może uznacie, że jest warta wzmianki. Napad na London and Metropolitan Bank. Camiolly Street Branch. Pamiętacie? Cała lista samochodów, kolorów, numerów i marek. Wezwaliśmy przechodniów, żeby skontaktowali się z nami, a oni zrobili to, i oto efekt! Około stu pięćdziesięciu mylnych informacji. Przeprowadziliśmy selekcję i na koniec wyłuskaliśmy siedem samochodów, które widziano w pobliżu, ale ani jednego, który mógłby uczestniczyć w rabunku.

— Tak — powiedział sir Ronald. — Dalej.

— Był jeden czy dwa, których nie potrafiliśmy zidentyfikować, jakby numery zostały zmienione. Nikt nie stawał na głowie. To zdarza się często. Większość przypadków zostaje w końcu wykryta. Przedstawię jeden przykład. Morris Oksford, czarna limuzyna numer CMG 256, opisana przez kuratora sądowego. Utrzymywał, że samochód prowadził pan sędzia Ludgrave.

Rozejrzał się. Zebrani słuchali, ale bez zainteresowania.

— Wiem — przyznał. — Pomyłka, jak zwykle. Sędzia Ludgrave jest dość znanym starszym panem, brzydkim jak grzech śmiertelny, to po pierwsze. Po drugie, nie był to pan sędzia, ponieważ dokładnie w tym czasie znajdował się w sądzie. Posiada wóz morris oksford, ale jego numer jest inny, nie CMG 256. — Rozejrzał się ponownie: — Dobra, dobra. Powiecie, że nic w tym nie ma. Ale kto zna jego numer? CMG 265. Dosyć blisko, nieprawdaż? Takie właśnie błędy popełnia się, gdy chce się zapamiętać numer samochodu.

— Przepraszam — powiedział sir Ronald — zupełnie nie rozumiem...

— Tu nie trzeba niczego rozumieć — odparł Davy. — Ale ten numer jest bardzo podobny do prawdziwego, tak? 256–265, CMG. Co za dziwny zbieg okoliczności, że istnieje inny morris oksford tego samego koloru, z numerem różniącym się tylko jedną cyfrą i z kierowcą bardzo podobnym do właściciela.

— Myślisz...?

— Tylko jedna mała różnica w cyfrze. Codzienny „czeski błąd”. Na to wygląda.

— Wybacz, Davy. Jeszcze nie wiem, o co ci chodzi.

— O nic takiego, tylko tyle, że samochód marki morris oksford CMG 265 przejeżdża ulicą pół minuty po napadzie na bank, a kurator rozpoznaje w środku sędziego Ludgrave.

— Sugerujesz, że to naprawdę był sędzia? Ależ Davy!

— Nie, nie twierdzę, że to był Ludgrave, i że jest zamieszany w rabunek. W tych dniach mieszkał

w hotelu „Bertram” na Pond Street i właśnie o tej porze był obecny w sądzie. Wszyscy to potwierdzają. Mówię, że numer samochodu i; stwierdzenie tożsamości przez kuratora jest właśnie takim zbiegiem okoliczności, który powinien dać coś do myślenia. Widocznie tak nie jest. Szkoda.

Comstock poruszył się niespokojnie:

— Pamiętam inny przypadek, trochę podobny do tego, związany ze sprawą jubilera w Brighton. Wówczas był to chyba jakiś stary admirał. Nie pamiętam teraz nazwiska. Pewna kobieta zidentyfikowała go z całą pewnością, jako znajdującego się na miejscu napadu.

— A nie było go?

— Nie, był tej nocy w Londynie. Pojechał na jakiś bankiet marynarki, czy coś takiego.

— Zatrzymał się w swoim klubie?

— Nie. W hotelu, chyba tym samym, o którym wspominał Tata. Sądzę, że zajęcza tam wielu starych wojskowych.

— Hotel „Bertram” — powiedział nadinspektor Davy w zamyśleniu.

# Rozdział piąty

Panna Marple obudziła się wcześniej, zresztą jak zwykle. Była bardzo zadowolona z łóżka. Niezmiernie wygodne. Podreptała do okna i rozsunęła zasłony, wpuszczając trochę bladego, londyńskiego światła dziennego. Na razie próbowała się obejść bez elektryczności. Dano jej przyjemny pokój, w tradycyjnym stylu „Bertrama”. Tapeta w różyczki, wielka, lśniąca mahoniowa komoda, mały sekretarzyk. Dwa proste krzesła i wygodny fotel, rozsądnej wysokości. Drzwi prowadziły do łazienki, nowoczesnej, ale mającej ściany pokryte tapetą w kwiatki, co łagodziło wrażenie lodowatej higieny.

Panna Marple wróciła do łóżka, poprawiła poduszkę, spojrzała na zegarek: pół do ósmej, wzięła modlitewnik, który jej zawsze towarzyszył i przeczytała, jak zwykle, półtorej strony, wyznaczone na ten dzień. Potem wyjęła robótkę i zaczęła pracować, najpierw wolno, gdyż jej dłonie były po obudzeniu zeszywniałe z reumatyzmu, lecz niebawem tempo wzrosło, a palce straciły przykrą nieruchawość.

— Nowy dzień — powiedziała do siebie, stwierdzając ten fakt ze zwykłym spokojnym zadowoleniem. — Nowy dzień — kto wie, co może przynieść?

Odpoczęła chwilę, odkładając robótkę i pozwalając myślom przepływać leniwie... Selina Hazy... jaki ładny domek miała w St Mary Mead... a teraz ktoś położył ten paskudny zielony dach... Bułeczki... Nie żałowano masła... bardzo dobre... I elegancko podany, staroświecki, anyżowy placek! Nie podejrzewała ani przez moment, że te rzeczy mogły być takie jak dawniej... ostatecznie czas nie stał w miejscu... A zatrzymanie go w taki sposób musiało kosztować masę pieniędzy... Nie było w tym hotelu ani kawałka plastyku!... Doszła do wniosku, że musiało się to właścicielom opłacać. Niemodne wraca do łask jako malownicze. Popatrz, ludzie chcą mieć znowu te staroświeckie różyczki i pogardzane herbatki!... Nic tutaj nie wygląda realnie... A dlaczego miałyby być inaczej? To już pięćdziesiąt, nie, prawie sześćdziesiąt lat od czasu, jak tu mieszkała. I nie wydaje się to rzeczywiste, ponieważ już się zaaklimatyzowała w obecnym Roku Pańskim. Naprawdę, to był bardzo interesujący zestaw problemów... Atmosfera i ludzie... Panna Marple energicznie odsunęła robótkę.

— Pieniądze — powiedziała głośno. — Uważam, że to pieniądze. Ale dosyć trudno przekonać się...

Czy wszystko to mogło tłumaczyć uczucie dziwnego niepokoju, jakie męczyło ją ostatniej nocy? Wrażenie, że coś nie jest w porządku?... Ci starsi ludzie byli naprawdę niezmiennie podobni do tamtych, sprzed kilkadziesiąt lat. Ale wtedy byli naturalni, a teraz zdawali się nieprawdziwi. U dzisiejszych starszych ludzi uderzał wyraz zmęczenia domowymi troskami, z którymi się borykali; biegali na zebrania komitetów, usiłowali być zaafierowani i wyglądać na wtajemniczonych w jakieś sprawy. Niektórzy farbowali włosy na fioletowo czy nosili peruki, a ich ręce były szorstkie od prania i detergentów, tak różne od tych, które pamiętała — wąskich i delikatnych.

A więc dobrze, ci ludzie nie wyglądali realnie. Istotne było jednak to, że istnieli naprawdę. Selina Hazy była prawdziwa. I ten przystojny, starszy wojskowy, siedzący w rogu, również spotkała go kiedyś, choć nie pamiętała jego nazwiska. Natomiast biskup (drogi Robbie) umarł przed laty.

Panna Marple spojrzała na swój mały zegarek. Była ósma trzydzieści. Czas na śniadanie.

Sprawdziła informację hotelową, leżącą na sekretarzyku. Wspaniałe, wielkie litery, nie trzeba wkładać okularów. Przeczytała, że posiłki można było zamawiać telefonicznie w pokoju służbowym, albo przez naciśnięcie guzika z napisem „pokojówka”.

Panna Marple wybrała ten drugi sposób. Rozmowa z pokojem służbowym zawsze ją denerwowała.

Rezultat był znakomity. W mig rozległo się dyskretne pukanie do drzwi i ukazała się w nich młoda osoba wyglądająca bardzo stosownie. Prawdziwa pokojówka, równie jak cały hotel nierealna, ubrana w suknię w paski lawendowego koloni i autentyczny, świeżo uprany czepek. Uśmiechnięta, różowa, prawdziwie wiejska twarz. Skąd oni biorą takich ludzi.

Panna Marple zamówiła śniadanie. Herbata, jajka w koszulkach, świeże bułeczki. Pokojówka była tak bystra, że nawet nie wspomniała o soku pomarańczowym ani o płatkach zbożowych.

Pięć minut później, podano śniadanie. Wygodna taca, z wielkim, brzuchatym czajnikiem do herbaty, mleko jak śmietanka, srebrny dzbanek wrzątku. Dwa śliczne jajka na grzankach, ugotowane jak trzeba, spora, okrągła porcja masła, z wyciśniętym wzorkiem — kwiatem ostu, zamiast małych, twardych kulek kształtowanych metalową foremką. Marmolada, miód, dżem truskawkowy. Apetycznie wyglądające bułeczki nie były twarde, jak z masy papierowej i pachniały świeżym pieczywem (najpiękniejszy zapach na świecie). Podano też jabłko, gruszkę i banana.

Panna Marple przecięła jajko delikatnie, ale pewnie. Nie rozczarowała się: wyciekło ciemnozłote żółtko, gęste jak krem. Należycie przyrządzone jajko!

Wszystko było gorące. Prawdziwe śniadanie! Potrafiłaby je przygotować sama, ale nie musiała. Zostało przyniesione, jakby... nie, nie jakby była królową, lecz damą w średnim wieku, która zatrzymała się w dobrym, acz nie nadmiernie kosztownym hotelu. Prawdziwy powrót do roku 1909. Panna Marple wyraziła uznanie pokojówce, która odpowiedziała uśmiechając się:

— O tak, proszę pani, szef kuchni bardzo dba o śniadania.

Panna Marple obejrzała ją taksujące. Hotel „Bertram” potrafił na pewno robić cuda. Prawdziwa pokojówka. Ścisnęła delikatnie jej ramię.

— Długo tu jesteś? — spytała.

— Ponad trzy lata, proszę pani.

— A przedtem?

— Byłam w hotelu w Eastbourne. Bardzo nowoczesny i modny, ale wolę tradycyjne miejsca, takie

jak tutaj.

Panna Marple wypła łyk herbaty. Poczła dziwne oszołomienie. Słowa pasowały do dawno zapomnianej piosenki: „Och, gdzie byłaś przez całe me życie...”

Pokojówka wydawała się lekko zaskoczona.

— Przypomniałam sobie właśnie starą piosenkę — uśmiechnęła się przepaszająco stara panna. — Była bardzo popularna w swoim czasie.

Znowu zaśpiewała cicho: „Och, gdzie byłaś, przez całe me życie...”

— Może znasz to? — zapytała.

— Niece — pokojówka wydawała się trochę zmieszana.

— Dla ciebie to zbyt dawne czasy — powiedziała panna Marple. — Ach, jak dobrze się wspomina w takim miejscu.

— Tak, proszę pani, chyba wiele pań, które tu zajeżdżają, myśli podobnie.

— I podejrzewam, że dlatego tutaj przyjeżdżają — rzekła panna Marple.

Pokojówka wyszła. Była przyzwyczajona do starych dam, które szczebiotały i snuły wspomnienia.

Panna Marple skończyła śniadanie i podniosła się leniwie. Miała gotowy plan spędzenia przyjemnego ranka na zakupach. Nie za długo — żeby się nie przemęczyć. Dzisiaj może Oxford Street. A jutro Knightsbridge. Była uszczęśliwiona.

Wyszła z pokoju o dziesiątej, kompletnie wyekwipowana: kapelusz, rękawiczki, parasolka w futerale, gdyż to wygląda ładnie, torebka, najlepsza torba na zakupy...

Drzwi narożnego apartamentu otworzyły się i ktoś wyjrzał. Bess Sedgwick. Cofnęła się do pokoju i zamknęła drzwi równie gwałtownie, jak otworzyła.

Schodząc na dół, panna Marple zastanawiała się. Rano wolała schody zamiast windy. To ułatwiało jej rozruszanie się.

Szła coraz wolniej... Wreszcie stanęła.

## II

Kiedy pułkownik Luscombe kroczył korytarzem do swego pokoju, drzwi u szczytu schodów na drugim piętrze otwarły się szybko. Lady Sedgwick powiedziała:

— Jesteś nareszcie! Wypatrywałam cię. Gdzie możemy porozmawiać, bez potykania się co chwila o stare baby?

— No, doprawdy Bess, nie jestem pewien... chyba na półpiętrze jest jakiś gabinet.

— Lepiej wejdź tutaj. Szybko, zanim pokojówce przyjdą do głowy grzeszne myśli na nasz temat.

Pułkownik dość niechętnie przestąpił próg, a drzwi zamknęły się za nim energicznie.

— Nie miałem pojęcia, że mieszkasz tu Bess, nie miałem najmniejszego pojęcia.

— Spodziewani się.

— Chcę powiedzieć, że nigdy nie sprowadziłbym tu Elwiry. Wiesz, że ona jest lulaj?

— Tak, widziałam ją z tobą wczoraj wieczorem.

— Ale ja naprawdę nie wiedziałem, że tu mieszkasz. Ten hotel wydaje się miejscem nieodpowiednim dla ciebie.

— Nie rozumiem dlaczego — powiedziała lady Sedgwick chłodno. — Ostatecznie to najwytworniejszy hotel w Londynie. Z jakiego powodu nie miałabym się tu zatrzymać?

— Musisz zrozumieć, że nie miałem pojęcia o... chcę powiedzieć...

Spojrzała na niego i uśmiechnęła się. Była ubrana do wyjścia, w dobrze skrojony kostium ze szmaragdową bluzką. Wyglądała na wesołą, pełną życia kobietę. Pułkownik Luscombe wydawał się przy niej stary i zwiędły.

— Kochany Derku, nie patrz na mnie z takim niepokojem. Nie oskarżam cię o próbę zaaranżowania sentymentalnego spotkania matki i córki. Takie rzeczy się zdarzają: ludzie spotykają się w najmniej spodziewanych miejscach. Ale musisz zabrać stąd Elwirę natychmiast,

— Och, ona wyjeżdża. Przywiozłem ją tylko na parę nocy. Po prostu atrakcja. Jutro wyjeżdża do Melfordów.

— Biedna dziewczyna, to będzie dla niej nudne.

Pułkownik spojrzał z zainteresowaniem:



— Myślisz, że będzie się tam bardzo nudzić? Bess zlitowała się nad nim:

— Prawdopodobnie nie, szczególnie po włoskim rygorze. Może nawet uważać tamtejsze życie za szalenie emocjonujące.

Luscombe zebrał całą odwagę:

— Słuchaj, Bess, byłem zaskoczony twoją obecnością tutaj, ale nie myśl, że chcę to wykorzystać. Uważam wprawdzie, że to znakomita okazja... Nie sądzę, że naprawdę zdajesz sobie sprawę... no, że rozumiesz, co dziewczyna może odczuwać.

— Co ty usiłujesz powiedzieć, Derek?

— Cóż, jesteś jej matką.

— Oczywiście, jestem jej matką. Ona jest moją córką. I co dobrego wynika z tego faktu, lub może wyniknąć w przyszłości dla nas obu?

— Tego nie możesz wiedzieć. Myślę... myślę, że ona chce cię zobaczyć.

— Skąd ci przychodzą takie pomysły? — spytała Bess ostro. ;

— Wczoraj powiedziała” coś w tym rodzaju. Pytała, gdzie jesteś, co robisz.

Bess podeszła do okna, Stała chwilę, bębniąc palcami po szybie.

— Jesteś naprawdę miły, Derek. Masz takie sympatyczne pomysły. Tyle tylko, że nierealne. Musisz to sobie wreszcie powiedzieć. Są nierealne i mogą być niebezpieczne.

— Cóż znowu, Bess. Niebezpieczne?

— Tak, tak, tak. Niebezpieczne. Jestem niebezpieczna. Zawsze byłam.

— Kiedy pomyślę o kilku twoich wyczynach... — rzekł pułkownik.

— To moje własne sprawy — przerwała Bess.

— Wyścig z niebezpieczeństwem stał się dla mnie przyzwyczajeniem. Nie, nie przyzwyczajeniem, czymś więcej. Jest jak narkotyk. Jak te małe dawki heroiny, które nałogowcy muszą brać coraz częściej. Ryzyko nadaje życiu żywe kolory i wartość. Dobrze. To moje zmartwienie. Nigdy nie brałam narkotyków, nie potrzebowałam ich. Moim narkotykiem było niebezpieczeństwo. Ale ludzie, żyjący tak jak ja, mogą zrobić krzywdę innym. Nie bądź upartym starym durniem, Derek. Trzymaj Elwirę z dala ode mnie. Nie mogę przynieść jej niczego dobrego. Tylko krzywdę. Jeśli to możliwe, niech się nawet nie dowie, że mieszkałam w tym samym hotelu. Zadzwoń do Melfordów i zabierz ją dzisiaj. Przepraszam za nagłą zmianę.

Pułkownik Luscombe zawahał się, szarpiąc wąsy.

— Myślę, że popełniasz błąd, Bess — westchnął.

— Pytała o ciebie. Powiedziałem, że jesteś za granicą.

— Dobrze więc, będę tam przed upływem dwunastu godzin, więc wszystko się zgadza.

Podeszła, pocałowała go w czubek brody, okręciła szybko, jakby bawili się w ciuciubabkę, otworzyła drzwi i lekko wypchnęła. Znalazłszy się na korytarzu, pułkownik Luscombe zauważył starą damę, zawracającą ze schodów. Mamrotała do siebie, szukając czegoś w torebce.

— Mam nadzieję, że zostawiłam to w pokoju. Ojej!

Minęła pułkownika, nie poświęcając mu większej uwagi, ale kiedy zszedł, panna Marple zatrzymała się przed drzwiami swego pokoju i rzuciła za nim przenikliwe spojrzenie. Potem popatrzyła w kierunku apartamentu Bess Sedgwick.

— Więc to na niego czekała — rzekła do siebie. — Ciekawa jestem, dlaczego.

### III

Kanonik Pennyfather, pokrzepiony śniadaniem, przewędrował przez hali, przypomniał sobie, żeby zostawić klucz w recepcji, przeszedł szczęśliwie przez wahadłowe drzwi i został usadowiony w taksówce przez irlandzkiego portiera, zatrudnionego między innymi w tym celu.

— Dokąd, sir?

— Och — powiedział kanonik Pennyfather z nagłą konsternacją — zaraz, niech się zastanowię. Dokąd ja szedłem?

Ruch uliczny na Pond Street został wstrzymany na parę chwil, podczas których kanonik Pennyfather i portier rozpatrywali ten zawiły problem.

Ostatecznie na wielebnego spłynęło natchnienie i taksówka skierowała się do British Museum.

Portier został na chodniku, uśmiechając się szeroko, a ponieważ nie znalazł się nikt inny, kto potrzebowałby taksówki, odbył mały spacer wzdłuż fasady hotelu, pogwizdując cicho starą melodię.

Jedno z okien na parterze otwarło się gwałtownie, ale portier nie odwrócił nawet głowy, dopóki nie zabraniał głosu:

— Więc tu wylądowałeś, Micky. Co, na Boga, przyniosło cię w to miejsce?

Odwrócił się przerażony i wytrzeszczył oczy.

Lady Sedgwick wysunęła głowę przez okno.

— Nie poznajesz mnie? — spytała. Błysk pojawił się w oczach mężczyzny:

— Ale, toż to mała Bessie! Patrzcie! Po tylu latach. Mała Bessie.

— Nikt oprócz ciebie nie nazywał mnie Bessie. To wstrętne imię. Co robiłeś przez ostatnie lata?

— To i owo — odparł Micky z pewną powściągliwością. — Nie pisano o mnie w kronikach towarzyskich, jak o tobie. Czytałem o twoich sprawkach wiele razy.

Bess Sedgwick roześmiała się.

— W każdym razie lepiej się trzymam niż ty. Pijesz za dużo. Zawsze tak było.

— Trzymasz się dobrze, bo stale miałaś pieniądze.

— Pieniądze nie przyniosłyby ci nic dobrego. Piłbyś jeszcze więcej i zszedłbyś zupełnie na psy. O tak, na pewno! Co cię tu przyniosło? Chcę wiedzieć. Jak, u licha, dopiąłeś tego, że zaangażowano cię

tutaj?

— Szukałem pracy. Miałem to — trącił rząd medali na piersi.

— Widzę — zamyśliła się. — Do tego wszystkie prawdziwe, co?

— Jasne, że prawdziwe. Dlaczego nie?

— Och, wierzę ci. Zawsze byłeś odważny. Byłeś dobrym żołnierzem. Tak, wojsko pasuje do ciebie. Jestem tego pewna.

— Wojsko pasuje w czasie wojny, ale nie jest dobre w czasie pokoju.

— Więc wzięłaś taką robotę. Nie miałam pojęcia... — przerwała.

— O czym nie miałaś pojęcia, Bessie?

— Głupstwo. To dziwne, spotkać cię po tylu latach.

— Ja nie zapominałem — powiedział mężczyzna.

— Nigdy nie zapominałem ciebie, mała Bessie. Ach! Jaką cudowną dziewczyną byłaś. Rozkoszną dziewczuszką.

— Największą idiotką wśród dziewcząt — rzuciła lady Sedgwick.

— To prawda. Nie miałaś wiele rozumu. Gdyby było inaczej, nie zajęłabyś się mną. Ale miałaś złote ręce do koni! Pamiętasz tę klacz? — zaraz, jak ona się nazywała?

— Molly O'Flynn. To był wcielony diabeł.

— Ty jeden potrafiłeś na niej jeździć.

— Zrzucała mnie, jak tylko mogła! Kiedy nie potrafiła tego zrobić, ulegała. Ach, co to była za piękność. Ale skoro mówimy o jeździe konnej, nie było żadnej damy lepszej pod tym względem od ciebie. Świetna postawa, znakomite ręce. Nigdy nie bałaś się ani przez moment! I nadal tak jest, o ile wiem. Samoloty, samochody wyścigowe.

Bess Sedgwick zaśmiała się.

— Muszę wrócić do moich listów — cofnęła się od okna.

Micky pochylił się nad balustradą.

— Nie zapominałem Ballygowlan — powiedział z namysłem. — Czasem myślałem o napisaniu do ciebie...

Głos Bess Sedgwick zabrzmiał szorstko:

— Co chcesz przez to powiedzieć, Micku Gorman?

— Mówiłem ci już, że nie zapomniałem niczego. Nawet chętnie cię wspominam.

— Jeśli chcesz zrobić to, co masz na myśli, dam ci radę. Gdy tylko sprawisz mi kłopot, zastrzelę cię jak psa. Zabijałam już przedtem...

— Może za granicą...

— Za granicą, czy tu, wszystko mi jedno.

— Dobry Boże, wierzę, że mogłabyś to zrobić! — w głosie Micka słychać było podziw. — W Ballygowlan...

— W Ballygowlan — ucieła — kupili cię, żebyś trzymał gębę zamkniętą i dobrze ci zapłacili. Wzięłeś pieniądze. Nie dostaniesz więcej ode mnie, jeśli tego się spodziewasz.

— To była miła, romantyczna historia w niedzielnych gazetach...

— Słyszałeś, co powiedziałam?

— Ach — zaśmiał się — nie mówię poważnie, po prostu żartowałem. Nie zrobię niczego, by skrzywdzić małą Bessie. Będę trzymał gębę na kłódkę.

— Pamiętaj o tym — rzekła ostrym tonem lady Sedgwick. Zamknęła okno. Patrząc bezmyślnie na biurko przed sobą, zobaczyła na bibule nie dokończony list. Zgniotła go w kulę i wyrzuciła do kosza na śmieci. Potem podniosła się i wyszła. Opuściła pokój, nie rozejrzawszy się nawet po nim.

Mniejsze gabinety u „Bertrama” wyglądały często, jakby były puste, nawet jeżeli tak nie było. Pod oknami stały dwa dobrze wyposażone biurka, po prawej stół, na którym leżało kilka magazynów, po lewej, przed kominkiem, dwa bardzo wygodne fotele, z wysokimi oparciami. Było to ulubione miejsce starszych wojskowych i oficerów marynarki, gdzie można było ukryć się i zapaść w rozkoszną popołudniową drzemkę, aż do pory tradycyjnej filiżanki herbaty. Ktoś wchodzący, aby napisać list, zazwyczaj ich nie zauważał. Rano fotele nie miały takiego powodzenia.

Tego jednak ranka tak się złożyło, że oba fotele były zajęte. W jednym siedziała stara dama, w drugim — młoda dziewczyna, która po chwili podniosła się. Stała patrząc niepewnie w stronę drzwi, którymi wyszła lady Sedgwick, potem udała się wolno w tym samym kierunku. Twarz Elwiry Blake była śmiertelnie blada.

Upłynęło około pięciu minut, zanim stara dama poruszyła się. Panna Marple zdecydowała wreszcie, że mały wypoczynek, który urządzała sobie zawsze po toalecie i zejściu na dół, trwał wystarczająco długo. Nadszedł czas, aby wyjść i radować się atrakcjami Londynu. Mogła przejść się do Piccadilly i wsiąść w autobus nr 9 jadący do High Street w Kensington, mogła też pójść na Bond Street i tam wsiąść w nr 25 do Marshalla i Snelgrove'a, albo pojechać autobusem 25 w drugą stronę, co, o ile pamiętała, doprowadziłoby ją do Domu Towarowego Armii i Marynarki. Wychodząc przez wahadłowe drzwi delectowała się już w myśli czekającymi ją rozkoszami. Portier, wróciwszy do

obowiązków, zdecydował się podejść.

— Zaczeka pani na taksówkę, madame — powiedział stanowczo.

— Nie sędzę — odparła panna Marple. — Myślę, że mogłabym wsiąść w autobus numer 25 tutaj, albo w numer 2 z Park Lane.

— Nie będzie pani przecież czekać na autobus — upierał się portier. — Jazda autobusem jest ogromnie niebezpieczna dla osób w podeszłym wieku. W jaki sposób jeżdżą ci kierowcy! Szarpiają tak, że ledwie można ustać na nogach. Ci faceci nie mają w ogóle serca. Zagwizdę na taksówkę i dojedzie pani, dokąd zechce, jak królowa.

Panna Marple zastanowiła się i uległa:

— Dobrze zatem — zgodziła się. — Może lepiej wziąć taksówkę.

Portier nie musiał nawet gwizdać. Zwyczajnie trzasnął palcami i taksówka zjawiła się, jak zaczarowana. Panna Marple została w niej umieszczona z największą troskliwością i bez namysłu zdecydowała się jechać do Robinsona i Clevera, aby obejrzeć ich wspaniałe prześcieradła z czystego lnu. Siedziała uszczęśliwiona w taksówce, czując się, jak to jej obiecał portier, prawie jak królowa. Cieszyła się z góry na myśl o metrach lnianych płócien, poszewkach, serwetkach i ściereczkach bez bananów, fig, albo tresowanych psów i innych rysunkowych szaleństw, sprawiających kłopot podczas prania.

Lady Sedgwick podeszła do recepcji:

— Czy pan Humfries jest w swoim biurze?

— Tak, lady Sedgwick — panna Gorringe wydawała się zdziwiona.

Bess Sedgwick przeszła za kontuar, zapukała do drzwi i weszła, nie czekając na odpowiedź. Pan Humfries spojrzał zdumiony:

— Co...

— Kto zaangażował tego człowieka, Michaela Gormana?

Humfries zająknął się lekko:

— Parfitt odszedł, miał wypadek samochodowy miesiąc temu. Musieliśmy go szybko zastąpić. Ten człowiek wydawał się w porządku. Referencje o.k., były wojskowy, może niezbyt bystry, ale to jest czasem lepsze, niż... Czy pani wie o czymś, co świadczy przeciw niemu?

— Dość, aby nie życzyć go sobie tutaj.

— Jeżeli pani chce — powiedział Humfries wolno — damy mu wypowiedzenie.

— Nie — odrzekła lady Sedgwick po namyśle.

— Jest za późno. Mniejsza o to.

# Rozdział szósty



— Elwira!

— Hallo, Bridget!

Panna Elwira Blake weszła przez frontowe drzwi 180 Onslow Square, które jej przyjaciółka Bridget otworzyła, gdy tylko dostrzegła nadchodzącą.

— Chodźmy na górę — rzekła Elwira.

— Tak, lepiej chodźmy, w przeciwnym razie mamusia nas przyłapie.

Dziewczyny wbiegły na schody, umykając matce Bridget, która chwilę potem wyszła ze swojej sypialni.

— Naprawdę jesteś szczęśliwa, że nie masz matki — powiedziała Bridget trochę zdyszana, gdy tylko wprowadziła przyjaciółkę do swego pokoju i zamknęła dokładnie drzwi. — Mamusia jest kochana i tak dalej, ale te wszystkie pytania, które zadaje! „Dokąd idziesz” i „z kim masz się spotkać?” I „czy to są kuzynowie kogoś tego nazwiska z Yorkshire?” To beznadziejne.

— Przypuszczam, że matki nie mają czym się zająć — odparła Elwira wymijająco. — Słuchaj, Bridget, muszę załatwić coś szalenie ważnego i musisz mi pomóc.

— Dobrze, pomogę ci, jeśli potrafię. Co to jest, mężczyzna?

— Nie, szczerze mówiąc, nie. — Bridget wydawała się rozczarowana. — Muszę wyjechać do Irlandii na dwadzieścia cztery godziny, a być może na dłużej i ty musisz mnie kryć.

— Do Irlandii? Po co?

— Nie mogę ci teraz powiedzieć wszystkiego. Nie ma czasu. O pół do drugiej spotykam się z moim opiekunem, pułkownikiem Luscombe, na lunchu u Pruniera.

— A co zrobiłaś z tą Carpenter?

— Zwiałam jej u Debenhama. Bridget zachichotała.

— A po lunchu zawiozą mnie do Melfordów. Mam mieszkać u nich aż do ukończenia dwudziestu jeden lat.

— Okropność!

— Myślę, że dam sobie radę. Kuzynkę Mildred można bardzo łatwo nabrać. Zostało ustalone, że będę chodziła na różne kursy. To się nazywa „Dzisiejszy Świat”. Prowadzą cię na wykłady, do

muzeów i galerii malarstwa, kościołów i tak dalej. Rzecz w tym, że nikt nie wie, gdzie jesteś albo gdzie powinnaś być. Wykombinujemy masę rzeczy.

— Sądzę, że tak — zachichotała znowu Bridget. — Dałyśmy sobie przecież radę we Włoszech, co? Stara makaroniara myślała, że tak dobrze nas pilnuje. Nie wiedziała, co potrafimy zdziałać, kiedy się postaramy.

Obie dziewczyny zaśmiały się w przyjemnym poczuciu przestępstwa uwieńczonego powodzeniem.

— Jednak trzeba się strasznie nagłowić — zauważyła Elwira.

— I wymyślić kilka doskonałych kłamstw — dorzuciła Bridget. — Miałaś wiadomość od Gwidona?

— Och, tak, napisał do mnie długi list, podpisany Ginewra, jakby był moją przyjaciółką. Ale nie gadaj tyle, Bridget. Mamy dużo do zrobienia i tylko półtorej godziny na to. Na jutro mam zamówioną wizytę u dentysty. To łatwe, mogę ją odwołać telefonicznie, albo ty możesz zadzwonić. Potem, koło południa, zatelefonujesz do Melfordów udając swoją matkę i wytłumaczysz, że dentysta chce zobaczyć mnie jeszcze następnego dnia i że zostanę u ciebie.

— Powinno się udać. Powiedzą, że to miło i uprzejmie. Ale przypuśćmy, że nie wrócisz następnego dnia?

— Wtedy będziesz miała więcej telefonowania. Bridget popatrzyła niepewnie.

— Będziemy miały masę czasu na wymyślenie czegoś — powiedziała Elwira niecierpliwie. — Co mnie teraz trapi, to pieniądze. Pewnie masz niewiele.

— Tylko około dwóch funtów.

— To niedobrze. Muszę kupić bilet na samolot. Przejrzałam rozkład lotów. Podróż trwa tylko dwie godziny. Wiele zależy do tego, ile czasu będę potrzebowała, kiedy dotrę na miejsce.

— Nie mogłabyś mi powiedzieć, co zamierzasz?

— Nie, nie mogę. Ale to jest naprawdę okropnie ważne.

Głos Elwiry był tak zmieniony, że Bridget spojrzała na nią z pewnym zdziwieniem.

— To rzeczywiście takie ważne, Elwiro?

— Tak.

— Coś, o czym nikt nie powinien wiedzieć?

— Tak, właśnie coś takiego. To naprawdę wielki sekret. Muszę sprawdzić, czy coś jest prawdą, czy nie. Przykra sprawa z tymi pieniędzmi. Doprowadza mnie do szału, zwłaszcza, że jestem bardzo

bogata. Mój opiekun powiedział mi. A wszystko co mi dają, to nędzne grosze na ubranie, które rozchodzą się, gdy tylko je dostanę.

— A twój opiekun, pułkownik Jak–mu–tam, nie zechciałby ci pożyczyć trochę pieniędzy?

— Wcale by nie zechciał. Pytałby mnie o mnóstwo rzeczy i chciałby wiedzieć, na co są mi potrzebne.

— No tak, oczywiście, że tak. Nie rozumiem, dlaczego wszyscy zadają tyle pytań. Czy wiesz, że kiedy ktoś do mnie dzwoni, mamusia pyta, kto to jest? A to naprawdę nie jej sprawa!

Elwira przytaknęła, ale widać było, że myśli o czym innym.

— Zastawiałaś kiedyś coś cennego?

— Nigdy. Chyba nie wiedziałabym, jak się to robi.

— To zupełnie łatwe — rzekła Elwira. — Idzie się do takiego jubilera, który ma nad drzwiami trzy kule, prawda?

— Wydaje mi się, że nie mam niczego, co nadawałoby się do zastawienia.

— Twoja matka nie ma biżuterii?

— Jestem pewna, że nie byłoby dobrze prosić ją o pomoc.

— Być może. Ale mogłybyśmy spróbować coś świsnąć.

— Och, sądzę, że nie potrafiłybyśmy tego zrobić — powiedziała Bridget wstrząśnięta.

— Nie? Może masz rację. Ale założę się, że nawet by tego nie zauważyła. Zdążyłybyśmy to zwrócić, zanim spostrzegłaby brak. Już wiem. Pójdziemy do pana Bollarda.

— Kto to jest?

— Och, ktoś w rodzaju rodzinnego jubilera. Zna mnie od szóstego roku życia. Chodź, Bridget, idziemy tam natychmiast. Musimy się pośpieszyć.

— Wyjdźmy lepiej tylnymi drzwiami — rzekła Bridget. — Wtedy mamusia nie zapyta nas, dokąd idziemy.

Przed starym, szacownym sklepem Bollarda i Whistleya na Bond Street, dziewczyny poczyniły ostateczne przygotowania.

— Jesteś pewna, że zrozumiałaś, Bridget?

— Myślę, że tak — odrzekła Bridget głosem dalekim od entuzjazmu.

— Przede wszystkim — zsynchronizujmy zegarki — postanowiła Elwira.

Bridget rozjaśniła się trochę. Ten znany z literatury zwrot, miał podnoszące na duchu działanie. Z namaszczeniem nastawiły wskazówki.

— Godzina zero będzie za dwadzieścia pięć minut — powiedziała Elwira. — Będę miała masę czasu. Może więcej niż potrzebuję, ale tak będzie lepiej.

— Ale przypuścimy... — zaczęła Bridget.

— Że co?

— Że zostanę potrącona naprawdę?

— Oczywiście nie — uspokoiła ją Elwira. — Wiesz, jak szybko umiesz biec, a poza tym kierowcy londyńscy potrafią zatrzymać się błyskawicznie. Wszystko pójdzie jak z płatka.

Bridget nie wydawała się zbyt przekonana.

— Nie sprawisz mi zawodu, prawda, Bridget?

— W porządku — odparła dziewczyna. — Nie zawiodę cię.

— Dobrze.

Bridget przeszła na drugą stronę ulicy, a Elwira pchnęła drzwi starej, renomowanej firmy jubilersko-zegarmistrzowskiej panów Bollarda i Whistleya. Wewnątrz panowała przyjemna, spokojna atmosfera. Imponująco wyglądający pan, odziany w surdut, wyszedł naprzeciw i zapytał Elwirę, czym mógłby jej służyć.

— Czy mogłabym się zobaczyć z panem Bollardem?

— Panem Bollardem... Jakie nazwisko mam podać?

— Panna Elwira Blake.

Imponujący pan zniknął, a Elwira podeszła do kontuaru, gdzie pod szklaną taflą, na aksamitach stosownych odcieni ukazywały swoje zdobione kamieniami kształty brosze, pierścionki i bransolety. Po krótkiej chwili ukazał się pan Bollard. Był to szef firmy, starszy pan, około sześćdziesiątki. Powitał Elwirę z ciepłą zyczliwością.

— Ach, panna Blake. Więc jest już pani w Londynie. To wielka przyjemność widzieć panią. Czym mogę służyć?

Elwira wyjęła mały, delikatny, wieczorowy zegarek na rękę.

— Nie chodzi dokładnie — powiedziała. — Czy mógłby pan coś z nim zrobić?

— Oczywiście. To nic trudnego. — Pan Bollard wziął zegarek. — Na jaki adres go odesłać?

Podawała adres.

— A teraz inna sprawa — zaczęła. — Mój opiekun, pułkownik Luscombe — wie pan...

— Tak, tak, naturalnie.

— Pytał mnie, co chciałabym na prezent gwiazdkowy. Podsunął myśl, żebym poszła do pana i obejrzała kilka drobiazgów. Miał ochotę pójść ze mną, ale powiedziałam, że wybiorę się najpierw sama, ponieważ wydawało mi się to troszkę kłopotliwe, prawda? Mam na myśli ceny i tak dalej.

— Tak, jest na pewno i taki aspekt sprawy — zgodził się pan Bollard, promieniując dobroduszością. — A teraz, o czyni pani myśli, panno Blake? Broszka, bransoletka, pierścionek?

— Uważam, że broszki przydają się bardziej — rzekła Elwira. — Ale jeszcze się zastanawiam. Czy mógłby mi pan pokazać dużo różnych rzeczy? — patrzyła błagalnie. Pan Bollard uśmiechnął się życzliwie.

— Oczywiście, oczywiście. Nie ma żadnej przyjemności, jeśli podejmuje się decyzję szybko, prawda?

Następne pięć czy sześć minut upłynęło bardzo przyjemnie. Dla pana Bollarda nic nie było zbyt kłopotliwe. Wyciągał biżuterię z tej i owej gabloty, gromadząc ją na kawałku rozpostartego przed Elwirą aksamitu. Dziewczyna od czasu do czasu obracała się, aby sprawdzić w lustrze efekt broszki czy wisiorka. Na koniec, dość niezdecydowanie odłożyła ładną bransoletę, zegareczek wysadzany brylantami i dwie broszki.

— Zanotujemy to sobie — powiedział pan Bollard — i kiedy pułkownik Luscombe będzie następnym razem w Londynie, może przyjdzie i wybierze to, co chciałby pani ofiarować.

— Uważam, że to sposób bardzo miły — rzekła Elwira. — Będzie się czuł, jakby wybrał dla mnie prezent osobiście, prawda? — Jej czyste, błękitne spojrzenie przesunęło się po twarzy jubilera. To samo błękitne spojrzenie zarejestrowało moment wcześniej, że mija właśnie dwadzieścia pięć minut po umówionej godzinie.

Na zewnątrz rozległ się pisk hamulców i głośny, dziewczęcy krzyk. Naturalnie oczy wszystkich w sklepie zwróciły się ku oknom wychodzącym na Bond Street. Ruch ręki Elwiry na kontuarze, a potem do kieszeni eleganckiego kostiumu, był tak szybki i dyskretny, że trudno byłoby go dostrzec, nawet gdyby ktoś patrzył.

— No, no — powiedział pan Bollard wracając z miejsca, z którego patrzył na ulicę. — Niewiele brakowało. Niemądra dziewczyna! Przebiegać przez taką ruchliwą ulicę!

Elwira ruszyła właśnie w kierunku drzwi. Spojrzała na zegarek i wydała okrzyk.

— Ojej! Byłam tu o wiele za długo! Dziękuję panu, panie Bollard, nie zapomni pan, które rzeczy

wybrałam, prawda? W następnej chwili była już za drzwiami. Skręciła szybko w lewo, potem jeszcze raz i zatrzymała się pod arkadami sklepu z obuwem, czekając aż Bridget, trochę zadyszana, dołączy do niej.

— Och — jęknęła. — Byłam przerażona. Myślałam, że zginę. I zrobiłam sobie dziurę w pończosze.

— Mniejsza o to — rzuciła Elwira i pociągnęła przyjaciółkę ulicą, skręcając jeszcze raz w prawo. — Chodźmy.

— Czy jest... czy było... udało ci się?

Elwira włożyła rękę do kieszeni i wyjęła bransoletkę ze szmaragdów i diamentów.

— Ach, Elwiro, jak się nie bałaś!

— Teraz, Bridget, musisz iść do tego lombardu, który zobaczyliśmy tam dalej. Idź i dowiedz się, ile można za to dostać. Zażądaj setki.

— Czy myślisz... przypuszczalnie oni... mam na myśli... to może być na liście rzeczy skradzionych...

— Nie bądź głupia. Jakże mogłoby się znaleźć tak szybko na liście? Nawet nie zauważyli jeszcze straty.

— Ale kiedy spostrzegą, że to zginęło, pomyślą... może zorientują się, że to ty wzięłaś tę bransoletkę.

— Mogą tak pomyśleć, jeśli już odkryli stratę.

— No i potem pójdą na policję i...

Przerwała, gdyż Elwira powoli potrząsnęła głową, bladozłote włosy zakołysały się i lekki, zagadkowy uśmiech wykrzywił kąciki jej ust.

— Nie pójdą na policję, Bridget. Na pewno nie, jeśli nabiorą pewności, że ja to wzięłam.

— Ależ... co masz na myśli?

— Będę miała dużo pieniędzy, kiedy skończę dwadzieścia jeden lat. Wiedzą o tym i o tym też, że może zechcę kupować biżuterię u nich. Nie zrobią skandalu, Idź i weź szybko pieniądze. Potem pójdz do Aer Lingus i zarezerwuj bilet. Ja muszę złapać taksówkę do Pruniera. Jestem już dziesięć minut spóźniona. Przyjdę do ciebie jutro rano, około pół do jedenastej.

— Och, Elwiro, nie chcę, żebyś ryzykowała tak strasznie — lamentowała Bridget.

Ale Elwira już zatrzymała taksówkę.



## II

Panna Marple spędziła czas u Robinsona i Clevera bardzo przyjemnie. Poza kupnem drogich, lecz wspaniałych prześcieradeł — kochała lniane prześcieradła, ich fakturę i chłód — pozwoliła sobie także na zakup czerwono lamowanych ściereczek doskonałej jakości. Dziś naprawdę trudno dostać porządne ściereczki! Zamiast nich oferuje się rzeczy, które wyglądają raczej na serwetki; ozdobione są rzodkiewkami i homarami, wieżą Eiffla albo Trafalgar Square, czy cytrynami i pomarańczami. Zostawiwszy swój adres w St Mary Mead, panna Marple znalazła właściwy autobus, który zawiózł ją do Domu Towarowego Armii i Marynarki.

W minionych czasach ciotka panny Marple często odwiedzała ten magazyn. Dzisiaj, oczywiście, wyglądał zupełnie inaczej. Pomyślała o dawno nieżyjącej ciotce Helenie, która odszukiwała własnego, specjalnego subiekta w dziale kolonialnym i sadowiła się wygodnie na krześle, w czepku i czarnym popelinowym płaszczu. Potem następowały długie godziny, podczas których nikt się nie śpieszył, a ciotka Helena myślała o każdym artykule, który chciała nabyć i robiła zapasy na późniejszy użytek. Produkty kupione na Boże Narodzenie starczały niemal do Wielkanocy. Młoda Jane, towarzysząca ciotce Helenie, nudziła się trochę, więc wysyłano ją do działu szkła, aby się rozerwała.

Zakończywszy zakupy, ciotka Helena przystępowała do szczegółowego wypytywania o matkę, żonę, drugiego syna i ułomną bratową wybranego sprzedawcy. Spędziwszy tak całkiem miło poranek, ciotka pytała figlarną manierą owych dni: „A co moja dziewczynka sądziłaby o małym lunchu?” Po czym jechały windą na czwarte piętro i jadły lunch, kończący się zawsze truskawkowymi lodami.

Następnie kupowały pół funta kawowych czekoladek i jechały czwórką koni na poranek do Covent Garden.

Rzecz jasna, od tamtych czasów Dom Towarowy Armii i Marynarki przeszedł wiele przeróbek. Istotnie był teraz zupełnie nie do poznania. Wyglądał weselej i jaśniej. Panna Marple, choć posłała przeszłości dobrotliwy i pobłażliwy uśmiech, nie protestowała przeciwko udogodnieniom dnia dzisiejszego. Restauracja jednak była tam, gdzie poprzednio i stara dama postanowiła zjeść w niej lunch.

Kiedy starannie przeglądała menu, zanim zdecyduje się co wybrać, spojrzała na salę i jej brwi lekko się uniosły. Co za niezwykły zbieg okoliczności! Siedziała tu kobieta, której do wczoraj nigdy nie widziała, choć oglądała wiele jej fotografii w gazetach: na wyścigach konnych, na Bermudach albo przy własnym samolocie czy samochodzie. A teraz, jak to się często zdarza, spotkały się w najbardziej nieprawdopodobnym miejscu. Albowiem panna Marple jakoś nie kojarzyła restauracji w Domu Towarowym Armii i Marynarki z Bess Sedgwick. Nie byłaby zdziwiona widokiem Bess wyłaniającej się ze spelunki w Soho, ani wychodzącej z Covent Garden Opera House w wieczorowej sukni, z brylantowym diademem na głowie. Ale jakoś nie w Domu Towarowym Armii i Marynarki, który łączył się w umyśle panny Marple zawsze i wyłącznie z siłami zbrojnymi, ich żonami, córkami, ciotkami i babkami. Bess Sedgwick była tu jednak, elegancka, jak zwykle, w



ciemnym kostiumie i szmaragdowej bluzce i jadła lunch z mężczyzną. Z młodym mężczyzną, o szczupłej, jastrzębiej twarzy, ubranym w czarną, skórzaną kurtkę. Nachyleni ku sobie, rozmawiali z przejęciem, sięgając machinalnie do talenty, jakby zupełnie nie wiedzieli, co jedzą.

Czyżby umówione spotkanie? Prawdopodobnie tak. Mężczyzna musiał być o piętnaście lub dwadzieścia lat młodszy od niej, ale Bess Sedgwick prezentowała się wciąż jako kobieta pociągająca.

Panna Marple popatrzyła uważnie na młodego człowieka i uznała, że jest to, jak określała, „przystojny chłopiec”, który niezbyt się jej podoba. „Wygląda zupełnie jak Harry Russell”, myślała, wyławiając, jak zwykle, z przeszłości prototyp. „Nic dobrego. Kobiecie, która miała z nim do czynienia, nigdy nie wyszło to na dobre”.

— Nie przyjąłaby rady ode mnie — mruknęła pod nosem panna Marple — ale mogłabym jej coś powiedzieć. Jednak romanse innych ludzi nie były jej sprawą, a Bess Sedgwick, jak mówiono, sama potrafiła się troszczyć o siebie, jeśli już doszło do romansu.

Panna Marple westchnęła, skończyła lunch i postanowiła odwiedzić dział materiałów piśmiennych.

Ciekawość, albo, jak to wołała określać sama, „interesowanie się” sprawami innych ludzi, była niewątpliwie jedną z cech usposobienia starej damy.

Zostawiając rozmyślnie na stole rękawiczki, wsiadała i poszła do kasy, wybierając trasę biegnącą blisko stolika lady Sedgwick. Zapłaciwszy rachunek „odkryła” brak rękawiczek i wróciła po nie, w powrotnej drodze pechowo upuszczając torebkę, która otwarła się i wysypały się z niej różne drobiazgi. Kelnerka pośpieszyła z pomocą w ich pozbieraniu, a panna Marple była zmuszona okazać wielkie zmieszanie, oraz wysypać drobne i klucze po raz drugi.

Nie zyskała wiele dziwki tym fortelom, ale nie były one zupełnie bezowocne, a co ciekawe, żadne z obiektów jej zainteresowania nie poświęciło nawet spojrzenia roztrzęsionej, starej damie, trzymającej wysypane rzeczy,

Czekając na windę, panna Marple wspominała usłyszane urywki rozmowy.

— *Co z prognozą pogody?*

— *O.K. Nie ma mgły.*

— *Z Lucerną wszystko ustalone?*

— *Tak. Samolot odlatuje o 21.40.*

I to było wszystko, co podchwyciła za pierwszym razem. W drodze powrotnej miała nieco więcej czasu. Bess Sedgwick mówiła gniewnie:

— *Co cię opętało, żeby przyjść wczoraj do „Bertrama” — nie powinieneś zbliżyć się do tego miejsca.*

— *Wszystko w porządku. Zapytałem, czy tam mieszkasz, a każdy wie, że jesteśmy bliskimi przyjaciółmi.*

— *Nie o to chodzi. „Bertram” jest odpowiedni dla mnie. Nie dla ciebie. Pasujesz tam, jak garbaty do ściany. Wszyscy się na ciebie gapili.*

— *Pozwól im!*

— *Naprawdę, jesteś idiotą. Po co — na co? Jakie masz powody? No tak, ty masz powód — znam cię...*

— *Uspokój się, Hess.*

— *Co za kłamca z ciebie.*

Tyle udało się usłyszeć pannie Marple. Uznała to za interesujące.

# Rozdział siódmy

Wieczorem dziewiętnastego listopada kanonik Pennyfather skończył wcześniej obiad w Ateneum, skinął głową kilku znajomym, odbył też z satysfakcją zjadliwą dyskusję na temat datowania zwojów znad Morza Martwego i spojrzawszy na zegarek stwierdził, że czas już wyjść, by zdążyć na samolot do Lucerny. Kiedy przechodził przez hali, został głośno powitany przez jednego ze swoich licznych przyjaciół, doktora Whittakera, archeologa:

— Jak się masz, Pennyfather? Dawno cię nie widziałem. Jak ci poszło na kongresie? Były jakieś ciekawe tezy?

— Jestem pewny, że będą.

— Wracasz właśnie stamtąd?

— Nie, nie, jestem w drodze do Lucerny. Łapię właśnie samolot dziś wieczór.

— Ach, rozumiem — Whittaker wydawał się lekko zakłopotany. — Tak czy inaczej, myślałem, że kongres jest dzisiaj.

— Nie, jutro, dziewiętnastego.

Kanonik Pennyfather przeszedł właśnie przez drzwi, kiedy przyjaciel, patrząc za nim zawołał:

— Ależ chłopie, dzisiaj jest dziewiętnasty!

Kanonik oddalił się już jednak poza zasięg głosu Whittakera. Złapał taksówkę na Pall Mall i dotarł na lotnisko w Kensington. Tego wieczoru był tam spory tłok. Gdy wreszcie nadeszła jego kolej, podszedł do recepcji. Zdołał jakoś okazać bilet, paszport i inne potrzebne w podróży dokumenty. Dziewczyna za ladą przerwała nagle stemplowanie.

— Pan wybaczy, sir, ale to niewłaściwy bilet.

— Niewłaściwy? Nie, nie, jest zupełnie dobry. Lot sto...naprawdę nie widzę bez okularów — sto i coś do Lucerny.

— Chodzi o datę, sir. Ten jest datowany na środę, osiemnastego.

— No właśnie... Przynajmniej... sędzę... dziś jest środa, osiemnastego.

— Przykro mi, sir. Dziś jest dziewiętnasty.

— Dziewiętnasty! — kanonik był przerażony. Wyjąwszy mały kalendarzyk, przewracał żywo strony. W końcu znalazł. Dzisiaj jest dziewiętnasty. Samolot, który zamierzał złapać, odleciał

wczoraj.

— Więc to znaczy... to znaczy... więc kongres odbył się dzisiaj.

Głęboko przerażony, patrzył bezmyślnie na kontuar; było wielu podróżnych i kanonika z jego dylematem zepchnięto na bok. Stał żałośnie, trzymając w ręce bezużyteczny bilet. Zastanawiał się, co zrobić. Może zamienić bilet? Ale to na nic się nie zda — na pewno nie, która to godzina? Dochodzi dziewiąta wieczorem? Konferencja zapewne trwa, zaczęła się o dziewiątej rano. Oczywiście, to miał na myśli Whittaker w Ateneum. Sądził, że kanonik był już na kongresie.

— O Boże, Boże — mruknął do siebie. — Poplątałem wszystko. Smutny i milczący wyszedł na Cromwell Road, miejsce, w najlepszym razie, niezbyt wesołe. Szedł wolno ulicą, niosąc swój bagaż i rozważając w myśli sytuację. Kiedy wreszcie, ku swemu zadowoleniu, wyczerpał różne powody, dla których pomylił dzień, potrzęsnał melancholijnie głową.

— Teraz — powiedział do siebie — jest po dziewiątej... Myślę, że najlepiej będzie coś zjeść.

Ciekawe, pomyślał przy tym, że nie odczuwa głodu.

Wędrując ponuro przez Cromwell Road, wybrał ostatecznie małą restauracyjkę, w której podawano hinduskie curry. Wydało mu się, że choć nie jest tak głodny, jak powinien, najlepiej będzie podtrzymać ducha przez posiłek, a następnie znaleźć hotel i... ależ nie, to nie było konieczne. Miał hotel! Mieszkał u „Bertrama”; zarezerwował pokój na cztery dni. Co za szczęśliwy traf! Co za wspaniałe zdarzenie! Pokój, czekał na niego. Poprosi tylko o klucz w recepcji i... nasunęła mu się inna myśl. Coś ciężkiego w jego kieszeni?

Zanurzył rękę i wyjął jeden z tych wielkich, solidnych kluczy, których rozmiary mają zniechęcić gości hotelowych do zabierania ich ze sobą. Nie przeszkodziło to kanonikowi tak właśnie zrobić.

— Numer 19 — powiedział w szczęśliwym olśnieniu. — To dobrze. To bardzo szczęśliwie, że nie muszę szukać noclegu. Mówią, że właśnie teraz hotele są bardzo zatłoczone. Tak, mówił to Edmunds, dziś wieczór w Ateneum. To okropne zajęcie, szukać pokoju.

Zadowolony do pewnego stopnia z siebie i rozwiązania kłopotów podróżnych dzięki zarezerwowaniu hotelu, kanonik zostawił swoje curry, pamiętając wszakże o zapłaceniu i wyszedł ponownie na Cromwell Road.

Wydało mu się trochę banalne iść do domu, kiedy powinien, jedząc w Lucernie obiad, rozmawiać o różnych interesujących i fascynujących problemach. Dostrzegł w pobliżu kino. Dawano *Mury Jerycha*. Tytuł filmu wydał mu się wielce stosowny. Byłoby ciekawe przekonać się, czy autor scenariusza zachował biblijną ścisłość.

Kupił bilet i w ciemności dotarł do swego fotela. Film podobał mu się, choć chyba nie miał najmniejszego związku z biblijną historią. Nawet Jozue został pominięty. Mury Jerycha były tu tylko symbolem małżeńskich perypetii pewnej damy. Kiedy runęły kilkakrotnie, piękna gwiazda spotkała twardego i nieokrzesanego bohatera, którego potajemnie kochała i razem postanowili wznieśli mury,

co miało być zapowiedzią lepszych czasów. Nie był to film szczególnie odpowiedni dla starszych duchownych, ale kanonikowi bardzo się podobał. Nieczęsto widywał takie filmy, i czuł, że poszerzyło to jego wiedzę o życiu. W sali zapaliły się światła, odegrano hymn narodowy i kanonik Pennyfather powędrował wśród świateł Londynu, nieco pocieszony po wcześniejszych smutnych wydarzeniach wieczoru.

Była ładna noc i wrócił spacerem do hotelu „Bertram”, po uprzedniej przejażdżce autobusem kursującym w przeciwną stronę. Była północ, gdy dotarł do hotelu, a północ zwykle osłania wstydlivy wygląd każdego człowieka, idącego do łóżka. Winda stała na wyższym piętrze, więc kanonik wspiął się po schodach. Znalazł swój pokój, przekręcił klucz w zamku, otworzył szeroko drzwi i wszedł.

Boże litościwy, czyżby miał halucynacje? Ale kto... jak... Za późno dostrzegł podniesioną rękę...

Nad jego głową zamigotały miliony gwiazd...

# Rozdział ósmy

Irlandzki ekspres pędził przez noc, albo poprawniej, przez ciemności wczesnych godzin rannych.

Co pewien czas lokomotywa wydawała przeraźliwy gwizd. Pociąg rozwijał szybkość ponad osiemdziesięciu mil na godzinę. Był też punktualny.

W pewnej chwili pęd zmniejszył się gwałtownie, jakby zaczęły działać hamulce. Koła zazgrzytały, trąc o metal. Wolniej... coraz wolniej... Kierownik pociągu wychylił głowę przez okno i zauważył w przodzie czerwony sygnał. Kilku pasażerów obudziło się. Większość spała.

Pewna starsza dama, zaniepokojona nagłością hamowania, otworzyła drzwi i wyrzała na korytarz. Nieco dalej jedno z wejść do wagonu było otwarte. Starszy ksiądz z bujną, siwą czupryną, wspinał się po nasypie. Domyśliła się, że wysiadł poprzednio, aby się czegoś dowiedzieć.

Ranne powietrze niesło chłód. Ktoś na końcu korytarza powiedział:

— To tylko semafor.

Starsza pani cofnęła się do przedziału i spróbowała znowu zasnąć.

Na przodzie, od nastawni, biegł po torze jakiś człowiek, machając latarką. Palacz wysiadł z lokomotywy. Kierownik, który opuścił pociąg, dołączył do niego. Człowiek z latarką podszedł, zadyszany i wysapał:

— Przed wami poważny wypadek... Pociąg towarowy wykoleił się...

Maszynista wyrzał z kabiny, potem zszedł i także przyłączył się do tamtych.

Z tyłu sześciu mężczyzn, którzy właśnie wspięli się po nasypie, wsiadło do pociągu przez drzwi wagonu bagażowego, otwarte specjalnie dla nich. Sześciu pasażerów z innych wagonów spotkało się tam z nimi. W dobrze wyliczonym tempie zajęli się wagonem pocztowym, odpinając go od reszty składu. Dwaj ludzie w kominiarkach, z pałkami w rękach, stali na straży w przednim i tylnym przedziale.

Człowiek w mundurze kolejarza szedł korytarzem stojącego pociągu i udzielał wyjaśnień.

— Przeszkoda na linii przed nami. Dziesięć minut spóźnienia, może trochę więcej. — Brzmiało to przyjaźnie i uspokajająco.

Maszynista i palacz leżeli obok lokomotywy, zgrabnie związani i zakneblowani. Człowiek z latarką zawołał:

— Tutaj wszystko O.K.

Kierownik pociągu leżał przy nasypie, podobnie spętany, z kneblem w ustach.

W wagonie pocztowym sprawni włamywacze zrobili swoje. Jeszcze dwa związane ciała legły na podłodze. Worki pocztowe fruwały przez okno, odbierane przez ludzi czekających na nie na nasypie.

Pasażerowie w swoich przedziałach utyskiwali, że koleje nie są już takie, jak dawniej. Wtem, kiedy ułożyli się znowu do snu, z ciemności dobiegł ryk silnika.

— Boże wielki — mruknęła jakaś kobieta. — Czy to odrzutowiec?

— Powiedziałbym raczej, że wyścigowy samochód. Ryk zamarł w oddali...

Na szosie do Bedhampton, dziewięć mil dalej, długa kolumna nocnych ciężarówek posuwała się hałaśliwie na północ. Wielki, biały, wyścigowy samochód mignął obok nich. Dziesięć minut później skręcił w bok.

Na garażu na zakręcie bocznej drogi wisiała tabliczka „Zamknięte”. Mimo to duże wrota otwarły się szybko, a kiedy biały samochód wjechał do środka, natychmiast się za nim zamknęły. Trzej ludzie działali błyskawicznie. Przymocowano nowy komplet tablic rejestracyjnych. Kierowca zdjął biały kożuszek, włożył czarną, skórzaną kurtkę i wyjechał z garażu. Trzy minuty po jego odjeździe stary morris oksford, prowadzony przez księdza, wytoczył się, grzechocząc i rozpoczął podróż przez kręte wiejskie drogi.

Furgonetka jadąca wiejskim traktem zwolniła zbliżywszy się do starszego mężczyzny, stojącego przy wiekowym morrisie oksford.

Kierowca furgonetki wychylił się:

— Jakiś kłopot? Mogę pomóc?

— Bardzo uprzejmie z pana strony. Chodzi o moje światła.

Obaj kierowcy podeszli do siebie.

— Wszystko jasne.

Różne, kosztownie wyglądające, amerykańskie kasetki zostały przełożone z morrisa do furgonetki.

Milę czy dwie dalej furgonetka skręciła z drogi na coś, co wyglądało na wyboistą ścieżkę, ale niebawem okazało się tylnym dojazdem do wielkiej i okazałej rezydencji. Na dziedzińcu stał duży, biały mercedes. Kierowca furgonetki otworzył bagażnik kluczem, przełożył kasetki i odjechał swoim wozem.

Na pobliskim podwórzu hałaśliwie zapiał kogut.





# Rozdział dziewiąty

Elwira Blake spojrzawszy w niebo, stwierdziła, że poranek jest ładny i weszła do budki telefonicznej. Wykręciła numer Bridget, na Onslow Square. Dostawszy połączenie powiedziała:

— Hallo? Bridget?

— Och, Elwiro, czy to ty? — w głosie Bridget brzmiało podniecenie.

— Tak. Czy wszystko w porządku?

— Ach, nie. To było okropne. Twoja kuzynka, pani Milford zatelefonowała wczoraj po południu do mamusi.

— Żeby dowiedzieć się o mnie?

— Tak. Kiedy zadzwoniłam cło niej w porze lunchu, myślałam, że załatwiłam wszystko dobrze. Ale chyba zaniepokoiła się o twoje zęby. Obawiała się, że może to być coś naprawdę poważnego. Ropnie, albo coś w tym rodzaju. Więc skontaktowała się z dentystą, i naturalnie odkryła, że wcale u niego nie byłaś. Wtedy zatelefonowała do nas i nieszczęściem mamusia była właśnie przy aparacie. Wobec tego nie mogłam odebrać pierwsza. I oczywiście mamusia powiedziała, że o niczym nie wie, i że z całą pewnością nie zatrzymałaś się u nas. Nie wiedziałam, co robić?

— A co zrobiłaś?

— Udawałam, że nic nie wiem. Powiedziałam, że chyba mówiłaś coś o zamiarze odwiedzenia jakichś przyjaciół w Wimbledonie.

— Dlaczego w Wimbledonie?

— To było pierwsze miejsce, które przyszło mi do głowy.

Elwira westchnęła.

— No dobrze, myślę że coś wykombinuję. Może stara guwernantka, mieszkająca w Wimbledonie. Całe to zamieszanie komplikuje moje sprawy. Mam nadzieję, że kuzynka Mildred nie zrobiła prawdziwego głupstwa i nie zadzwoniła na policję, czy coś w tym rodzaju?

— Jedziesz tam teraz?

— Dopiero wieczorem. Mam mnóstwo roboty.

— Dotarłaś do Irlandii? Poszło dobrze?

— Odkryłam to, co chciałam.

— To brzmi... jakoś ponuro.

— Czuję się ponuro.

— Nie mogę ci pomóc? Zrobić coś?

— Nikt nie może mi pomóc... Muszę to załatwić sama. Miałam nadzieję, że coś nie jest prawdą, ale myliłam się. Nie mam pojęcia, co zrobić.

— Jesteś w niebezpieczeństwie?

— Nie bądź melodramatyczna, Bridget. Muszę uważać, to wszystko. Będę bardzo ostrożna.

— Więc jesteś w niebezpieczeństwie. Elwira odpowiedziała dopiero po chwili:

— Chyba sobie coś wyobraziłam, i tyle.

— Elwiro, co zamierzasz zrobić z tą bransoletą?

— Och, w porządku. Dostałam trochę pieniędzy od kogoś, więc mogę — co za słowo! — wykupić ją i natychmiast odnieść Bollardowi.

— Sądysz, że zadowolą się tym?... Nie mamusiu, to właśnie pralnia. Mówią, że nigdy nie wysłaliśmy im tego prześcieradła. Tak, mamusiu, będę mówiła z kierowniczką. Dobrze.

Na drugim końcu linii Elwira uśmiechnęła się szeroko i odłożyła słuchawkę. Otworzyła portmonetkę, uporządkowała pieniądze, odliczyła potrzebną kwotę, ułożyła przed sobą i zaczęła wykręcać numer. Kiedy uzyskała połączenie, włożyła odpowiednią ilość mouet, nacisnęła guzik i powiedziała wątlym, trochę zdyszonym głosem:

— Hallo, kuzynko Mildred. Tak, to ja... Bardzo przepraszam... Tak, wiem... Cóż, pojechałam do... tak, to była kochana, stara Maddy, znasz naszą starą *mademoiselle*... tak, napisałam pocztówkę i potem zapomniałam wysłać. Jest jeszcze w mojej kieszeni... Tak, widzisz, ona była chora i nie było nikogo, kto by się nią zajął, więc zostałam, żeby ją dopilnować, aż będzie lepiej. Tak, szłam do Bridget, ale ta historia zmieniła wszystko... Nie rozumiem zamieszania, jakie zrobiłaś... Ktoś musiał to pokręcić... Tak, wyjaśnię ci wszystko, jak wrócę... Tak, dziś po południu. Nie, zostanę jeszcze i zaczekam na pielęgniarkę, która przychodzi, żeby zająć się starą Maddy — no, nie prawdziwa pielęgniarka. Wiesz, jedna z tych praktykantek, pomagających pielęgniarkom, czy coś takiego. Nie, ona nie chciała pójść do szpitala... Ale przykro mi, kuzynko Mildred, naprawdę bardzo, bardzo przykro.

Odłożyła słuchawkę i westchnęła zirytowana.

— Gdybym tylko — mruknęła do siebie — nie musiała mówić każdemu tyle kłamstw.

Wychodząc z kabiny telefonicznej dostrzegła ogromne tytuły gazet: WIELKI NAPAD NA POCIĄG. IRLANDZKI EKSPRES ZAATAKOWALI BANDYCI.



## II

Pan Bollard obsługiwał klienta, kiedy drzwi sklepu otworzyły się. Popatrzył i ujrzał wchodzącą Elwirę Blake.

— Nie — powiedziała do sprzedawcy, który podszedł do niej. — Poczekam, aż pan Bollard będzie wolny.

Niebawem klient pana Bollarda został załatwiony i Elwira zajęła wolne miejsce.

— Dzień dobry, panie Bollard — powitała go.

— Przykro mi, że pani zegarek jeszcze nie jest gotowy.

— Och, nie chodzi o zegarek — powiedziała Elwira.

— Przyszłam przeprosić. Zdarzyła się okropna rzecz.

— Otworzyła torebkę i wyjęła małe pudełko. Wydobyła z niego bransoletkę ze szmaragdami i diamentami.

— Palnięta pan, że kiedy przyszłam z zegarkiem, aby dać go do naprawy, oglądałam rzeczy na prezent gwiazdkowy i zdarzył się wypadek na ulicy. Zdaje się, że ktoś wpadł, czy prawie wpadł pod koła. Przypuszczalnie miałam bransoletkę w ręce i włożyłam ją bezwiednie do kieszeni kostiumu, choć znalazłam ją dopiero dziś rano. Więc natychmiast popędziłam oddać ją. Jest mi okropnie przykro, panie Bollard, nie wiem, jak mogłam zrobić tak idiotyczną rzecz.

— Ależ nic się nie stało, panno Elwiro — powiedział powoli jubiler.

— Pewnie pomyślał pan, że ktoś ją ukradł — rzekła Elwira.

Czyste, błękitne oczy napotkały jego spojrzenie.

— Zauważyliśmy stratę — odparł pan Bollard. — Dziękuję pani za odniesienie jej tak szybko.

— Poczułam się po prostu okropnie, kiedy ją znalazłam. Cóż, dziękuję panu ogromnie, że był pan taki miły w tej sprawie.

— Zdarza się dużo dziwnych pomyłek — zauważył pan Bollard. Uśmiechnął się do niej dobrotliwie. — Nie myślmy więcej o tym. Ale... niech pani tego więcej nie robi. — Zaśmiał się, jak z jowialnego żarciku.

— Ach, nie — odparła Elwira. — Będę strasznie uważać w przyszłości.

Uśmiechnęła się do niego i opuściła sklep.

— W gruncie rzeczy, jestem ciekaw... — rzekł pan Bollard do siebie. — Naprawdę, jestem ciekaw...

Stojący obok wspólnik zbliżył się do niego.

— A więc ona to wzięła? — spytał.

— Tak. Rzeczywiście wzięła — odparł pan Bollard.

— Ale przyniosła z powrotem — podkreślił wspólnik.

— Przyniosła — zgodził się Bollard. — Istotnie, nie spodziewałem się tego.

— Mówisz poważnie?

— Tak, jeśli była to właśnie ona.

— Myślisz, że jej historia nie jest prawdziwa? — dopytywał się wspólnik. — Że niby włożyła bransoletkę do kieszeni z powodu wypadku?

— Sądzę, że to możliwe — powiedział pan Bollard w zamyśleniu.

— Czyli, że mogła to być kleptomania.

— Czyli, że mogła to być kleptomania — zgodził się Bollard. — Bardziej jednak prawdopodobne, że wzięła to celowo... Ale jeśli tak, dlaczego zwróciła tak szybko? To ciekawe...

— Dobrze że nie zawiadomiliśmy policji. Przyznaję, że chciałem tego.

— Wiem, wiem. Nie masz takiego doświadczenia, jak ja. W tym przypadku zdecydowanie lepiej było spokojnie czekać. To jednak interesujące — szepnął do siebie. Bardzo interesujące. Ciekawe, ile ona ma lat? Chyba siedemnaście lub osiemnaście. Mogła wpaść w jakieś kłopoty.

— Mówiłeś, zdaje się, że ma wielkie pieniądze?

— Można być dziedziczką kolosalnej fortuny, ale mając siedemnaście lat, nie zawsze można ją dostać do ręki — rzekł Bollard. — To śmieszna rzecz, ale pod względem pieniędzy, krócej trzyma się milionerki niż dzieci ludzi uboższych. Nie zawsze jest to dobry pomysł. Cóż, nie sądzę, żebyśmy kiedykolwiek poznali prawdę. Położył bransoletkę na miejsce i opuścił wieko gabloty.

# Rozdział dziesiąty

Biura firmy Egerton, Forbes i Wilborough mieściły się w Bloomsbury, przy jednej z tych imponujących i dostojnych ulic, które jeszcze nie poczuły powiewu zmian. Mosiężna wizytówka na bramie była tak wytarta, że trudno było ją odczytać. Firma istniała ponad sto lat i większa część angielskiego ziemiaństwa należała do jej klienteli. Właściciele się zmienili: nie było już Forbesa ani Wilboroughów. Zamiast nich — Atkinsonowie, ojciec i syn, walijski Lloyd i szkocki Mc Allister. Działał tam jednak wciąż Egerton, potomek pierwszego Egertona. Obecny pięćdziesięciodwuletni Egerton był dalej doradcą kilku rodzin, którym w swoim czasie służyli pomocą prawną jego dziadek, stryj oraz ojciec.

W tej chwili siedział za wielkim, mahoniowym biurkiem, w swoim pięknym pokoju na pierwszym piętrze, rozmawiając życzliwie, ale stanowczo z klientem wyglądającym na przygnębionego. Richard Egerton był przystojnym mężczyzną, szczupłym, ciemnowłosym, z siwiejącymi skroniami i bardzo przenikliwymi, szarymi oczami. Jego rady były zawsze celne, ale rzadko owijał je w bawełnę.

— Szczerze mówiąc, nie masz się na czym oprzeć, Freddie — mówił. — Zwłaszcza, jeżeli napisałeś tamte listy.

— Nie myślisz chyba... — mruknął Freddie stropiony.

— Nie myślę — odparł Egerton. — Jediną nadzieją jest załatwienie sprawy bez sądu. Można by nawet twierdzić, że naraziłeś się na postępowanie karne.

— Chyba trochę przesadzasz.

Na biurku Egertona rozległo się dyskretne brzęczenie. Adwokat podniósł słuchawkę z niezadowoleniem:

— Mówiłem, zdaje się, żeby mi nie przeszkadzano. Dały się słyszeć ciche słowa i Egerton uspokoił się:

— Och, tak... tak, wiem. Poproś, żeby zaczekała. Odłożył słuchawkę i zwrócił się ponownie do nieszczęśliwie wyglądającego klienta.

— Słuchaj Freddie. Znam prawo, a ty nie. Jesteś w paskudnych opałach. Zrobię, co się da, aby cię wyciągnąć, ale to będzie cię dużo kosztowało. Wątpię, żeby ustąpili za mniej niż dwanaście tysięcy.

— Dwanaście tysięcy! — nieszczęsny Freddie był przerażony. — No wiesz! Nie mam tyle.

— Musisz zatem je zdobyć. Zawsze są sposoby i pomysły. Jeżeli ona zadowolili się dwunastoma tysiącami, możesz być szczęśliwy, natomiast jeśli wytoczysz sprawę, będzie to kosztować znacznie więcej.

— Ach, wy prawnicy! — powiedział Freddie.

— Oszuści z was. — Podniósł się. — Dobrze — zgodził się. — Podejmij swoje cholerne działania, stary.

Wyszedł potrząsając smutno głową. Richard Egerton wyrzucił Freddiego i jego sprawę z pamięci i pomyślał o następnym kliencie. Powiedział cicho:

— Panna Elwira Blake. Ciekawe, jaka ona jest.

— Podniósł słuchawkę. — Lord Frederick wyszedł. Proszę wprowadzić pannę Blake.

Czekając zrobił krótkie obliczenie na leżącym na biurku bloku. Ile upłynęło lat od...? Musi mieć piętnaście — siedemnaście, a może nawet więcej. Córka Connistona i Bess. Ciekawe, do kogo z nich jest podobna.

Drzwi otworzyły się, urzędnik zapowiedział pannę Elwirę Blake i dziewczyna weszła do pokoju. Egerton wstał z krzesła i podszedł do niej. Pomyślał, że nie przypomina żadnego z rodziców. Szczupła, bardzo jasna, koloryt Bess, ale nic z jej żywotności, jakieś wrażenie staroświecczyny, choć trudno być pewnym, ponieważ właśnie zapanowała moda na noszenie falbanek i w ogóle na styl „dziecinny”.

— No, no — powiedział, kiedy uścisnęli sobie dłonie.

— Co za niespodzianka. Gdy widzieliśmy się ostatnio, miała pani jedenaście lat. Proszę siadać — podsunął jej krzesło.

— Przypuszczam — zaczęła Elwira trochę niepewnie — że powinnam była wcześniej napisać i ustalić termin spotkania, ale podjęłam decyzję niespodziewanie, kiedy przyjechałam do Londynu.

— A co pani robi w Londynie?

— Mam wizyty u dentysty.

— Okropna rzecz, zęby — zauważył Egerton. — Dostarczają nam kłopotów od kołyski do grobu. Ale jestem wdzięczny zębom, jeśli dały mi okazję zobaczenia pani. Zaraz, niech pomyślę; była pani we Włoszech, prawda? Kończyła pani edukację w jednej z tych szkół, do których jeżdżą teraz wszystkie dziewczęta?

— Tak — odpowiedziała Elwira. — U hrabiny Martinelli. Ale wyjechałam już stamtąd na dobre. Mieszkam u Melfordów w Kent, do chwili, kiedy zdecyduję się, co chciałabym robić.

— Mam nadzieję, że znajdzie pani coś odpowiedniego. Nie myśli pani o uniwersytecie?

— Nie — odparła dziewczyna — chyba nie jestem zbyt zdolna. — Przerwała, a potem zapytała: — Przypuszczam, że pan zgodziłby się na wszystko, co chciałabym robić?



Egerton popatrzył przenikliwie:

— Jestem jednym z pani opiekunów i powierników, zgodnie z wolą pani ojca. Dlatego ma pani prawo zwracać się do mnie w każdej chwili.

— Dziękuję — powiedziała grzecznie Elwira.

— Czy coś panią dręczy?

— Nie. Naprawdę nie. Ale, widzi pan, ja nic nie wiem. Nikt nigdy nie wyjaśnił mi żadnych spraw. Nie zawsze ma się ochotę pytać.

Spojrzał na nią uważnie.

— Ma pani na myśli sprawy osobiste?

— Tak — odparła Elwira. — To miło, że pan rozumie. Wuj Derek... — zawahała się.

— Derek Luscombe?

— Tak. Zawsze nazywałam go wujkiem.

— Rozumiem.

— Jest bardzo miły — rzekła Elwira — ale nie jest osobą chętną do opowiadania. Planuje wszystko za mnie i wydaje się trochę zdziwiony, jeżeli mi coś nie odpowiada. Oczywiście słucha wielu osób, szczególnie kobiet, które opowiadają mu różne historie. Tak, jak hrabina Martinelli. Załatwia dla mnie szkoły i inne zakłady.

— A to nie jest to, czego pani chce?

— Nie, tak nie uważam. Każdy powinien chodzić do szkoły.

— Rozumiem.

— Ale nie wiem nic o sobie. To znaczy czy mam pieniądze i ile, i co mogłabym z nimi zrobić, gdybym chciała.

— W istocie — powiedział Egerton ze swoim miłym uśmiechem — mamy mówić o interesach. Czy tak? Cóż, myślę, że ma pani rację. Zastanówmy się. Ile masz lat? Szesnaście, siedemnaście? Czy mogę się tak do ciebie zwracać?

— Proszę bardzo. Prawie dwadzieścia.

— Och! Nie miałem pojęcia.

— Wie pan — wyjaśniła Elwira — cały czas czuję, że jestem ochraniana i osłaniana. W pewnym

sensie to miłe, ale bywa denerwujące.

— To staroświecki pogląd — zgodził się Egerton — ale pojmuję, że odpowiada Derkowi.

— On jest kochany — rzekła Elwira — ale jakoś trudno prowadzić z nim poważną rozmowę;

— Tak, mogę to zrozumieć. Więc, ile wiesz o sobie, Elwiro? O swojej rodzinnej sytuacji?

— Wiem, że mój ojciec zmarł, gdy miałam pięć lat i że matka uciekła od niego z kimś, kiedy miałam dwa lata; nie pamiętam jej wcale. Ojca tak, ale jak przez mgłę. Był bardzo stary i sadzano go w fotelu. Wciąż przeklinał. Trochę się go bałam. Po jego śmierci mieszkałam z ciotką czy kuzynką ojca. Kiedy zmarła, pojechałam do Włoch. Załatwił to wuj Derek. Teraz mieszkam u Melfordów, jego kuzynów, którzy są bardzo dobrzy i mili, i mają dwie córki w moim wieku.

— Jesteś tam szczęśliwa?

— Jeszcze nie wiem. Mieszkam tam krótko. Oni wszyscy są bardzo nudni. Ja naprawdę chcę wiedzieć, ile mam pieniędzy.

— Więc chodzi ci o informację finansową?

— Tak — odparła Elwira. — Wiem, że mam trochę pieniędzy. Czy dużo?

— Owszem — powiedział. — Masz dużo pieniędzy. Twój ojciec był bardzo bogatym człowiekiem. Jesteś jego jedynym dzieckiem. Kiedy zmarł, tytuł i posiadłość przeszły na kuzyna. Ojciec nie lubił go, więc cały osobisty majątek zostawił swojej córce — tobie Elwiro. Jesteś bardzo bogatą kobietą, a raczej będziesz, kiedy skończysz dwadzieścia jeden lat.

— To znaczy, że nie jestem bogata teraz?

— Jesteś — rzekł Egerton. — Jesteś teraz bogata, ale pieniądze będą do twojej dyspozycji, kiedy skończysz dwadzieścia jeden lat, albo kiedy wyjdiesz za mąż. Do tego czasu są w rękach twoich opiekunów. Moich, Derka Luscombe i innych — uśmiechnął się. — Są wciąż tutaj. Faktycznie powiększyliśmy znacznie twój kapitał przez inwestowanie.

— Ile będę miała?

— W wieku dwudziestu jeden lat, albo w chwili zamążpójścia wejdiesz w posiadanie sumy, którą i grubsza można by określić na sześćset do siedmiuset tysięcy funtów.

— To wielki majątek — powiedziała Elwira poruszona.

— Tak, wielki. Prawdopodobnie dlatego nikt z tobą na ten temat nie mówił.

Obserwował jej reakcję. Całkiem interesująca dziewczyna, pomyślał. Wyglądała na bardzo niemrawą panienkę, ale było w niej coś więcej. Zapytał z ledwie widocznym ironicznym uśmiechem:

— Czy to cię zadowala? Niespodziewanie odwzajemniła uśmiech:

— Powinno, prawda?

— Trochę bardziej niż wygrana w totku — zasugerował.

Skinęła głowi ale jej myśli były zajęte czymś innym:

— Kto dostanie te pieniądze po mojej śmierci?

— W obecnej sytuacji, twój najbliższy krewny.

— Zastanawiam się... Czy nie mogłabym spisać testamentu teraz? Nie wtedy, kiedy skończę dwadzieścia jeden lat. Ktoś mi to doradził.

— Słusznie.

— To naprawdę irytujące. Gdybym wyszła za mąż i zmarła, zapewne pieniądze dostałby mój mąż?

— Tak.

— A gdybym nie była zamężna, moją najbliższą krewną byłaby matka, która wzięłaby wszystko. Wydaje mi się, że mam bardzo niewielu krewnych — nie znam nawet mojej matki. Jaka ona jest?

— To bardzo niezwykła kobieta — powiedział Egerton krótko. — Taka jest ogólna opinia.

— Nigdy nie chciała mnie widzieć?

— Może chciała... uważam, że to bardzo możliwe. Zrobiwszy jednak, w pewien sposób, dosyć dużo zamieszania we własnym życiu, mogła pomyśleć, że lepiej abyś była trzymana z dala od niej.

— Czy pan naprawdę wie, że ona tak myśli?

— Nic. Naprawdę nic o tym nie wiem. Elwira podniosła się.

— Dziękuję panu — rzekła. — To bardzo miło, że powiedział mi pan to wszystko.

— Uważam, że powinnaś była znać te sprawy już wcześniej.

— To takie upokarzające nie wiedzieć nic o sobie — odparła Elwira. — Wuj Derek myśli, że jestem jeszcze dzieckiem.

— No cóż, sam nic jest zbyt młody. Obaj, jak wiesz, jesteśmy dość posunięci w latach. Musisz być pobłażliwa dla nas, kiedy patrzymy na rzeczy z punktu widzenia naszego podeszłego wieku.

Elwira spoglądała mu przez chwilę w oczy.

— Ale pan nie myśli, że jestem dzieckiem, prawda? Podejrzewani, że pan wie trochę więcej o

dziewczętach niż wuj Derek. On mieszkał tylko z siostrą. — Wyciągnęła rękę na pożegnanie i powiedziała ujmująco:

— Dziękuję bardzo. Mam nadzieję, że nie przeszkodziłam panu w ważnych zajęciach.

Egerton stał patrząc na drzwi, które zamknęły się za nią. Ściągnąwszy wargi gwizdnął, potrząsnął głową i usiadł, podniósł pióro i stukał nim w zamyśleniu w biurko. Przysunął jakieś papiery, polem odepchnął je i podniósł słuchawkę.

— Panno Cordell, proszę połączyć mnie z pułkownikiem Luscombe. Proszę spróbować najpierw w jego klubie, a dopiero potem w domu w Shropshire.

Odłożył słuchawkę. Znowu przysunął papiery i zaczął czytać, ale nic mógł się skupić. Niebawem rozległ się dzwonek telefonu.

— Pułkownik Luscombe na linii.

— Dobrze. Proszę łączyć. Hallo, Derek? Tu Richard Egerton. Jak się masz? Właśnie złożył mi wizytę ktoś, kogo znasz. Twoja podopieczna.

— Elwira? — pułkownik wydał się bardzo zdziwiony.

— Tak.

— Ale czemu... co na Boga... czego chciała od ciebie? Ma jakieś kłopoty?

— Nie, nie mógłbym tak powiedzieć. Przeciwnie, wyglądała raczej na zadowoloną. Chciała wiedzieć wszystko o swoim stanie majątkowym.

— Nie powiedziałaś jej, mam nadzieję? — rzekł pułkownik Luscombe w popłochu.

— Dlaczego nie? Jaki sens ma robienie z tego tajemnicy?

— Cóż, nie mogę się oprzeć wrażeniu, że to pewna nieroztropność, aby dziewczyna wiedziała, że dostanie taką ogromną sumę pieniędzy.

— Jeśli my tego nie zrobimy, powie jej ktoś inny. Musi być przygotowana. Pieniądze to odpowiedzialność.

— Tak, ale ona jest jeszcze dzieckiem.

— Jesteś tego pewien?

— Co masz na myśli? Naturalnie, że jest dzieckiem.

— Niezupełnie się z tobą zgadzam. Kim jest jej chłopiec?

— Przepraszam, nie rozumiem.

— Pytałem, kto jest jej chłopcem. Bo jest ktoś na horyzoncie, prawda?

— Absolutnie nic. Nic podobnego. Dlaczego, na miłość Boską, myślisz o tym?

— Rzeczywiście, nie mówiła o niczym takim. Mam jednak, jak wiesz, trochę, doświadczenia. Sadzę, że odkryjesz chłopaka.

— Cóż, mogę cię zapewnić, że się całkowicie mylisz. Uważam, że jest niezwykle starannie wychowana, była w doskonałych szkołach, gdzie obowiązywały surowe przepisy i w bardzo ekskluzywnym zakładzie we Włoszech. Gdyby działo się coś takiego, wiedziałbym o tym. Mogę stwierdzić, że spotkała jednego czy dwóch sympatycznych młodych ludzi, ale jestem pewien, że nie było to nic takiego, co sugerujesz.

— Moja diagnoza to chłopiec, prawdopodobnie nieodpowiedni.

— Ale dlaczego, Ryszardzie, dlaczego? Co ty wiesz o młodych dziewczętach?

— Dosyć dużo — powiedział Egerton sucho. — Miałem w ostatnim roku trzy klientki, z których dwie doprowadziły opiekunów, a trzecia rodziców do wyrażenia zgody na całkowicie katastrofalne małżeństwa. Dziewczeta nic wyglądały zresztą na zdolne do tego. W dzisiejszych czasach bardzo trudno je upilnować.

— Ależ zapewniam cię, że Elwira jest strzeżona jak najtroskliwiej.

— Pomysłowość młodych istot rodzaju żeńskiego przekracza wszystko, co mógłbyś sobie wyobrazić. Nie spuszczaj z niej oka, Derek. Zbierz trochę informacji o trybie życia, jaki prowadzi.

— Bzdura. Ona jest zwyczajną, miłą dziewczyną.

— Co ty wiesz o zwyczajnych, miłych dziewczynach, figurujących w albumach przestępców! Jej matka uciekła i spowodowała skandal — pamiętasz? — gdy była młodsza od Elwiry. Co do starego Connistona, był to jeden z najgorszych rozpustników w całej Anglii.

— Zaniepokoiłeś mnie, Ryszardzie, zaniepokoiłeś mnie bardzo.

— Powinieneś być nieco bardziej spostrzegawczy. Nie spodobało mi się jedno z pytań Elwiry. Dlaczego zależy jej na informacji, kto odziedziczy pieniądze, jeśli ona umrze?

— To dziwne, ponieważ mnie pytała o to samo.

— Naprawdę? Dlaczego jej myśli krążą wokół wczesnej śmierci? Nawiasem mówiąc, pytała o matkę.

W głosie pułkownika Luscombe brzmiał niepokój, kiedy powiedział:

— Chciałbym, żeby Bess spotkała się z nią.

— Rozmawiałeś z nią na ten temat, mam na myśli Bess?

— No cóż... tak, rozmawiałem. Natknąłem się na nią przypadkowo. Ściśle mówiąc, zatrzymaliśmy się w tym samym hotelu. Przekonywałem Bess, aby spróbowała zobaczyć się z Elwirą.

— A co ona na to? — zapytał Egerton ciekawie.

— Odrzuciła kategorycznie tę propozycję. Uzasadniła to mniej więcej tym, że nie jest bezpieczną osobą dla dziewczyny.

— Patrząc na to z pewnego punktu widzenia, uważam że ma rację — powiedział Egerton. — Jest związana z tym rajdowcem, co?

— Słyszałem taką plotkę.

— Też myślę, że to plotka, ale prawdopodobna. Może dlatego nie chce do swego życia wprowadzać córki? Przyjaciele Bess są często twardymi ludźmi. Ale co to za kobieta, Derek! Co za niezwykła kobieta!

— Zawsze była swoim najgorszym wrogiem — powiedział Luscombe burkliwie.

— Prawdziwie miła, konwencjonalna uwaga — rzekł Egerton. — No, przepraszam, Derek, że cię niepokoiłem, ale uważaj na niepożądanych ludzi na dalszym planie. Nie mów, że nie zostałeś ostrzeżony.

Odłożył słuchawkę i przysunął jeszcze raz papiery. Tym razem mógł skupić całą uwagę na tym, co robił.

# Rozdział jedenasty

Pani Mc Crae, gospodyni kanonika Pennyfathera, zamówiła sole z Dover na dzień, w którym wielebny miał wrócić. Zalety dobrych soli były wielorakie. Nie trzeba ich kłaść na patelnię, ani wstawiać do piekarnika, zanim kanonik znajdzie się bezpiecznie w domu. Można przechować je do następnego dnia, jeśli to konieczne. Kanonik Pennyfather lubił sole z Dover; gdyby jednak zawiadomił telefonicznie lub telegramem, że spędzi wieczór gdzie indziej, to sama pani Mc Crae również lubiła te ryby. Po solach miała podać naleśniki. Ryby leżały na kuchennym stole, ciasto naleśnikowe w misce. Wszystko przygotowane. Mosiądze błyszcząły, srebra lśniły, nigdzie nie było odrobiny kurzu. Brakowało tylko jednej rzeczy. Samego kanonika.

Zaplanował powrót pociągiem wychodzącym z Londynu o 18.30. Ale do 19.00 nie zjawił się. Niewątpliwie pociąg spóźnił się. O 19.30 też nie było wielebnego. Pani Mc Crae zaczęła się niepokoić. Musiało się coś zdarzyć. Nadeszła ósma... Pani Mc Crae westchnęła zirytowana. Zaraz bez wątpienia zadzwoni telefon, choć równie prawdopodobne było, że nie zadzwoni. Mógł napisać do niej. Niewątpliwie napisał, ale pewnie zapomniał wysłać list.

— O Boże, Boże — powiedziała pani Mc Crae.

O godzinie 21 zrobiła sobie trzy naleśniki, a sole włożyła troskliwie do lodówki.

— Ciekawa jestem, gdzie się ten zacny człowiek teraz podziewa — rzekła do siebie. Wiedziała z doświadczenia, że mógł być gdziekolwiek. Istniała szansa, że odkryje swój błąd podczas wysyłania telegramu lub telefonowania, zanim gospodyni się położy. — Posiedzę do jedenastej, nie dłużej — postanowiła pani Mc Crae. Zwykle szła spać o dziesiątej trzydzieści, przesunięcie tej pory do jedenastej uważała za swój obowiązek, ale jeżeli do tej godziny nie będzie ani kanonika, ani żadnej wieści od niego, to pani Mc Crae zamknie dokładnie dom i uda się na spoczynek.

Nie można powiedzieć, żeby była szczególnie zaniepokojona. Tego rodzaju przypadki już się zdarzały. Nic pozostawało nic do zrobienia, tylko czekać. Możliwości były liczne. Kanonik mógł wsiąść w niewłaściwy pociąg i pojąć swój błąd gdziekolwiek, jak Anglia długa i szeroka, albo mógł być jeszcze w Londynie, gdyż pomylił datę i był przekonany, że powinien wrócić jutro. Mógł spotkać na tej międzynarodowej konferencji przyjaciela czy przyjaciół i dać się namówić do pozostania na weekend. Zamierzał ją powiadomić, ale zapomniał to zrobić. Więc, jak powiedziano, nie była niespokojna. Pojutrze miał przyjechać jego stary przyjaciel, archidiakon Simmons. O tego rodzaju sprawach kanonik pamiętał, zatem niewątpliwie zjawi się jutro, lub zatelegrafuje, a w ostateczności przyśle list.

Następnego dnia rano, kiedy od kanonika nie nadeszło nawet słowo, pani Mc Crae po raz pierwszy zaczęła się niepokoić. Między 9.00 a 13.00 spoglądała niezdecydowanie na telefon. Posiadała ustalony pogląd na to urządzenie. Używała go i uznawała jego użyteczność, ale nie lubiła. Składała część zamówień w sklepach telefonicznie, choć wołała to robić osobiście, wierząc niezachwianie, że jeśli nie patrzy na to, co dostaje, sklepikarz spróbuje ją oszukać. Mimo wszystko, telefon bywał

używany do załatwiania spraw domowych. Czasami, choć rzadziej, dzwoniли jej krewni, albo znajomi mieszkający w bliskim sąsiedztwie. Rozmowa na większą odległość, czy z Londynem, wyprowadzała ją przeważnie z równowagi. Było to skandaliczne marnowanie pieniędzy. Niemniej, zaczęła rozważać tę możliwość.

Wreszcie, gdy zaświtał następny dzień bez żadnej wiadomości od kanonika, zdecydowała się działać. Wiedziała, że miał zatrzymać się w Londynie w hotelu „Bertram”. Przyjemne, staromodne miejsce. Może byłoby dobrze zadzwonić tam i zasięgnąć informacji. Mogą wiedzieć, gdzie jest kanonik. To nie jest zwykły hotel. Poprosiłaby o połączenie z panną Gorringe. Ona jest kompetentna i troskliwa. Kanonik może oczywiście wrócić o 12.30, czyli byłby tu za kilka minut.

Jednak owe minuty minęły, a kanonika nie było. Pani Mc Crae zaczerpnęła powietrza, nabrała odwagi i poprosiła o połączenie z Londynem. Czekala zagryzając wargi i trzymając słuchawkę mocno przyciśniętą do ucha.

— Hotel „Bertram”, słucham — powiedział głos.

— Chciałabym mówić z panną Gorringe.

— Chwileczkę. Jakie nazwisko mam podać?

— Pani Mc Crae, gospodyni kanonika Pennyfathera.

— Chwileczkę, proszę.

Niebawem spokojny i budzący zaufanie głos zabrzmiał w słuchawce.

— Tu panna Gorringe. Czy mówię z gospodynią kanonika Pennyfathera?

— Tak jest. Pani Mc Crae.

— Och, tak. Naturalnie. Co mogę dla pani zrobić?

— Czy kanonik jest jeszcze w hotelu?

— Cieszę się, że pani zadzwoniła — powiedziała panna Gorringe. — Nic byliśmy pewni, co właściwie robić.

— Chce pani powiedzieć, że wielebnemu coś się stało? Miał wypadek?

— Nie, nie. Nic takiego. Ale spodziewaliśmy się jego powrotu z Lucerny w sobotę lub w niedzielę.

— Eee... słusznie.

— Nie przyjechał jednak. Cóż, to oczywiście nie zdziwiło nas. Zatrzymał swój pokój — zarezerwował go do wczoraj. Nie wrócił jednak, nie przysłał wiadomości i jego rzeczy są jeszcze w



hotelu. Większa część jego bagażu. Nie wiedzieliśmy, co z tym zrobić.

Naturalnie — dodała panna Gorringe pośpiesznie — wiemy, że kanonik jest, no, czasami trochę zapomina.

— Można to i tak nazwać!

— To sprawia nam pewien kłopot. Mamy komplet. Pokój wielebnego jest obecnie zarezerwowany dla innego gościa. — I dodała: — Nie domyśla się pani, gdzie on jest?

Pani Mc Crae powiedziała z goryczą:

— Ten człowiek może być wszędzie! — opanowała się. — Tak, dziękuję pani, panno Gorringe.

— Czy nie mogłabym czegoś zrobić... — zaproponowała panna Gorringe usłudźnie.

— Chyba dowiedziałam się dosyć — odparła pani Mc Crae. Podziękowała jeszcze raz i odwiesiła słuchawkę.

Siedziała przy telefonie już bardzo zaniepokojona. Nie miała obaw o osobiste bezpieczeństwo kanonika. Gdyby uległ wypadkowi, zostałaby już zawiadomiona. Tego była pewna. A w ogóle kanonikowi nie zdarzały się wypadki. Był kimś, kogo gospodyni określała mianem „postrzeleńca”, a postrzeleńcy zdawali się być zawsze pod specjalną opieką Opatrzności. Nie przejmując się ani zastanawiając mogła im się nawet udać przeprawa przez ruchliwe skrzyżowanie. Nie, nie wyobrażała sobie chlebodawcy jęczącego w szpitalu. Nie, niewątpliwie siedział gdzieś szczęśliwy, prostodusznie bajdurząc z jakimś przyjacielem lub znajomym. Możliwe, że był jeszcze za granicą. Kłopot w tym, że dziś wieczorem miał przyjechać archidiakon Simmons, który spodziewał się zastać gospodarza. Nie mogła uprzedzić gościa, ponieważ nie wiedziała, gdzie przebywa. Sytuacja była bardzo kłopotliwa, ale, jak większość trudności, miała jeden jasny punkt. Był nim archidiakon Simmons. On będzie wiedział, co robić. Należy więc oddać sprawę w jego ręce.

Archidiakon stanowił zupełne przeciwieństwo jej pracodawcy. Wiedział, dokąd idzie i co czyni, i był zawsze pogodny i zdecydowany, a nawet pewny siebie. Kiedy przybył, został powitany litanią tłumaczeń, przeprosin i niepokoju pani Mc Crae i stał się jej opoką.

— Niechże się pani nie martwi, pani Mc Crae

— powiedział jowialnie, zasiadając do posiłku, przygotowanego na jego przyjazd. — Dopadniemy tego roztargnionego jegomościa. Słyszała pani historię o Chestertonie? G.K. Chesterton, wie pani, pisarz. Będąc na objeździe z cyklem odczytów zatelegrafował do swojej żony: „Jestem na Grewe Station. Gdzie powinienem być?”

Roześmiał się zadowolony. Pani Mc Crae uśmiechnęła się z szacunkiem. Historyjka nie wydała się jej zabawna, ponieważ była to właśnie taka sytuacja, jaka mogła się przydarzyć kanonikowi Pennyfatherowi.

— Ach — rzekł archidiakon Simmons z uznaniem.

— Oto pani znakomite kotlety cielęce! Jest pani cudowną kucharką, pani Mc Crae. Mam nadzieję, że mój stary przyjaciel docenia to.

Po kotletach cielęcych podano pudding z jagodowym sosem, który, jak pamiętała pani Mc Crae, należał do ulubionych deserów archidiakona, po czym ten zacny człowiek zajął się poważniej tropieniem swego zaginionego przyjaciela. Zabrał się do telefonowania z zapalem i całkowitym lekceważeniem kosztów, co sprawiło, że pani Mc Crae zacięła gniewnie usta, nie mając mu tego jednak całkowicie za złe, ponieważ mogło zaowocować odszukaniem kanonika. Najpierw usiłował dowiedzieć się czegoś od siostry kanonika, która przywiązywała niewielką wagę do pojawiania się i znikania brata i nie miała najmniejszego pojęcia, gdzie jest, albo gdzie mógłby być, potem rozciągnął sieci dalej. Zwrócił się jeszcze raz do hotelu „Bertram” i ustalił dokładnie wszystkie szczegóły. Niewątpliwie kanonik opuścił hotel wczesnym wieczorem, dziewiętnastego. Miał przy sobie małą lotniczą torbę podróżną, ale inne jego bagaże zostały w pokoju, który słusznie zatrzymał. Wspominał, że wybiera się na jakąś konferencję do Lucerny. Nie udał się na lotnisko wprost z hotelu. Portier, który znał dobrze wielebnego Pennyfalhera z widzenia, wsadził go do taksówki i skierował ją na życzenie kanonika do klubu Ateneum. Wtedy ostatni raz widziano księdza w hotelu. Och, tak, mały szczegół — zapomniał zostawić klucz od pokoju i zabrał go ze sobą. Zdarzyło się to nie po raz pierwszy.

Archidiakon wahał się chwilę przed następnym telefonem. Mógł zadzwonić na lotnisko w Londynie. To z pewnością zajęłoby trochę czasu. Zadzwonił więc do doktora Weissgartena, hebraisty, który z całą pewnością był na konferencji.

Zastał Weissgartena w domu. Usłyszawszy kto mówi, doktor wybuchnął potokiem słów, wyrażając niezwykle ostrą krytykę dwóch referatów czytanych w Lucernie:

— Zupełnie pomyłony facet, ten Hogarov, zupełnie pomyłony. Nie rozumiem, jak mu to uchodzi płazem! Facet w ogóle nie jest naukowcem. Wiesz, co on powiedział?

Archidiakon westchnął i spróbował być stanowczy, bowiem zanosilo się, że spędzi resztę dnia słuchając krytyki uczonych facetów z konferencji w Lucernie. Z pewną niechęcią doktor Weissgarten dał się nakłonić ku bardziej prywatnym sprawom.

— Pennyfather — powiedział — Pennyfather? Powinien był tam być. Nie mam pojęcia, dlaczego się nie pokazał. Mówił, że jedzie. Powiedział to zaledwie przed tygodniem, kiedy widziałem go w Ateneum.

— Chcesz powiedzieć, że wcale nie był na konferencji?

— Właśnie. A powinien być.

— Nie wiesz, dlaczego się nie zjawił? Przysłał wyjaśnienie?

— Skąd miałbym wiedzieć? Na pewno zamierzał uczestniczyć w konferencji. Tak, teraz przypominam sobie. Spodziewano się go — kilka osób zauważyło jego nieobecność. Myślano, że się przeziębził, czy coś takiego. Bardzo zdradliwa pogoda. — Zamierzał wrócić do krytyki uczonych, ale

archidiakon Simmons wyłączył się.

Zdobył informację, która wzbudziła w nim po raz pierwszy uczucie niepokoju. Kanonik Pennyfather nie pojawił się na konferencji w Lucernie. Archidiakonowi wydało się to bardzo niezwykle. Mógł oczywiście pomylić samolot, choć Brytyjskie Linie Lotnicze były bardzo troskliwe i strzegły podróży przed taką ewentualnością. Czy mógł zapomnieć właściwej daty wyjazdu? Archidiakon sądził, że to było możliwe. Ale jeżeli tak się stało, to dokąd poleciał?

Zadzwoił do biura odprawy podróży. Wymagało to długiego, cierpliwego czekania i przełączenia się z jednego działu portu lotniczego do drugiego. Na koniec dowiedział się, że kanonik Pennyfather był na liście pasażerów lotu do Lucerny w dniu osiemnastym, ale nie znalazł się w samolocie.

— Posuwamy się naprzód — oznajmił Simmons pani Mc Crae, która kręciła się w pobliżu. — Zaraz, zaraz, zastanówmy się. Do kogo zwrócić się teraz?

— Te wszystkie telefony będą kosztować strasznie dużo pieniędzy — zauważyła pani Mc Crae.

— Obawiam się, że tak. Obawiam się, że tak — zgodził się archidiakon. — Musimy jednak trafić na jakiś ślad, rozumie pani? Pennyfather nie jest zbyt młody.

— Och, sir, nie myśli pan chyba, że coś mu się przytrafiło?

— Mam nadzieję, że nie... Uważam, że już by się pani dowiedziała. Czy on ma zawsze przy sobie dokumenty? Paszport itd.

— O tak, sir. Ma bilety wizytowe. W portfelu ma też listy i inne papiery.

— Cóż, zatem chyba nie jest w szpitalu — rzekł archidiakon. — Chwileczkę. Kiedy opuścił hotel, wziął taksówkę do Ateneum. Zadzwoię tani.

Tu otrzymał trochę dalszych informacji. Kanonik Pennyfather jadł obiad dziewiętnastego o godzinie 19.30. Archidiakona uderzyło coś, co przeoczył wcześniej. Bilet na samolot opiewał na osiemnastego, a kanonik opuścił hotel „Bertram” taksówką do Ateneum w dniu dziewiętnastym, przekonany, że jedzie na konferencję do Lucerny. Coś mu zaświtało. „Głupi, stary osioł” — pomyślał archidiakon, ale przezornie nic powiedział tego głośno w obecności pani Mc Crae. „Poplątał daty. Konferencja była dziewiętnastego. Sądził, że wyjeżdża osiemnastego. Pomylił się o jeden dzień”.

Ostrożnie posuwał się tym tropem. Kanonik poszedł do Ateneum, zjadł obiad i pojechał na lotnisko Kensington. Tam niewątpliwie zwrócono mu uwagę, że ma bilet na poprzedni dzień, zatem zapewne stwierdził, że konferencja, na którą wyruszał, już się skończyła.

— Oto, co się zdarzyło — powiedział archidiakon. Wyjaśnił wszystko pani Mc Crae, a ona zgodziła się, że to wielce prawdopodobne. — Co zatem mógł robić później?

— Wrócić do hotelu — rzekła pani Mc Crae.

— Nie mógł przyjechać prosto tutaj, to znaczy, nie mógł pójść prosto na stację.

— Nic, jeśli zostawił bagaż w hotelu. W każdym razie, zadzwoniłby po niego.

— To prawda — zgodził się Simmons. — Dobrze. Będziemy rozmiłować wspólnie. Opuścił lotnisko i wrócił do hotelu, albo w każdym razie do niego wyruszył. Może też zjadł obiad — nie, jadł w Ateneum, Dobrze, więc wracał do hotelu. Ale nigdy tam nie doszedł. — Przerwał na chwilę, a potem powiedział z powątpiewaniem: — A może jednak dotarł? Tylko, zdaje się, nikt go tam nie widział. Co zatem zdarzyło się po drodze?

— Mógł kogoś spotkać — rzekła pani Mc Crae niepewnie.

— Tak, to oczywiście całkiem możliwe. Jakiegoś starego przyjaciela, którego od dawna nie widział... Mógł pojechać z nim do jego hotelu, albo do domu, ale przecież nie na trzy dni, prawda? Musiał pamiętać, że jego bagaże zostały u „Bertrama”. Zadzwoniłby w tej sprawie, posłał po nie, albo w napadzie najwyższego roztargnienia mógł pojechać prosto do domu bez walizek. Trzydniowe milczenie. To właśnie jest niewytłumaczalne.

— Jeżeli miał wypadek...

— Tak, to mogło się zdarzyć. Możemy szukać w szpitalach. Ale powiada pani, że miał przy sobie różne papiery, które pomogłyby go zidentyfikować? Hm, uważam, że mamy przed sobą tylko jedną drogę.

Pani Mc Crae spojrzała lękliwie.

— Myślę — powiedział łagodnie Simmons — że musimy zwrócić się do policji.

# Rozdział dwunasty

Pobyty panny Marple w Londynie przynosił jej mnóstwo przyjemności. Odwiedziła liczne miejsca, których nie miała czasu zobaczyć podczas poprzednich, krótkich wizyt. Trzeba z żalem stwierdzić, że nie korzystała z szerokiej możliwości uczestniczenia w imprezach kulturalnych, jakie oferowała stolica. Nie zwiedzała galerii malarstwa ani muzeów. Pomysł chodzenia na pokazy mody nie przyszedł jej nawet do głowy. Odwiedzała działy szkła i chińszczyzny w wielkich magazynach oraz stoiska z bielizną pościelową i stołową, a nawet kupiła trochę przecenionych artykułów w dziale tkanin obiciowych. Wydając na te domowe inwestycje tyle, ile uważała za rozsądne, urządzała sobie samotne wyprawy lam, gdzie chciała. Odwiedzała miejsca i sklepy zapamiętane z czasów młodości, często jedynie z chęci przekonania się, czy jeszcze istnieją. Wychodziła zwykle po odświeżającej małej drzemce po lunchu, unikając, jak tylko się dało portiera uparcie przekonanego, że dama w jej wieku, a przy tym słabego zdrowia, powinna jeździć wyłącznie taksówką, i szła na przystanek autobusowy albo do stacji metra. Kupiła mały rozkład jazdy autobusów, a także plan metra i układała swoje wycieczki starannie. Po południu można ją było widzieć spacerującą nostalgicznie wokół Evelyn Garden czy Onslow Square i mruczącą cicho: — Tak, to był dom pani Van Dylan. Oczywiście teraz wygląda zupełnie inaczej. Chyba go przerobili. Och, widzę, że założono cztery dzwonki. Pewnie do czterech mieszkań. A tu był zawsze taki miły, staromodny skwerek.

Trochę zakłopotana, złożyła wizytę u Madame Tussaud, zapamiętanej rozkoszy dzieciństwa. W Westbourne na próżno rozglądała się za Bradleyem. Ciotka Helena chodziła tam zawsze w sprawie swojego fokowego żakietu.

Wystawy sklepowe w ogólnym sensie nie interesowały panny Marple, za to spędzała wspaniale czas, polując na modne fasony trykotaży, nowe gatunki włóczek i tym podobne cuda. Zrobiła specjalną wycieczkę do Richmond, aby zobaczyć dom, w którym mieszkał kiedyś jej stryjeczny dziadek Tomasz, admirał w stanie spoczynku. Uroczy taras istniał jeszcze, ale budynek, jak wszystkie w sąsiedztwie, został podzielony na mieszkania. Jeszcze bardziej przykry był widok domu na Lowndes Square, gdzie przed laty żyła na wysokiej stopie jej daleka kuzynka, lady Merridew. Zbudowano tu wielki, nowoczesny wieżowiec, „drapacz chmur”, jak kiedyś nazywano te nowoczesne pudełka. Panna Marple potrząsnęła smutno głową i powiedziała do siebie z przekonaniem:

— Zapewne postęp jest nieodzowny, ale jestem pewna, że kuzynka Ethel przewróciłaby się w grobie, gdyby wiedziała o tym, co postawiono na miejscu jej rezydencji.

Pewnego szczególnie ciepłego popołudnia panna Marple pojechała autobusem do Battersea Bridge. Zamierzała połączyć dwie atrakcje, rzucając sentymentalne spojrzenie na Prince Terrace Mansions, gdzie mieszkała kiedyś jej guwernantka i odwiedzając Battersea Park. Pierwsza część poszukiwali była chybiona. Dawny dom panny Ledbury zniknął bez śladu i został zastąpiony przez wielką ilość szkła i betonu. Panna Marple skierowała się do Battersea Park. Zawsze była dobrym piechurem, ale musiała przyznać, że dzisiaj jej możliwości nie były takie, jak zwykle. Pół mili starczyło, by ją zmęczyć. Pomyślała, że mogłaby przeciąć park, wyjść na Chelsea Bridge i znaleźć się

znowu na trasie autobusu, ale jej kroki stawały się coraz wolniejsze i była zadowolona, gdy trafiła do herbaciarni na brzegu jeziora.

Mimo jesiennych chłódów podawano tu jeszcze herbatę. Tego dnia nie było wielu gości: kilka matek i nianiek, kilka zakochanych par. Panna Marple dostała tacę z herbatą i dwa biszkopty. Ostrożnie przeniosła czajnik na stół i usiadła. Herbata, oto czego potrzebowała. Gorąca, mocna i odświeżająca herbata. Pokrzepiona, rozejrzała się dokoła, i jej oczy zatrzymały się nagle na jednym ze stołów. Wyprostowała się na krześle. Doprawdy, bardzo dziwny zbieg okoliczności, bardzo dziwny! Najpierw w Domu Towarowym Armii i Marynarki, a teraz tutaj. Niezwykle miejsca wybierają ci dwoje! Ale nie... Pomyliła się. Panna Marple wyjęła z torebki silniejsze szkła. Tak, była w błędzie. Istniało, naturalnie, pewne podobieństwo. Te długie, jasne, proste włosy; ale to nie była Bess Sedgwick, lecz osoba znacznie młodsza. Oczywiście! To była córka! Młoda dziewczyna, która przybyła do „Bertrama” z przyjacielem lady Seliny, pułkownikiem Luscombe. Ale mężczyzna był tym samym, który jadł lunch z lady Sedgwick w Domu Towarowym. Nie można było wątpić: ta sama szczupła, przystojna, jastrzębia twarz, ta sama drapieżna siła w ruchach — ten sam silny, męski urok.

— Zły! — szepnęła cichutko panna Marple. — Zepsuty na wskroś. Okrutny. Bez skrupułów. Nie podoba mi się to. Najpierw matka, teraz córka.

Panna Marple była pewna, że nie oznacza to nic dobrego. Rzadko myliła się w ocenach zachowań ludzkich i dziewięć razy na dziesięć stwierdzała, że miała rację. Była przekonana, że oba spotkania były mniej czy bardziej sekretne. Obserwowała teraz, jak młodzi ludzie nachylali się ku sobie, aż ich ręce niemal zetknęły się: rozmowa była poważna — oceniła stara dama. Dziewczyna — panna Marple zdjęła okulary, przetrzała je starannie i założyła znowu — tak, dziewczyna była zakochana. Zakochana rozpaczliwie, jak to tylko młodość potrafi. Ale co myśleli jej opiekunowie o tych potajemnych schadzkach w Baltersea Park? Wyglądała na dobrze wychowaną, ułożoną pannę. Niewątpliwie bardzo dobrze wychowaną. Jej bliscy prawdopodobnie sądzili, że jest w zupełnie innym miejscu. Musiała kłamać...

Idąc do wyjścia panna Marple przeszła obok stolika młodej pary, zwalniając kroku tak bardzo, jak to było możliwe bez zwracania uwagi. Niestety rozmawiali tak cicho, że nic usłyszała ani słowa. Właściwie mówił mężczyzna, dziewczyna słuchała, na poły ucieszona, na poły wylękniona.

— Czyżby planowali ucieczkę? — pomyślała panna Marple. — Ona z pewnością jest jeszcze niepełnoletnia.

Stara dama przeszła przez małą furtkę prowadzącą do spacerowej części parku. Stały tam samochody; zatrzymała się przy jednym z nich. Panna Marple niezbyt dobrze знаła się na samochodach, ale taki, jak ten, trafiał się na jej drodze bardzo rzadko, więc zauważyła go i zapamiętała. Przyswoiła sobie trochę informacji o tego rodzaju samochodach od stryjecznego wnuka—entuzjasty. To był samochód wyścigowy. Zagraniczny model, nie potrafiła sobie przypomnieć nazwy. Co więcej, widziała ten samochód, albo bardzo podobny, zaledwie wczoraj w bocznej uliczce, blisko hotelu „Bertram”. Zauważyła go nic tylko z powodu jego rozmiarów i niezwykłego wyglądu, ale i dlatego, że numer rejestracyjny obudził w niej odległe wspomnienie, pewien łańcuch skojarzeń. FAN 2266. Przypomniała się jej kuzynka Fanny Godfrey. Biedna Fanny, która jąkała się i

mówiła: „Ddossttaa—łam dd—wa.”

Obeszła wóz wkoło i spojrzała na numer. Miała rację. FAN 2266. To był ten sam samochód. Panna Marple, której chodzenie sprawiało z każdą chwilą większą trudność, przeszła głęboko zamyślona na drugą stronę Chelsea Bridge, co tak ją zmęczyło, że zdecydowanym gestem zatrzymała pierwszą napotkaną taksówkę. Dręczyło ją uczucie, że powinna zrobić coś w tej sprawie. Ale jaka to była sprawa i co należało zrobić? Wszystko było tak niesprecyzowane... Bezwiednie wlepiała oczy w tablicę, na której były przymocowane najnowsze dzienniki.

„Sensacyjne wiadomości w sprawie napadu na pociąg” — wołały tytuły. „Opowieść maszynisty” głośiły inne tłustym drukiem. Doprawdy! Panna Marple pomyślała, że chyba każdego dnia zdarza się napad na bank lub pociąg, czy też rabunek pieniędzy przeznaczonych na wypłaty.

Przestępcy zdawali się przechodzić siebie samych...

# Rozdział trzynasty

Nadinspektor Davy, przypominający nieco wielkiego trzmiela, krążył po ciasnych pomieszczeniach Wydziału Śledczego, mrużąc coś do siebie. Był to jego znany nawyk i nie zwracał szczególnej uwagi obecnych; mówiono tylko: „Tata jest na tropie”.

Trop zaprowadził go wreszcie do pokoju, gdzie za biurkiem siedział inspektor Campbell z wyrazem znudzenia na twarzy. Inspektor był ambitnym, młodym człowiekiem i uważał wiele swoich zajęć za krańcowo nudne. Niemniej zmagał się z wyznaczonymi obowiązkami i osiągał bardzo dobre wyniki. Jego władze były zdania, że powinien pracować tak dobrze i od czasu do czasu udzielały mu kilku skąpych słów pochwały.

— Dzień dobry, sir — rzekł inspektor Campbell z szacunkiem na widok wchodzącego. Naturalnie za plecami nazywał nadinspektora Davy’ego, jak wszyscy, Tata, ale nie miał jeszcze dostatecznego stażu, aby robić to prosto w oczy.

— Czy mogę coś dla pana zrobić, sir? — zapytał.

— La la bum bum — brzęczał nadinspektor, fałszując lekko. „Dlaczego wszyscy zwań mnie Mary, kiedy nazywam się panna Gibbs?” — Po tym, dość nieoczekiwanym przypomnieniu szlagiem ze starej komedii muzycznej, przysunął krzesło i usiadł.

— Zajęty? — spytał.

— Umiarkowanie.

— Prowadzisz teraz sprawę zaginięcia związanego z jakimś hotelem. Jak on się nazywa? „Bertram”? Tak?

— Tak, sir. Hotel „Bertram”.

— Przekroczenie licencjonowanych godzin? Call girls?

— Och nie, sir — odparł inspektor Campbell lekko zaszokowany samą myślą, że hotel „Bertram” może być łączony z podobnymi przekroczeniami. — Bardzo miłe, staroświeckie miejsce.

— W obecnych czasach? — zdziwił się Tata. — Naprawdę? To interesujące.

Inspektor Campbell był ciekaw, dlaczego miałoby to być interesujące. Nie chciał pytać, ponieważ humory władz wyższych, od chwili rabunku kolejowego, który okazał się efektownym sukcesem przestępców, były nienadzwyczajne. Patrzył na wielką, masywną postać i grubo ciosaną twarz Taty i zastanawiał się, nie po raz pierwszy zresztą, w jaki sposób nadinspektor Davy zaszedł tak wysoko w hierarchii i dlaczego szczególnie ceniono go w Wydziale.



— W swoim czasie był chyba dobry — pomyślał inspektor Campbell — ale teraz jest wielu bystrych chłopaków, którzy mogliby awansować, gdyby to zeschłe drzewo zostało usunięte. Tymczasem „zeschłe drzewo” rozpoczęło następną piosenkę, nucąc, a czasem wtrącając pojedyncze słowa. „Powiedz, szlachetny nieznajomy, czy jest tu więcej podobn3'ch tobie?” — zahuczał Tata, a potem przeszedł w falset: „Jest kilka, zacny panie, a miłszych dziewcząt nie widziałeś”. Nie, zaraz, musiałem pomylić płcie. *Floradora*. To była naprawdę dobra komedia.

— Chyba słyshałem o niej — rzekł inspektor Campbell.

— Zapewne matka śpiewała ci te piosenki, usypiając cię w kołysce — odparł Tata. — No więc, co się dzieje w hotelu „Bertram”? Kto zaginął i dlaczego?

— Kanonik Pennyfather, sir, starszy pan.

— Nudna sprawa, co? Inspektor Campbell uśmiechnął się:

— Tak, dosyć nudna.

— Jak on wyglądał?

— Kanonik Pennyfather?

— Tak. Masz pewnie jego rysopis?

— Oczywiście — Campbell zaszeleścił papierami:

— Wysokość 5 stóp, 8 cali, wielka siwa czupryna, przygarbiony...

— I zniknął z hotelu. Kiedy?

— Około tygodnia temu, dziewiętnastego listopada.

— I dopiero teraz zawiadomili nas. Dosyć długo to trwało, co?

— Cóż, pewnie spodziewano się, że wróci.

— Żadnych przypuszczeń, co do tła tej sprawy? — zapytał Tata. — Przyzwoity, bogobojny człowiek ucieka nagle z żoną jednego z członków komitetu parafialnego? Albo pije odrobinę w tajemnicy, lub sprzeniewierza fundusze kościelne? A może jest starym, roztargnionym facetem, wplątującym się w różne historie?

— Z tego, czego potrafiłem się dowiedzieć, sir, raczej to ostatnie. Zdarzało mu się już przedtem.

— Co? Zniknięcie z szacownego hotelu na West Endzie?

— Nie, ściśle mówiąc nie to, ale czasem nie wracał do domu w porze, kiedy go oczekiwano. Od czasu do czasu zajeżdżał do przyjaciół, nie będąc zaproszony, albo nie zjawiał się w dniu, w którym

niał przybyć. Sprawy tego rodzaju.

— Tak — rzekł Tata. — Tak. To brzmi sympatycznie i naturalnie, i pasuje do obrazu. Mówiłeś, że kiedy zniknął?

— W czwartek, dziewiętnastego listopada. Zamierzał być na kongresie w — pochylił się i przejrzał papiery na biurku — ach tak, w Lucernie. Towarzystwo Historycznych Badań Biblijnych. To angielskie tłumaczenie nazwy. Sądzę, że to organizacja niemiecka.

— I kongres odbywał się w Lucernie? Staruszek — chyba był staruszkiem?

— Sześćdziesiąt trzy lata, jeśli się nie mylę.

— Nie pojawił się tam, prawda?

Inspektor Campbell wyłowił z papierów wszelkie możliwe fakty i przekazał Tacie.

— Nie wydaje się, żeby uciekł z chłopcem z chóru — zauważył nadinspektor Davy.

— Spodziewam się, że wróci zdrów i cały — powiedział Campbell — ale oczywiście zajęliśmy się tą sprawą. Czy pan, hm, szczególnie interesuje się tym przypadkiem, sir? — trudno mu było powściągnąć ciekawość.

— Nie — odparł Davy w zamyśleniu — nie interesuję się tym. Nie widzę tu nic ciekawego.

Nastąpiła cisza, w której wyraźnie zawisły słowa: „A zatem?”, z pytajnikiem na końcu. Inspektor Campbell był jednak zbyt dobrze wyszkolony, aby wyrazić to głośno.

— To, co mnie naprawdę interesuje — powiedział Davy — to data. I oczywiście hotel „Bertram”.

— Jest bardzo dobrze prowadzony, sir. Żadnych kłopotów.

— To na pewno bardzo miłe — rzekł Tata i dodał w zamyśleniu: — Chciałbym rzucić okiem na to miejsce.

— Oczywiście, sir — odrzekł Campbell. — Kiedy się panu podoba. Sam zamierzałem się tam pokręcić.

— Mógłbym równie dobrze pójść z tobą — powiedział Tata. — Nie po to, żeby się wtrącać, nic takiego. Właśnie chciałem rzucić okiem na ten hotel, i zaginięcie twego archidiakona, czy jak mu tam, jest dość dobrym pretekstem. Nie musisz mówić do mnie „sir”, jak lam będziemy; udawaj ważniaka. Ja będę po prostu twoim popychadłem.

Inspektor Campbell zainteresował się:

— Sądzi pan, sir, że jest tam coś, co wiąże się t. inną sprawą?

— Na razie nie ma powodu tak myśleć — stwierdził Davy. — Ale wiesz, jak to jest. Miewam, nawet nie wiem, jak to nazwać, kaprysy. Wszystko, co mówi się o hotelu „Bertram”, wydaje się zbyt piękne, żeby było prawdziwe. — Wcielił się znowu w trzmiela, bucząc „Chodźmy wszyscy na Strand”.

Tak więc obaj detektywi wyruszyli razem: Campbell wyglądający elegancko w spacerowym garniturze i nadinspektor Davy w swoich tweedach robiący wrażenie przybysza z prowincji. Byli dobrze dostrojony z tłem. Tylko bystre oczy panny Gorringe, kiedy uniosła je znad swoich rejestrów, natychmiast rozpoznały ich profesję. Od czasu, kiedy osobiście zawiadomiła o zaginięciu kanonika Pennyfathera, rozmawiała już z niższym funkcjonariuszem policji i spodziewała się tej wizyty.

Dyskretnie wezwała poważnie wyglądającą dziewczynę — asystentkę, stojącą za nią w pogotowiu, przekazując jej swoje obowiązki w zakresie załatwiania klientów, a sama przesunęła się nieco i spojrzała na obu mężczyzn. Inspektor Campbell położył przed nią legitymację, co zostało przyjęte skinieniem głowy. Patrząc na stojącą za nim, odzianą w tweedową postać, zauważyła, że mężczyzna ów rozglądał się nieznacznie na boki, obserwując hali z widoczną, naiwną przyjemnością, płynącą z oglądania przybytku wyższych sfer.

— Zechcieliby panowie wejść do biura? — zapytała panna Gorringe. — Może tam lepiej by się rozmawiało.

— Tak, myślę, że to słuszna uwaga.

— Przyjemny lokal macie tutaj — powiedział ten wielki, gruby, niedźwiedziowaty mężczyzna. — Wygodny — dodał patrząc z aprobatą na wielki kominek.

— Dobry, staroświecki komfort.

Panna Gorringe uśmiechnęła się z zadowoleniem:

— Tak, istotnie. Szczycimy się tym, że zapewniamy naszym gościom wszelkie wygody. — Zwróciła się do asystentki: — Zajmiesz się wszystkim, Alice? Tu jest księga główna. Wkrótce zjawi się lady Jocelyn. Na pewno będzie chciała zmienić pokój, jak tylko zobaczy ten zarezerwowany dla niej, więc musisz wytłumaczyć, że hotel jest przepelniony. W ostatecznym razie możesz jej pokazać numer 340 na trzecim piętrze. Jest niezbyt wygodny i jestem pewna, że będzie zadowolona z przygotowanego dla niej.

— Tak, panno Gorringe. Zrobię, jak pani sobie życzy.

— I przypomnij pułkownikowi Mortimerowi, że jego lornetka polowa jest tutaj. Prosił mnie dziś rano, żebym mu ją przechowała.

— Dobrze, przypilnuję tego.

Przekazawszy swe obowiązki, panna Gorringe wyszła zza lady i skierowała się ku mahoniowym drzwiom bez napisu. Otworzyła je i wprowadziła przybyłych do małego, dosyć ponuro wyglądającego biura. Wszyscy troje usiedli.

— O ile wiem, zaginionym mężczyzną jest kanonik Pennyfather — zaczął inspektor Campbell. Zjrzał do notesu. — Mam raport sierżanta Wadella. Może pani opowie własnymi słowami, co się właściwie zdarzyło.

— Nie sądzę, że kanonik Pennyfather zaginął w pełnym sensie tego słowa — powiedziała panna Gorringe.

— Myślę, że po prostu spotkał starego przyjaciela, czy kogoś takiego i może wyjechał z nim na jakiś zjazd czy sesję naukową na kontynencie. On jest taki roztargniony.

— Zna go pani długo?

— Och tak. Zajeżdżał tu od — zaraz — od co najmniej pięciu czy sześciu lat.

— Pracuje pani tutaj już kawał czasu, madame — wtrącił nagle nadinspektor Davy.

— Chyba czternaście lat — odparła.

— Przyjemny hotel — powtórzył Davy. — I kanonik zwykł zatrzymywać się tutaj, gdy był w Londynie? Dobrze mówię?

— Tak. Zawsze zajeżdżał do nas. Napisał dużo wcześniej, żeby zarezerwować pokój. Jest znacznie mniej roztargniony na papierze niż w życiu. Prosił o pokój od siedemnastego do dwudziestego pierwszego. W tym okresie zamierzał wyjechać na jedną czy dwie noce i wyjaśnił, że życzy sobie zatrzymać pokój do czasu powrotu. Dość często tak robił.

— Kiedy zaczęła się pani niepokoić o niego? — zapytał inspektor Campbell.

— Nie zaniepokoiłam się naprawdę. Oczywiście, był kłopot z pokojem. Widzi pan, był zamówiony przez kogoś od dwudziestego trzeciego i kiedy uświadomiłam sobie — nic od razu — że nie wrócił z Lugano...

— W notatkach mam Lucernę — wtrącił Campbell.

— Tak, tak, myślę, że to była Lucerna. Jakiś kongres archeologiczny, czy coś takiego. W każdym razie, kiedy uświadomiłam sobie, że nie wrócił, i że jego bagaże są jeszcze w pokoju, sytuacja stała się, co się zowie, kłopotliwa. Rozumie pan, o tej porze roku jesteśmy przepełnieni i oczekiwałam gościa, który miał zamieszkać w tym pokoju. Pani Saunders z Lyme Regis zawsze go zajmuje. I wtedy zadzwoniła gospodyni kanonika. Była niespokojna.

— Nazwisko gospodyni brzmi Mc Crae, o ile zrozumiałem archidiakona Simmons. Zna ją pani?

— Osobiście nie, ale rozmawiałam z nią parę fazy przez telefon. Zdaje mi się, że to bardzo solidna osoba; jest u kanonika od kilku lat. To było naturalne, że zaniepokoiła się. Przypuszczam, że ona i archidiakon Simmons skontaktowali się z przyjaciółmi i krewnymi kanonika, ale nikt nic nie wiedział. A ponieważ spodziewał się przyjazdu archidiakona, wydało się jej to dziwne, że nie

wrócił do domu.

— Czy ten człowiek jest zwykle aż tak roztargniony? — zapytał Tata.

Panna Gorringe zignorowała go. Ten wielki mężczyzna, prawdopodobnie towarzyszący inspektorowi sierżant, był zbyt nachalny.

— A teraz pojęłam — ciągnęła strapionym głosem — teraz zorientowałam się ze słów archidiakona, że kanonik nigdy nie wyjechał na konferencję do Lucerny.

— Nie przysłał żadnego wyjaśnienia?

— Do nas nie. Żadnego telegramu ani nic podobnego. Naprawdę, nie wiem nic o Lucernie. Jestem zainteresowana sprawą jedynie z naszego punktu widzenia. Wiem, że wiadomość przedostała się do wieczornych gazet — to znaczy fakt zaginięcia. Nie wspomniano, że mieszkał tutaj. Mam nadzieję, że do tego nic dojdzie. Nie chcemy prasy, nasi goście bynajmniej sobie tego nie życzą. Jeżeli może pan, inspektorze, trzymać dziennikarzy z daleka, byłibyśmy bardzo wdzięczni. Uważam, że zaginięcie wielbego Pennyfathera nic jest równoznaczne z jego zniknięciem bezpośrednio z hotelu.

— Jego bagaże są jeszcze tutaj?

— Tak. W przechowalni. Ale jeśli kanonik nie pojechał do Lucerny, czy rozważył pan możliwość, że został potrącony przez samochód?

— Nic takiego mu się nie stało.

— To doprawdy bardzo, bardzo dziwne — powiedziała panna Gorringe i zamiast zmartwienia objawiła zainteresowanie. — Zastanawiające, dokąd pojechał i po co?

Tata spojrzał na nią ze zrozumieniem:

— Oczywiście — rzekł. — Pani patrzy na tę sprawę wyłącznie pod kątem hotelu. To naturalne.

— Rozumiem — powiedział inspektor Campbell, odwołując się jeszcze raz do swoich notatek — że kanonik Pennyfather opuścił hotel około 18.30, w czwartek, dziewiętnastego. Miał ze sobą małą, podręczną torbę i wyjechał stąd taksówką, prosząc portiera, aby polecił kierowcy zawieźć go do klubu Ateneum.

Panna Gorringe skinęła głową.

— Tak, jadł obiad w Ateneum. Archidiakon Simmons powiedział mi, że tam widziano go po raz ostatni.

W głosie panny Gorringe brzmiała stanowczość, jakby przenosiła odpowiedzialność za ostatnie pojawienie się kanonika z hotelu „Bertram” na klub Ateneum.

— To przyjemność dostać tak uporządkowane fakty — rzekł Tata uprzejmie. — Teraz wszystko

jasne. Wyszedł z małą, niebieską lotniczą torbą BOAC, czy jak tam — to była niebieska torba BOAC, tak. Wyszedł i nie wrócił, i to wszystko.

— Więc, jak panowie widzą, naprawdę nie mogę pomóc — powiedziała panna Gorringe, wykazując chęć podniesienia się i powrotu do pracy.

— Nie zdaje się, żeby pani mogła nam pomóc — rzekł Tata — ale ktoś inny może byłby w sianie.

— Ktoś inny?

— Po prostu ktoś z personelu.

— O nie. Gdyby ktokolwiek coś wiedział, na pewno zgłosiłby to mnie.

— Może tak, a może nie. Zapewne zgłosiliby, gdyby znali jakieś fakty. Ale mam na myśli coś, co mogło zostać powiedziane... i usłyszane.

— Co takiego? — zapyłała panna Gorringe zdumiona.

— Och, po prostu jakieś przypadkowe słowo, które mogłoby naprowadzić na trop. Coś takiego: „Idę dziś wieczór spotkać się z przyjacielem, którego nie widziałem od czasu, gdy byliśmy w Arizonie”. Coś w tym rodzaju. Albo: „Wyjeżdżam w przyszłym tygodniu do siostrzenicy na confirmację jej córki”. Jeżeli mamy do czynienia z ludźmi roztargnionymi, takie informacje są wielce pomocne. Wskazują zamiary poszukiwane osoby. Mogło się zdarzyć, że po obiedzie w Ateneum ksiądz wsiada do taksówki i myśli: „Zaraz, dokąd ja jadę?” i wspomniawszy confirmację, wyrusza pod konkretny adres.

— Rozumiem, o czym pan mówi — powiedziała panna Gorringe z powątpiewaniem. — Ale to wydaje się mało prawdopodobne.

— Och, nigdy nie wiadomo, kiedy się poszczęści — rzekł Tata pogodnie. — Poza tym, są tu różni goście. Przypuszczam, że kanonik Pennyfather znał niektórych z nich, gdyż przyjeżdżał tu często.

— O tak — rzekła panna Gorringe. — Zaraz. Widziałam go rozmawiającego z... tak, z lady Seliną Hazy. Był jeszcze biskup z Norwich. Zdaje się, że są starymi przyjaciółmi. Studiowali razem w Oxfordzie. I pani Jameson z córkami. Pochodzą z tych samych stron. Tak, dosyć dużo osób.

— Widzi pani — kontynuował Tata — on mógł rozmawiać z kimś z nich. Mógł wspomnieć o jakimś drobiazgu, który da nam klucz do rozwiązania zagadki. Czy w tej chwili mieszka w hotelu ktoś, kto znał kanonika dość dobrze?

Panna Gorringe zmarszczyła brwi:

— Jest chyba jeszcze generał Radley. I pewna stara dama z prowincji, która mi wspomniała, że mieszkała tu jako dziewczynka. Chwileczki; nie pamiętam w tym momencie jej nazwiska, ale znajdę panu. A tak, nazywa się panna Marple. Przypuszczam, że go znała.

— Dobrze, możemy zacząć od nich. I jeszcze pokojówka.

— Tak — odparła panna Gorringe. — Ale była już przesłuchiwana przez sierżanta Wadella.

— Wiem. Chyba jednak nie pod tym kątem, A co z kelnerem, który obsługiwał jego stół? A kierownik sali?

— To, oczywiście, Henry — wyjaśniła panna Gorringe.

— Kto to jest? — spytał Tata.

Panna Goringe była wręcz wstrząśnięta. Wydawało się jej niemożliwe, by ktoś nie znał Henry'ego.

— Henry jest tu dłużej, niż potrafię policzyć — powiedziała. — Musiał go pan zauważyć podającego herbatę, kiedy panowie weszli.

— Swego rodzaju osobistość — rzekł Tata. — Pamiętam, zauważyłem go.

— Nie wiem, co zrobilibyśmy bez Henry'ego — powiedziała panna Gorringe ze wzruszeniem. — Jest naprawdę cudowny. Stwarza w lokalu tę przytulną atmosferę.

— Może zechciałby podać mi herbatę — wtrącił Davy. — Widziałem, że podawał maślane bułeczki. Zjadłbym znowu dobrą bułeczkę.

— Oczywiście, jeśli ma pan ochotę — rzekła panna Gorringe dość chłodno. — Każę podać panom dwie herbaty. W hallu? — dodała zwracając się do inspektora Campbella.

— To byłoby... — zaczął inspektor, gdy nagle otworzyły się drzwi i wkroczył w swój olimpijski sposób pan Humfries. Wyglądał na lekko zaskoczonego, spojrzał pytająco na pannę Gorringe:

— To są dwaj panowie ze Scotland Yardu — wyjaśniła.

— Inspektor Campbell — przedstawił się inspektor.

— Ach, tak. Oczywiście — powiedział Humfries.

— Pewnie w sprawie kanonika Pennyfathera? Zdziwiająca historia. Mam nadzieję, że nic się nie stało?

— Ja również — wtrąciła panna Gorringe. — Taki zacny starszy pan.

— Jeden ze starej gwardii — rzekł Humfries z aprobatą.

— Macie tu chyba wielu takich — zauważył nadinspektor Davy.

— Sądzę, że tak. Owszem — rzekł pan Humfries.

— Tak, pod wieloma względami jesteśmy staroświeccy.

— Mamy stałych klientów — oznajmiła panna Gorringe z dumą. — Ci sami ludzie wracają rok po roku. Mamy też dużo Amerykanów z Bostonu i Waszyngtonu. Bardzo spokojni, mili.

— Lubią naszą angielską atmosferę — podkreślił pan Humfries, pokazując w uśmiechu niezwykle białe zęby.

Tata patrzył na niego pełen zadumy. Inspektor Campbell odezwał się:

— Jest pan zupełnie pewien, że nie przysłała żadna wiadomość od kanonika? Może odebrał ją ktoś, kto zapomniał zapisać lub przekazać?

— Telefoniczne wiadomości są zawsze zapisywane jak najskrupulatniej — odparła panna Gorringe lodowatym tonem. — Nie mogę sobie wyobrazić, żeby wiadomość mogła nie zostać przekazana mnie, albo osobie pełniącej dyżur. Spojrzała na inspektora wyzywająco.

Campbell na moment zapomniał języka w gębie.

— Naprawdę odpowiedzieliśmy już na te wszystkie pytania — powiedział Humfries, również z odrobiną chłodu w głosie. — Przekazaliśmy wszelkie posiadane informacje pańskiemu sierżantowi — nie pamiętam w tej chwili jego nazwiska.

Tata poruszył się lekko i powiedział ‘i pewnego rodzaju prostodusznością:

— Otóż, widzi pan, sprawa zaczęła wyglądać trochę poważniej. To może być coś więcej niż roztargnienie. Dlatego właśnie uważam, że byłoby dobrze, gdybyśmy zamienili parę słów z osobami, które pani wymieniła: z generałem Radleyem i panną Marple.

— Chciałby pan, żebym zaaranżował spotkanie z nimi? — pan Humfries nie był zachwycony. — Generał Radley bardzo źle słyszy.

— Nie sądzę, aby było konieczne robić to formalnie — powiedział nadinspektor Davy. — Nie chcemy niepokoić ludzi. Może pan spokojnie zdać się na nas. Proszę tylko wskazać te osoby. Istnieje po prostu szansa, że kanonik mógł wspomnieć o swoich planach albo o kimś, kogo chciał zobaczyć w Lucernie. W każdym razie warto spróbować.

Pan Humfries uspokoił się trochę:

— Nic więcej nie możemy zrobić dla panów? Jestem pewien, że pojmujecie, iż pragniemy pomóc wam wszelkimi sposobami, ale zechciejcie zrozumieć też, co czujemy na myśl o jakiegokolwiek publikacji w prasie.

— Racja — powiedział inspektor Campbell.

— A ja zamienię tylko słówko z pokojówką — dodał Tata.

— Oczywiście, jeśli pan sobie życzy. Bardzo wątpię, czy potrafi panu coś wyjaśnić.



— Prawdopodobnie nie. Ale może być jakiś szczegół: uwaga kanonika na temat listu czy spotkania. Nigdy nie wiadomo.

Pan Humfries spojrział na zegarek.

— Będzie miała dyżur od szóstej. Drugie piętro. Może tymczasem panowie zechcą wypić herbatę?

— To mi odpowiada — odparł szybko Tata. Opuścili razem biuro. Panna Gorringe poinformowała:

— Generał Radley będzie w palami. To pierwszy pokój na lewo w tym korytarzu. Będzie siedział przed kominkiem, z „Timesem”. Myślę — dodała dyskretnie — że może drzemać. Czy panowie naprawdę nic chcą, żebym...

— Nie, moim zdaniem nie — rzekł Tata. — A co z drugą osobą, starszą damą?

— Siedzi tam, przy kominku — odparła panna Gorringe.

— Ta z białymi, puszystymi włosami, robiąca na drutach? — zapytał Tata spojrzawszy. — Mogłaby znaleźć się wprost na scenie, prawda? Idealna do roli ciotecznej babki.

— Cioteczne babki nie są dziś w cenie — zauważyła panna Gorringe. — Ani babki, ani prababki, jeśli o to chodzi. Wczoraj gościliśmy margrabinę of Barlowe. Jest prababką. Szczerze mówiąc, nie poznałam jej, gdy weszła. Twarz: różowo-biała maska, włosy platynowo-blond i, podejrzewam, podreperowana figura. Ale wyglądało to fantastycznie.

— Ach — powiedział Tata — osobiście wolę te staroświeckie. A więc, bardzo dziękuję, madamc — skłonił się lekko i zwrócił do Campbella: — Zajmę się tym sir? Wiem, że ma pan ważne spotkanie.

— Dobrze — odparł Campbell, podejmując grę. — Nie sądzę, że coś z tego wyjdzie, ale warto spróbować.

Pan Humfries zniknął w swoim sanktuarium, mówiąc:

— Panno Gorringe, proszę na moment.

Poszła za nim i zamknęła drzwi. Humfries chodził tam i z powrotem. Zapytał ostro:

— Dlaczego oni chcą rozmawiać z Rose? Wadell zadał jej wszystkie niezbędne pytania.

— Przypuszczam, że to tylko rutyna — odpowiedziała panna Gorringe niepewnie.

— Lepiej niech pani pomówi z nią najpierw. Recepcjonistka spojrzała, lekko zdziwiona:

— Ale z pewnością inspektor Campbell...

— Och, nie martwię się Campbellem. To ten drugi. Wie pani, kto to?

— Chyba nie podał nazwiska. Przypuszczalnie jakiś sierżant. Wygląda na prostaka.

— Prostak, cholera! — rzucił pan Humfries, odkładając na bok wytworne maniery. — To jest nadinspektor Davy, najchytrzejszy lis, jaki kiedykolwiek istniał. Mają o nim w Yardzie dobre zdanie. Chciałbym wiedzieć, co on tu robi, węsząc i grając pocziwego kmiotka. Wcale mi się to nie podoba.

— Nie myśli pan...

— Nie wiem, co myśleć. Ale powiadam panii, że nic podoba mi się to. Chciał widzieć jeszcze kogoś, prócz Rose?

— Sądzę, że zamierza rozmawiać z Henrym.

Pan Humfries roześmiał się. Panna Gorringe zawtórowała mu.

— Nie potrzebujemy się martwić o Henry'ego.

— Na pewno nie.

— A goście, którzy znali kanonika? Pan Humfries zaśmiał się znowu.

— Życzę Davy'emu dużo radości ze starym Radleyem. Będzie wrzeszczał, żeby usiadł, a potem nic powie nic godnego uwagi. Ma wolną rękę w stosunku do Radleya i tej śmiesznej, starej kwoki, panny Marple. Ale, mimo wszystko, nie podoba mi się, że wtyka nos...

# Rozdział czternasty

— Wiesz — powiedział nadinspektor Davy z namysłem — nie bardzo mi się podoba ten Humfries.

— Myśli pan, że jest niewyraźny?

— Noo... — w głosie Taty brzmiała nutka jakby skruchy — znasz ten rodzaj wrażeń. Lizusowaty typ. Ciekaw jestem, czy jest właścicielem, czy tylko zarządzającym.

— Mógłbym go spytać — Campbell zrobił krok w kierunku drzwi biura.

— Nie, nie pytaj go — rzekł Tata. — Dowiedz się, ale dyskretnie.

Campbell patrzył na niego zdziwiony:

— Co pan ma na myśli, sir?

— Nic szczególnego — odparł Tata — ale chciałbym mieć znacznie więcej informacji o tym hotelu. A przede wszystkim, jak przedstawiają się jego finanse.

Campbell potrząsnął głową:

— Powiedziałbym, że jeśli jest w Londynie hotel absolutnie poza podejrzeniami...

— Wiem, wiem — powiedział Tata — jakie to pożyteczne mieć taką reputację!

Inspektor znowu potrząsnął głową i wyszedł. Tata udał się korytarzem do palami. Generał Radley właśnie obudził się. „Times” zsunął mu się z kolan i strony się rozsypały. Tata podniósł gazetę, poskładał i wręczył generałowi.

— Dziękuję panu, sir. Bardzo miło z pana strony — powiedział generał nieco burkliwie.

— Generał Radley?

— Tak.

— Zechce pan wybaczyć — rzekł Tata podnosząc głos — chciałbym pomówić z panem o kanoniku Pennyfatherze.

— Eh, co takiego? — generał podniósł rękę do ucha.

— Kanonik Pennyfather! — ryknął Tata.

— Mój ojciec? Zmarł wiele lat temu.

— Kanonik Pennyfather.

— Aaa! Co z nim? Widziałem go kiedyś. Mieszkał tu.

— Chodzi o adres, który miał mi dać. Powiedział, że zostawi u pana.

To było trudniejsze do przekazania, ale ostatecznie powiodło się.

— Nigdy nie dawał mi żadnego adresu. Musiał mnie pomylić z kimś innym. Głupi, stary idiota. Zawsze był taki. Uczony, wic pan. Oni są zawsze roztargnieni.

Tata wytrwał jeszcze trochę, ale niebawem zdecydował, że konwersacja z generałem jest praktycznie niemożliwa i na pewno zupełnie bezowocna. Poszedł i usiadł w hallu, przy stole, który przedzielał go od panny Jane Marple.

— Herbata, sir?

Tata spojrzał. Osobowość Henry'ego wywarła na nim wrażenie, jak na każdym. Choć był wielkim, postawnym mężczyzną, przypominał wcielenie Ariela, który potrafił materializować się i znikać, kiedy chciał. Tata zamówił herbatę.

— Czyżbym widział tu też maślane bułeczki? — spytał.

Henry uśmiechnął się życzliwie.

— Tak, sir. Nasze bułeczki są naprawdę bardzo dobre, jeśli wolno rui powiedzieć. Wszyscy zachwycają się nimi. Zamówić dla pana? Herbata indyjska czy chińska?

— Indyjska — odparł Tata — albo cejlońska, jeśli jest.

— Oczywiście, mamy cejlońska, sir.

Henry zrobił lekki nuch palcem i blady młodzieniec, który był jego pomocnikiem, wyruszył po cejlońska herbatę i bułeczki.

— Tak, ty jesteś Kimś — pomyślał Tata. — Ciekawe, gdzie cię znaleźli i ile ci płacą. Założę się, że kupę forsy, i jesteś tego wart. Obserwował Henry'ego nachylającego się opiekuńczo nad starą damą. Ciekawiło go, co Henry myśli o nim, jeżeli w ogóle cokolwiek myślał. Tata uważał, że on sam pasuje zupełnie dobrze do hotelu „Bertram”. Mógł być dobrze prosperującym ziemianinem albo członkiem Izby Lordów, albo podobnym do bukmachera. Znał dwóch parów o podobnym do własnego wyglądzie. Ogólnie udawało mu się przejść próbę, ale możliwe, że nic oszukał Henry'ego. — Tak, ty jesteś Kimś — pomyślał znowu.

Zjawiła się herbata i bułeczki. Tata ugryzł ogromny kęs. Masło spłynęło mu na brodę. Wylał ją wielką chustką do nosa. Wypił dwie filiżanki herbaty z ogromną ilością cukru. Potem pochylił się i powiedział do damy, siedzącej obok:

— Proszę wybaczyć, czy może panna Marple? Zagadnięta przeniosła wzrok ze swojej robótki na nadinspektora Davy'ego.

— Tak — odparła — jestem panna Marple.

— Mam nadzieję, że nic odmówi mi pani rozmowy. Prawdę powiedziawszy, jestem inspektorem policji.

— Doprawdy? Chyba nie zdarzyło się nic złego? Tata pośpiesznie uspokoił ją w swój wypróbowany, ojcowski sposób.

— No, no, niech się pani nie denerwuje, panno Marple — powiedział. — Nic takiego, o czym pani myśli. Ani włamanie, ani nic w tym rodzaju. Tylko trochę kłopotów z roztargnionym księdzem, to wszystko. Myślę, że jest z panią zaprzyjaźniony. Kanonik Pennyfather.

— Ach, kanonik Pennyfather. Był tu zaledwie przed paroma dniami. Tak, znam go, ale luźno, choć od wielu lat. Jest istotnie bardzo roztargniony. Co on teraz robi? — zainteresowała się.

— Cóż, można by powiedzieć, że się zgubił.

— O Boże — rzekła panna Marple — a gdzie powinien być?

— Miał wrócić do domu, przy katedrze — odparł Tata — ale nic ma go tam.

— Mówił mi, że jedzie na konferencję do Lucerny. Chyba coś na temat Morza Martwego. Jest wielkim znawcą hebrajskiego i aramejskiego.

— Tak, ma pani rację. Tam właśnie zamierzał pojechać.

— Sądzi pan, że nie pojechał?

— Tak — odrzekł Tata. — Nie pojawił się tam.

— Przypuszczam — zastanowiła się panna Marple — że pomylił datę.

— To bardzo prawdopodobne, bardzo.

— Obawiam się, że nie pierwszy raz zdarzyło mu się coś takiego. Kiedyś przyszedł do niego, zaproszona na herbatę w Chadminster. Nie było go w domu. Gospodyni opowiedziała mi, jak bardzo jest roztargniony.

— Podczas pobytu w hotelu nie wspominał o niczym, co mogłoby naprowadzić nas na trop? — spytał Tata poufnym tonem. — Wie pani, o czym myślę. Że spotkał jakiegoś przyjaciela, albo co zamierzał robić po konferencji w Lucernie.

— Och, nie. Wspominał tylko o konferencji. Chyba mówił, że odbywa się dziewiętnastego. Tak było?

— Tak, to data konferencji.

— Nie zwróciłam na nią szczególnej uwagi. Przypuszczam... — jak większość starych dam, panna Marple zaczęła mówić nieco zawile. — Wydaje mi się, że wymienił datę dziewiętnastego i tak mogło być, a jednocześnie mógł mieć na myśli dziewiętnastego, a naprawdę miał to być dwudziesty. Chcę powiedzieć, że mógł sądzić, iż dziewiętnastego jest dwudziesty, albo że dwudziesty to dziewiętnasty.

— Noo... — wykrztusił Tata, lekko oszołomiony.

— Źle to wyraziłam — zaczęła wyjaśniać panna Marple — ale chodzi mi o to, że kiedy tacy ludzie jak kanonik powiadają, iż jadą dokądś w czwartek, to może to być środa lub piątek. Zwykle spostrzegają się w porę, ale czasem nie. Pomyślałam więc, że właśnie coś takiego musiało się zdarzyć.

Davy popatrzył nieco zaskoczony.

— Mówi pani tak, jakby wiedziała z pewnością, że kanonik nie pojechał do Lucerny.

— Wiedziałam, że nie był w Lucernie w czwartek — wyjaśniła stara dama. — Był tu cały dzień, albo przynajmniej większość dnia. Oto dlaczego sądziłam, że mówiąc do mnie o czwartku, miał na myśli piątek. I z całą pewnością wyszedł stąd w czwartek wieczorem, niosąc torbę Brytyjskich Linii Lotniczych.

— Dokładnie tak było.

— Byłam przekonana, że udaje się na lotnisko — powiedziała panna Marple. — Dlatego tak się zdziwiłam, widząc, że wrócił.

— Przepraszam, co pani ma na myśli mówiąc „wrócił”?

— Po prostu to, że wrócił do hotelu.

— Zaraz, wyjaśnijmy to dokładnie — powiedział Tata głosem miłym i zachęcającym do pogawędki, jakby nie chodziło o nic naprawdę ważnego. — Pani widziała starego idio..., chciałem powiedzieć, widziała pani kanonika wychodzącego z torbą podróżną, dość wcześnie wieczorem, jak pani sądziła, na lotnisko. Dobrze mówię?

— Tak. Chyba o pół do siódmej, albo za piętnaście siódma.

— Ale pani mówi, że wrócił.

— Może spóźnił się na samolot. To byłoby wytłumaczenie.

— O której godzinie wrócił?

— Nie wiem dokładnie. Nie widziałam go, jak wracał.

— Och — rzekł Tata zaskoczony. — Zdawało mi się, że widziała go pani.

— Widziałam go później — wyjaśniła panna Marple. — Miałam na myśli, że nie widziałam go w chwili, gdy wchodził do hotelu.

— Później? Kiedy?

Panna Marple zamyśliła się.

— Chwileczkę. To było około trzeciej po północy. Nie spałam dobrze. Coś mnie obudziło. Jest tyle dziwnych hałasów w Londynie. Zobaczyłam, że jest dziesięć po trzeciej. Z jakiegoś powodu — nic wiem dlaczego — byłam niespokojna. Może usłyszałam kroki przed moimi drzwiami. Jeśli mieszkaniec prowincji usłyszy kroki w środku nocy, czuje się zaniepokojony. Więc po prostu otworzyłam drzwi i wyrzałam. Kanonik Pennyfather, w płaszczu, opuszczał swój pokój, znajdujący się zresztą obok mojego, i schodził po schodach.

— Wszedł z pokoju w płaszczu i zszedł schodami o trzeciej nad ranem?

— Tak — odparła panna Marple. — Pomyślałam wtedy, że to dziwne.

Tata patrzył na nią długą chwilę.

— Panno Marple — zapytał — dlaczego nie powiedziała pani tego już wcześniej?

— Nikt mnie o to nie pytał — odparła po prostu stara dama.

# Rozdział piętnasty

Nadinspektor Davy zaczerpnął głęboko tchu.

— Nie — powiedział — nie podejrzewam, że ktoś panią pytał. To jasne.

Pogrzywał się znowu w milczeniu.

— Uważa pan, że coś się stało, prawda? — spytała panna Marple.

— Minął już przeszło tydzień nieobecności wielbnego Pennyfathera — odparł Tata. — Nie dostał ataku i nie upadł na ulicy. Nie trafił do szpitala wskutek wypadku. Więc gdzie jest? Fakt jego zniknięcia odnotowano w prasie, ale nikt dotychczas nie zgłosił się z jakąkolwiek informacją.

— Mogli nie przeczytać komunikatu. Ja na przykład nie czytałam.

— To wygląda tak — Davy szedł za lokiem własnych myśli — jakby zamierzał zniknąć. Wyszedł z hotelu w taki właśnie sposób, w środku nocy. Jest pani tego zupełnie pewna? — zapytał zmieniając ton na oficjalny. — Nie przyśniło się pani?

— Jestem absolutnie pewna — odpowiedziała panna Marple stanowczo.

Tata podniósł się:

— Pójdę zobaczyć się z tą pokojówką.

Znalazł Rose Shekton przy pracy i obejrzał z aprobatą jej zgrabną postać.

— Przykro mi, że niepokoję panią — rzekł. — Wiem, że widziała się pani z naszym sierżantem. Chodzi o tego zaginionego dżentelmena, kanonika Pennyfathera.

— Och tak, sir. Bardzo miły pan. Często zatrzymuje się tutaj.

— Roztargniony — powiedział Tata.

Rosę Sheldon pozwoliła, aby dyskretny uśmiezek okraślił wyraz pełnego szacunku malujący się na jej twarzy.

— Więc zaraz — nadinspektor udawał, że sprawdza notatki. — Ostatni raz widziała pani kanonika Pennyfathera...

— W czwartek rano, sir. W czwartek, dziewiętnastego. Powiedział mi, że nie wróci na tę noc i prawdopodobnie na następną. Wyjeżdżał, zdaje się, do Genewy. W każdym razie do Szwajcarii. Dał mi dwie koszule do wyprania, a ja powiedziałam, że będą gotowe następnego ranka.



— I to było po raz ostatni, kiedy go pani widziała?

— Tak, sir. Nie miewam służby po południu. Wracam znowu o osiemnastej. Kanonik musiał już wyjść, albo przynajmniej być na dole. Nie było go w pokoju. Zostawił dwie walizki.

— To prawda — rzekł Tata. Zawartość walizek została sprawdzona, ale nie przyniosło to żadnego pożytku.

— Budziła go pani następnego dnia?

— Budzić go, sir? Nie, nie było go.

— A co pani robiła zwykle? Podawała mu pani wczesną herbatę? Śniadanie?

— Poranną herbatę, sir. Śniadanie jadał zawsze na dole.

— Więc nie wchodziła pani do jego pokoju przez cały następny dzień?

— Ależ tak, sir. — Rosę była zgorziona. — Weszłam do jego pokoju jak zwykle. Po pierwsze, zabrałam koszule. Po drugie, posprzątałam pokój. Sprzątam wszystkie pokoje codziennie.

— Czy było widać, że w łóżku ktoś spał?

Spojrzała na niego zdumiona.

— W łóżku, sir? O nie.

— Może było zmięte, jakoś zgniecione? Potrząsnęła głową.

— A co z łazienką?

— Był tam wilgotny ręcznik, sir. Przypuszczam, że używany poprzedniego wieczoru. Mógł umyć ręce tuż przed wyjściem.

— I nic nie wskazywało, że wrócił do pokoju? Może całkiem późno, po północy?

Wlepiła w niego wzrok z wyrazem zdumienia. Tata otworzył usta, potem zamknął znowu. Albo nie wiedziała nic o powrocie kanonika, albo była wysoce utalentowaną aktorką.

— A co z jego rzeczami, z ubraniami? Były w walizkach?

— Nie, sir. Wisiały w szafach. Jak pan wie, zatrzymał pokój.

— Kto je później spakował?

— Panna Gorringe wydała polecenie, kiedy potrzebowano miejsca dla przyjeżdżającej pani.

Prosta, logiczna relacja. Jeżeli jednak ta stara dama była przy zdrowych zmysłach twierdząc, że

widziała kanonika opuszczającego pokój o trzeciej po północy w piątek rano, musiał przecież kiedyś tam wrócić. Czyżby z jakiegoś powodu rozmyślnie unikał pokazania się? Nie zostawił żadnych śladów, nawet nie położył się do łóżka. Czy wszystko to przyśniło się panie Marple? W jej wieku to zupełnie możliwe. Przyszła mu do głowy pewna myśl.

— A co z jego torbą podróżną?

— Przepraszam, sir?

— Mała, ciemnoniebieska torba lotnicza z inicjałami BEA czy BOAC — musiała ją pani widzieć?

— Ach ta! Tak, sir. Oczywiście wziął ją z sobą za granicę.

— Ale kanonik nie wyjechał za granicę. Nigdy nic pojechał do Szwajcarii. Więc musiał ją zostawić. Albo też wrócił i zostawił ją z innymi bagażami.

— Tak... tak... myślę... nie jestem pewna... sędzę, że tak zrobił.

Nadinspektorowi błysnęła myśl: „Nie nauczyli cię, co mówić na ten temat, co?”

Do tej chwili Rosę Sheldon była spokojna i pewna siebie. Jednak ostatnie pytanie przestraszyło ją. Nie знаła właściwej odpowiedzi. A powinna ją znać. Kanonik wziął torbę na lotnisko i wrócił. Jeżeli wrócił do „Bertrama”, torba powinna być z nim. Panna Marple nie zrobiła jednak żadnej wzmianki o niej, kiedy opisywała kanonika opuszczającego pokój i schodzącego na dół.

Przypuszczalnie torba została w sypialni, ale nie znalazła się w przechowalni razem z walizkami. Dlaczego? Ponieważ ktoś chciał, żeby uznano, że kanonik wyjechał do Szwajcarii.

Podziękował Rosę dobrotliwie i zszedł na dół. Kanonik Pennyfather! W pewnym sensie tajemniczy człowiek. Mówi dużo o wyjeździe do Szwajcarii, gmatwa sprawy tak, że nie wyjeżdża, wraca do hotelu tak dyskretnie, że nikt go nie widzi, wychodzi znów we wczesnych godzinach rannych. Dokąd idzie? Co zamierza zrobić? Czy można to wszystko tłumaczyć roztargnieniem?

Jeżeli nie, co się z nim stało? I, co ważniejsze, gdzie jest?

Stojąc u szczytu schodów Tata rzucił podejrzliwe spojrzenie na siedzących w hallu i zastanowił się, czy wszyscy byli tacy, na jakich wyglądali. Miał przed sobą prawdziwy spektakl! Ludzie starsi i w średnim wieku (nikogo naprawdę młodego), uprzejmi ludzie dawnego pokroju, prawie wszyscy zamożni, godni szacunku. Urzędnicy, prawnicy, duchowni; w pobliżu drzwi amerykańskie małżeństwo, francuska rodzina przy kominku. Nikogo rażącego na tym tle, nikogo nie na miejscu, to znaczy przy tradycyjnym, angielskim podwieczorku. Czy naprawdę mogłoby się dziać coś złego w miejscu, gdzie o piątej podają staroświecką, popołudniową herbatę?

Francuz powiedział do żony, że to wszystko jest takie typowe:

— *Le five o'clock. C'est hien anglais ça, n'est ce pas!* — rozejrzał się wokoło z aprobatą.

— *Le five o'clock* — pomyślał Davy i wyszedł przez wahadłowe drzwi na ulicę. — Ten facet nie wie, że *la five o'clock* wyginał, jak ptak dodo.

Na zewnątrz ładowano do taksówki rozmaite, ogromne amerykańskie kufry i walizy. Wyglądało na to, że państwo Elmer Cabot wyruszali do hotelu Vendôme w Paryżu.

Na chodniku, między kufkami, pani Elmer Cabot przekazywała mężowi swoje wrażenia.

— Państwo Pendlebury mieli zupełną rację, mówiąc o tym hotelu, Elmer. To jest właśnie stara Anglia. Cudownie edwardiańska. Czułam, że Edward VII mógłby w każdej chwili wejść, usiąść i wypić popołudniową herbatę. Myślę, że wrócimy tu w przyszłym roku, naprawdę tak uważam.

— Jeżeli zarobimy milion dolarów, albo zaoszczędzimy tyle — powiedział sucho jej mąż.

— Ależ Elmer, nie było tak źle.

Bagażę zostały załadowane, wysoki portier pomógł gościom wsiąść, mamrocząc „dziękuję, sir”, kiedy mr Cabot zrobił oczekiwany gest. Taksówka odjechała. Portier przeniósł uwagę na nadinspektora.

— Taksówka, sir?

Davy przyjrzał się mu. Ponad sześć stóp wzrostu. Przystojny chłop. Niezbyt młody. Masa medali, prawdopodobnie autentycznych. Spryciarz? Pije za dużo. Głośno zapytał: — Były wojskowy?

— Tak, sir. Gwardia Irlandzka.

— Krzyż Walecznych, jak widzę. Gdzie go dostaliście?

— Birma.

— Jak się nazywacie?

— Michael Gorman. Sierżant.

— Dobrą macie tu pracę?

— To spokojne miejsce.

— Nie wolelibyście „Hilona”?

— Nie, sir. Podoba mi się tu. Przyjeżdżają uprzejmi ludzie i wielu dżentelmenów na wyścigi do Ascot i Newbury. Od czasu do czasu mam dla nich dobre typy.

— A, więc jesteście Irlandczykiem i graczem?

— Czym byłoby życie bez hazardu?

— Spokojne i nieciekawe — stwierdził nadinspektor Davy. — Jak moje.

— Doprawdy, sir?

— Potraficie odgadnąć mój zawód? — zapytał Tata. Irlandczyk wyszczerzył zęby w uśmiechu:

— Nie chciałbym obrazić pana, ale jeśli mogę zgadywać, powiedziałbym, że jest pan gliną.

— Trafione za pierwszym razem — odparł nadinspektor. — Pamiętacie kanonika Pennyfathera?

— Kanonik Pennyfather, zaraz, nie przypominam sobie nazwiska...

— Starszy duchowny. Michael Gomian zaśmiał się:

— Cóż, tutaj duchowni są tak liczni, jak drzewa w lesie.

— To ten, który zniknął.

— Ach, ten. — Portier wydawał się lekko zmieszany.

— Znaliście go?

— Nie pamiętałbym go, gdyby nie ludzie pytający o niego. Wszystko, co o nim wiem, to że wsadziłem go do taksówki i że pojechał do klubu Ateneum. Ktoś powiedział mi, że miał wyjechać do Szwajcarii, ale, jak słyszę, nigdy tam nie dotarł. Wygląda na to, że zaginął.

— Nie widzieliście go tego dnia, później?

— Później... Nie, naprawdę nie.

— O której godzinie skończyliście służbę?

— O jedenastej trzydzieści.

Nadinspektor Davy skinął głową, odmówił wzięcia taksówki i ruszył powoli przez Pond Street. Z tyłu zawarczał samochód, zbliżając się do krawężnika i zatrzymując z piskiem opon przed hotelem „Bertram”. Nadinspektor odwrócił się spokojnie i dostrzegł tablicę rejestracyjną. FAN 2266. Ten numer coś mu przypominał, choć w tej chwili nie umiał tego sprecyzować.

Zawrócił z wolna. Ledwie doszedł do wejścia, kiedy kierowca, ledwie przekroczywszy przed chwilą drzwi, wyszedł znowu. On i jego samochód pasowali do siebie. Wóz był wyścigowy, biały, o efektownej, wydłużonej linii. Młody człowiek miał ten sam wygląd charta, przystojną twarz i ani grama zbędnego tłuszczu.

Portier przytrzymał otwarte drzwi samochodu, młody człowiek wskoczył, rzucił portierowi monetę i odjechał z rykiem potężnej maszyny.

— Wie pan, kto to był? — spytał Michael Gorman nadinspektora.

— W każdym razie niebezpieczny kierowca.

— Ladislaus Malinowski. Zdobył Grand Prix dwa lata temu, był mistrzem świata. Miał fatalny wypadek w zeszłym roku. Mówią, że jest już zdrowy.

— Nic powiecie mi, że mieszka u „Bertrama”. Zupełnie tu nie pasuje.

Michael Gorman wyszczerzył zęby w uśmiechu:

— Nie, on nie. Ale jego przyjaciółka... — mrugnął. Bagażowy w pasiastym kitlu wyszedł z następnym

luksusowym podróжным ekwipunkiem Amerykanów.

Tata patrzył z roztargnieniem, kiedy znikali w wynajętym daimlerze, próbując przypomnieć sobie, co wie o Malinowskim. Szalony facet. Mówiono, że jest związany z jakąś znaną kobietą — jakże brzmiało jej nazwisko? Gapiąc się wciąż na eleganckie walizy już odwracał się, by odejść, gdy nagle zmienił zamiar i wrócił do hotelu.

Podszedł do lady i poprosił pannę Gorringe o księgę gości hotelowych. Panna Gorringe była zajęta wyjeżdżającymi Amerykanami i podsunęła mu ją w milczeniu. Odwracał kartki. Lady Selina Hazy, Little Collage, Merryfield, Hants. Pan i pani Hennesey King, Elderberrics, Essex. Sir John Woodstock, 5 Beaumont Crescent, Cheltenham. Lady Sedgwick, Hurstings House, Northumberland. Pan i pani Elmer Cabot, Connecticut. Generał Radley, 14, The Green, Chichester. Pan i pani Woolmer Pickington, Marble Head, Connecticut. Hrabina de Beauville, Les Sapins, St. Germain en Laye. Panna Jane Marple, St. Mary Mead, Much Benharn. Pułkownik Luscombe, Little Green, Suffolk. Pani Carpenter, panna Elwira Blake. Kanonik Pennyfather, The Close, Chadminster. Pani Holding, panna Holding, panna Audrey Holding, The Manor House, Carranton. Pan i pani Ryesville, Vailey Forge, Pensylwania. Książę Barnstable, Doona Castle, N.Devon... Przekrój warstwy ludzi, którzy zatrzymywali się u „Bertrama”. Tworzyli pewien model...

Kiedy zamykał książkę, wzrok jego przyciągnęło nazwisko na jednej z wcześniejszych kartek. Sir William Ludgrove. Pan sędzia Ludgrove, rozpoznany przez kuratora sądowego w miejscu napadu na bank. Pan sędzia Ludgrove i kanonik Pennyfather — obaj stali goście hotelu „Bertram”...

— Mam nadzieję, że był pan zadowolony z herbaty, sir? — to był Henry, stojący tuż obok. Mówił uprzejmie, tonem troskliwego, dobrego gospodarza.

— Najlepsza herbata, jaką piłem od lat powiedział nadinspektor Davy.

Przypomniał sobie, że nie zapłacił. Spróbował więc zrobić to, ale Henry podniósł rękę, odzegnując się od przyjęcia pieniędzy.

— O nie, sir. Dano mi do zrozumienia, że pańska herbata była na nasz koszt. Polecenie pana Humfriesa.

Henry odszedł. Nadinspektor pozostał w niepewności, czy powinien był dać mu napiwek, czy nie. Irytująca była myśl, że Henry zna odpowiedź na ten towarzyski problem, lepiej niż on sam.

Kiedy szedł ulicą, zatrzymał się nagle. Wyjął notes i zapisał nazwisko i adres — nie było czasu do stracenia. Wszedł do budki telefonicznej. Zamierzał zaryzykować. Postanowił, za wszelką cenę, pójść za intuicją.

# Rozdział szesnasty

Kanonika Pennyfathera zaniepokoiła właśnie szafa, i to zaniepokoiła, zanim obudził się na dobre. Potem zapomniał o tym i poczuł, że zasypia. Ale gdy znowu otworzył oczy, szafa wciąż stała w niewłaściwym miejscu. Leżał na prawym boku, twarzą do okna i szafa powinna znajdować się na lewej ścianie. A była po prawej. Próbował sobie przypomnieć ustawienie mebli w pokoju i myślał o tym tak intensywnie, że poczuł się zmęczony. Bolała go mocno głowa, na dodatek szafa znajdowała się w złym miejscu... Ale po chwili oczy zamknęły mu się jeszcze raz, zapadł w sen.

Kiedy obudził się ponownie, w pokoju było nieco jaśniej. Nie było to jeszcze pełne światło dzienne, zaledwie słaby brzask. „Och — powiedział kanonik Pennyfather do siebie, rozwiązując nagle kwestię szafy. — Jakiż głupiec ze mnie! Oczywiście, nie jestem w domu”.

Poruszył się ostrożnie. Z pewnością to nie jest jego własne łóżko. Widocznie znajduje się poza domem. Jest... Gdzie jest? Ach, naturalnie. Pojechał do Londynu, prawda? Zamieszkał w hotelu „Bertram” i... ale nie, nie był w hotelu. Tam jego łóżko stało przodem do okna. Więc to również się nie zgadzało.

— Boże mój, gdzie ja jestem? — rzekł głośno.

Wtem przypomniał sobie, że jechał do Lucerny. — Rzecz jasna — zganił się sam — jestem w Lucernie. Zaczął myśleć o rozprawie, którą miał czytać na kongresie. Nie myślał długo. Myślenie zdawało się nasilać ból głowy, więc znowu zasnął.

Kiedy się zbudził, rozumował o wiele jaśniej. Nie był w domu, nie był w hotelu „Bertram” i posiadał całkowitą pewność, że nie jest w Lucernie. To wcale nie był pokój hotelowy. Stwierdził to z całym przekonaniem. Leżał w zupełnie obcym pomieszczeniu, bardzo skąpo umeblowanym: szafa, którą wziął za garderobę, krzesło, stół, komoda. To naprawdę wszystko. Przez okno z kwiecistymi zasłonami wpadało światło.

— Wielki Boże — powiedział kanonik — to niesłychanie dziwne. Gdzie ja jestem? — Kiedy usiadł na łóżku, aby to zbadać, głowa rozboleła go znowu tak, że położył się.

— Muszę być chory — zdecydował. — Tak, stanowczo muszę być chory, — Myślał chwilę i wreszcie rzekł do siebie:

— Rzeczywiście, chyba jestem chory. Czyżby grypa? Mówią, że grypa często zaczyna się nagle. Może to przydarzyło się podczas obiadu w Ateneum? Tak, miał rację. Przypomniał sobie, że jadł obiad w Ateneum.

Doszły go echa mchu w domu. Może zabrano go do lecznicy? Ale nie, nie sądził, żeby był w szpitalu. W coraz jaśniejszym świetle pokój okazał się dość podle i skąpo umeblowaną sypialnią. Nadal było słyhać odgłosy jakiejś krzątającej. Ktoś na dole wołał: — Do widzenia, skarbie. Dziś

wieczorem kielbaski z ziemniakami. — Kanonik Pennyfather zastanowił się: kielbaski i ziemniaki. Te słowa miały jakieś przyjemne znaczenie.

— Rozumiem — powiedział do siebie. — Jestem głodny.

Drzwi otwały się. Kobieta w średnim wieku podeszła do okna, rozsunęła zasłony i zwróciła się w stronę łóżka.

— Ach, nareszcie się pan obudził — przywitała go. — I jak się pan czuje?

— Doprawdy — odparł słabym głosem — nie jestem pewien.

— Pewnie. Było z panem zupełnie źle. Doktor stwierdził, że coś pana paskudnie stuknęło. Ci automobiliści! Nawet nie zatrzymał się, kiedy pan upadł.

— Miałem wypadek? — zapytał kanonik. — Wypadek samochodowy?

— Właśnie — odparła kobieta. — Wracając do domu, znaleźliśmy pana na skraju drogi. Najpierw myśleliśmy, że jest pan pijany — zachichotała figlarnie. — Potem mój mąż powiedział, że wolałby sprawdzić. To może być wypadek. Nie czuł zapachu alkoholu. Leżał pan jak kłoda. Więc mój mąż stwierdził: „Nie możemy go tak zostawić” i przeniósł pana do domu. Jasne?

— Ach — powiedział kanonik przytłoczony tymi rewelacjami — dobry Samarytanin.

— A kiedy zobaczył, że jest pan księdzem, doszedł do wniosku, że sprawa jest czysta. Postanowił, że nic zadzwoni na policję, bo jest pan duchownym i mogłoby się to panu nie podobać. To znaczy, gdyby był pan pijany, choć nie pachniało alkoholem. Udało się nam sprowadzić doktora Stokesa, żeby pana zbadał. Nazywamy go wciąż doktorem, chociaż został skreślony z listy lekarzy. Bardzo miły człowiek, mimo że trochę zgorzkniał przez to wszystko. Naprawdę tylko z dobrego serca pomagał wielu dziewczynom, które nic były takie, jak powinny. W każdym razie jest zupełnie dobrym lekarzem. Powiedział, że nie odniósł pan poważniejszych obrażeń, że to tylko wstrząs. Wszystko, co możemy zrobić, to położyć pana płasko i spokojnie, w ciemnym pokoju. „Pamiętajcie — powiedział — nie dawałem orzeczenia. To jest nieoficjalne. Nie mam prawa przepisywać leków, ani nikogo leczyć. Sądzę, że powinniście zgłosić wypadek na policji, ale jeśli nie macie ochoty, nie musicie tego robić. Dajcie biednemu starowinie szansę”, tak powiedział. Niech pan wybaczy, jeśli mówię bez szacunku. Ale on wyraża się zwyczajnie, tak jak my, ten doktor. A teraz, czy zjadłby pan kropelkę zupy albo trochę świeżego chleba z, mlekiem?

— Jedno i drugie — rzekł kanonik — byłoby mile widziane.

Opadł z powrotem na poduszki. Wypadek? A więc to właśnie się zdarzyło! Wypadek, a on nie mógł sobie przypomnieć okoliczności! Kilka minut później zacna kobieta wróciła niosąc tacę z parującą miską.

— Poczuj się pan lepiej po tym. Chciałabym dodać kropelkę whisky albo brandy, ale doktor zakazał.



— Na pewno słusznie rzekł kanonik. — Nie przy wstrząsie. To mogłoby mi zaszkodzić.

— Może jeszcze jedną poduszkę pod plecy, co, kotku? Będzie dobrze?

Kanonik Pennyfather był nieco zaskoczony faktem, że zwrócono się do niego per „kotku”. Uznał to za miłe.

— Hooops — powiedziała kobieta. — Zrobione.

— No dobrze, ale gdzie ja jestem? To znaczy, gdzie znajduje się ten dom?

— Milton St. John — odparła kobieta. — Nie wie ksiądz?

— Milton St. John — powtórzył, potrząsając głową.

— Nigdy przedtem nie słyszałem tej nazwy.

— No cóż, to nie jest duża miejscowość, tylko wieś.

— Pani jest bardzo miła — oświadczył kanonik.

— Czy mogę spytać panią o nazwisko?

— Pani Whecling. Emilia Wheeling.

— Jest pani nadzwyczaj miła — powtórzył kanonik.

— A teraz, wróćmy do wypadku. Po prostu nie mogę sobie przypomnieć...

— Proszę na razie tym się nie trapić; kiedy poczuje się ksiądz lepiej, przyjdzie kolej i na to.

— Miton St. John — powiedział do siebie kanonik ze zdziwieniem. — Nazwa nic mi nie mówi. Cóż za niezwykła historia!

# Rozdział siedemnasty

Sir Ronald Graves narysował na swoim bibułami kota. Popatrzył na wielką, tęgą postać siedzącego naprzeciw nadinspektora Davy'ego i dorysował buldoga.

— Ladislaus Malinowski? — powiedział. — To możliwe. Są jakieś dowody?

— Nie. Ale pasowałby do układanki, prawda?

— Szaleniec. Pozbawiony nerwów. Zdobył mistrzostwo świata. Fatalna kraksa, chyba przed rokiem. Zła reputacja, jeśli chodzi o kobiety. Źródła dochodów wątpliwe. Wydaje pieniądze lekką ręką, tutaj i za granicą. Wciąż jeździ na kontynent. Uważasz, że to on stoi za organizacją tych wielkich napadów i rabunków?

— Nie sądzę, żeby on właśnie był autorem planów. Myślę jednak, że tkwi w tym.

— Dlaczego?

— Z jednego powodu. Jeździ wozem mercedes otto. Model wyścigowy. Samochód odpowiada opisowi widzianego koło Bedhampton rano, w dniu napadu na pociąg. Inne tablice rejestracyjne, ale do tego przywykliśmy. To stary numer — samochód różniący się, ale nie zanadto. FAN 2299 zamiast 2266. Nie ma w kraju wielu mercedesów otto tego typu. Jeden ma lady Sedgwick, a drugi młody lord Merrivale.

— I nie uważasz, że to Malinowski stoi na czele gangu?

— Nie. Jestem zdania, że tam na górze są lepsze mózgi niż jego, niemniej bierze w tym udział. Przeglądałem stare akta. Weźmy napad na Midland i West London. Zdarzyło się — po prostu zdarzyło się, że trzy wozy zablokowały ulicę. Mercedes otto, który znajdował się w pobliżu miejsca napadu, umknął dzięki temu korkowi.

— Został zatrzymany później.

— Tak. I przyjęto jego wyjaśnienia. Zwłaszcza, że zeznający ludzie nie byli pewni numeru: podawali FAM 3366, a numer Malinowskiego jest 2266 — wciąż ta sama historia.

— I obstajesz przy łączeniu tej sprawy z hotelem „Bertram”? Wygrzebali dla ciebie trochę materiałów na temat tego hotelu.

Tata poklepał się po kieszeni.

— Mam je tutaj. Prawidłowo zarejestrowana spółka. Bilans, kapitały, dyrektorzy itd. To nic nie znaczy. Te wszystkie finansowe imprezy są takie same, po prostu mnóstwo żmij, pożerających się wzajemnie. Spółki i trusty przyprawiają człowieka o zawrót głowy!

— Idźmy dalej, Tata. Mają dojście do City. Czy to coś wspólnego z podatkami...

— Mam zamiar naciągnąć cię. Gdybyś dał mi liścik, spotkałbym się z pewną grubszą forszą.

Zastępca komisarza spojrzał zdziwiony:

— Co właściwie rozumiesz przez grubszą forszę? Tata wymienił nazwisko.

Sir Ronald wydawał się stropiony.

— Nie wiem nic o tym. Trudno sobie wyobrazić, że moglibyśmy zwrócić się do niego.

— To by nam bardzo pomogło.

Nastąpiła chwila milczenia. Obaj mężczyźni patrzyli na siebie. Tata ciężki, łagodny, cierpliwy. Sir Ronald uległ.

— Jesteś uparty, stary piekielnik, Fred — powiedział. — Masz swoje sposoby. Idź niepokoić największy mózg międzynarodowej finansjery Europy.

— On będzie wiedział — rzekł nadinspektor Davy. — Będzie wiedział. A jeżeli nie, wystarczy, żeby nacisnął guzik na biurku albo zatelefonował.

— Nie wiem, czy będzie zadowolony.

— Prawdopodobnie nie — odparł Tata — ale to nie zabierze mu dużo czasu. Muszę jednak mieć za sobą twoje poparcie.

— Naprawdę myślisz poważnie o tym hotelu? Ale do czego chcesz dojść? Jest dobrze prowadzony, ma szacowną klientelę, żadnych kłopotów z licencją.

— Wiem, wiem. Nie ma pijaństwa, narkotyków ani hazardu, czy kontaktów z kryminalistami. Nie bywają tam bitnicy, bandyci, młodociani przestępcy. Wyłącznie wiktoriańsko-edwardiańskie stare damy, ziemiańskie rodziny, przyjezdni z Bostonu i co bardziej nobliwych okolic USA. Niemniej widziano, jak czcigodny kanonik opuszcza hotel o trzeciej nad ranem w nieco tajemniczy sposób...

— Kto to widział?

— Pewna stara dama.

— Jak zdołała go zobaczyć? Czemu nie była w łóżku i nie spała?

— Stare damy są już takie.

— Czy nie mówisz o — jak on się nazywa? — o kanoniku Pennyfatherze?

— Tak jest. Zgłoszono jego zniknięcie i Campbell rozpracowuje tę sprawę.

— Dziwna zbieżność; jego nazwisko wypłynęło nagle w związku z napadem na pociąg w Bedhampton.

— Czyżby? W jaki sposób?

— Inna stara dama, albo przynajmniej w średnim wieku. Gdy pociąg zatrzymał się pod fałszywym sygnałem, wiele osób obudziło się i wyrzało na korytarz. Ta kobieta, która mieszka w Chadminster i zna kanonika z widzenia, twierdzi, że widziała go wchodzącego do pociągu. Myślała, że wysiadł zobaczyć co się dzieje i wracał. Prześledziliśmy to, ponieważ doniesiono o jego zaginięciu.

— Zaraz — pociąg został zatrzymany o 5.30. Kanonik opuścił hotel niedługo po 3.00. Tak, to dałoby się zrobić. Gdyby został tam zawieszony — powiedzmy — wyścigowym samochodem...

— Więc wracamy znowu do Malinowskiego?

Sir Ronald spojrzął na swoje bazgroły: — Co za buldog z ciebie, Fred.

Pół godziny później nadinspektor Davy wchodził do cichego i raczej skromnego biura.

Wielki mężczyzna siedzący za biurkiem podniósł się i wyciągnął rękę.

— Nadinspektor Davy? Proszę siadać. Może cygaro? Nadinspektor potrząsnął głową.

— Muszę przeprosić — powiedział swoim głębokim głosem farmera — że zajmuję pański cenny czas.

Pan Robinson uśmiechnął się. Był to tęgi, bardzo dobrze ubrany mężczyzna. Miał żółtawą twarz, ciemne, smutne oczy i duże, szerokie usta. Uśmiechał się często, prezentując ogromne zęby.

— Wolałbym z tobą jadać — pomyślał Davy, zgoła niestosownie. Angielski owego pogodnego gentlemana był doskonały, bez jakiegokolwiek akcentu, ale on sarn nie był Anglikiem. Tata był ciekaw, ile osób interesowało się, jakiej naprawdę narodowości jest pan Robinson.

— Cóż więc mogę zrobić dla pana?

— Chciałbym wiedzieć — rzekł Tata — czyją własnością jest hotel „Bertram”.

Wyraz twarzy Robinsona nie zmienił się. Usłyszawszy nazwę hotelu nie okazał zdziwienia, ani oznak, że jest mu znana. Powiedział w zamyśleniu:

— Chciałby pan wiedzieć, czyją własnością jest hotel „Bertram”. Myślę, że to ten na Pond Street, w bok od Picadilly?

— Właśnie ten.

— Od czasu do czasu sam się tam zatrzymywałem. Spokojny lokal. Dobrze prowadzony.

— Tak — rzekł Tata. — Bardzo dobrze prowadzony.

— I pan chce wiedzieć, kto jest właścicielem? Na pewno łatwo to sprawdzić?

W jego uśmiechu była lekka ironia.

— Zwykłymi kanałami? O tak. — Tata wyjął z kieszeni mały kawałek papieru i przeczytał trzy czy cztery nazwiska i adresy.

— Widzę — powiedział Robinson — że ktoś zadał sobie masę trudu. Interesujące. I pan przychodzi z tym do mnie?

— Jeżeli ktokolwiek zna prawdę, to pan, z pewnością.

— W tej chwili nie wiem. Ale mam sposoby uzyskania informacji. Ma się — wzruszył tłustymi ramionami — ma się kontakty.

— Tak, sir — rzekł nadinspektor z nieporuszoną twarzą.

Robinson popatrzył na niego, potem podniósł słuchawkę telefonu stojącego na biurku.

— Sonia? Połącz mnie z Carlosem. — Czekał moment, potem powiedział znowu: — Carlos? — rzucił szybko pół tuzina zdań w obcym języku, którego Davy nie mógł rozpoznać.

Nadinspektor władał dobrze francuskim. Powierzchnownie znał włoski, rozumiał prosty język podróżujących Niemców. Znał brzmienie hiszpańskiego, rosyjskiego i arabskiego, choć ich nie rozumiał. Ten język nie był żadnym z nich. Nieśmiało zaryzykował przypuszczenie, że mógł to być turecki, perski albo armeński, ale nawet tego nie był żadną miarą pewny. Pan Robinson odłożył słuchawkę.

— Myślę, że nie będziemy musieli długo czekać. Wie pan, sam jestem zainteresowany. Nawet bardzo. Od czasu do czasu chciałem się dowiedzieć...

Tata spojrzał pytająco.

— ... o hotel „Bertram” — ciągnął Robinson.

— O jego finanse. Ciekawe, jak to się może opłacać. Nigdy nie zajmowałem się takimi interesami. Komfortowy hotel z niezwykle sprawnym personelem ceni się wysoko... Tak, jestem ciekaw. — Spojrzał na Tatę.

— Wie pan, dlaczego?

— Jeszcze nie, ale domyślam się.

— Jest kilka możliwości — powiedział Robinson w zamyśleniu. — Tak jak w muzyce. W oktawie jest tylko osiem nut, ale jeśli zacznie się je kojarzyć, można uzyskać kilka milionów kombinacji.

Pewien muzyk mówił mi kiedyś, że nie dobywa się dwukrotnie tego samego tonu. Niezwykle zajmujące.

Rozległ się cichy brzęczyk i Robinson podniósł słuchawkę.

— Tak? Owszem, byłeś bardzo szybki. Jestem zadowolony. Wiem. Ach! Amsterdam, tak... Aha...  
Dziękuję... Tak. Przeliterujesz to? Dobrze.

Zapisał coś szybko na leżącym obok bloku listowym.

— Mam nadzieję, że przyda się to panu — powiedział wyrywając kartkę i podając ją przez biurko Davy'emu, który odczytał głośno nazwisko „Wilhelm Hoffman”.

— Szwajcar — poinformował Robinson. — Chociaż nie, raczej urodzony w Szwajcarii. Ma spore wpływy w kołach bankowych, a choć trzyma się ściśle prawa, ma na koncie dużo wątpliwych interesów. Działa wyłącznie na kontynencie, nie w Anglii.

— Ach tak?

— Ale ma brata — dodał Robinson. — Robert Hoffman, żonaty z Holenderką. Mieszka w Londynie. Handluje diamentami; bardzo szacowna firma. Posiada też biura w Amsterdamie. Pańscy ludzie mogą wiedzieć coś o nim. Jak powiedziałem, zajmuje się głównie diamentami, ale jest bardzo bogatym człowiekiem, właścicielem wielu nieruchomości, zwykle na cudze nazwisko. On i jego brat są prawdziwymi właścicielami hotelu „Bertram”.

— Dziękuję panu — nadinspektor Davy wstał. — Nie potrafię powiedzieć, jak bardzo jestem panu zobowiązany. To było fantastyczne — dodał, pozwalając sobie na wykazanie większego niż zwykle entuzjazmu.

— To, że mogłem pana poinformować? — zapytał pan Robinson, prezentując jeden ze swoich szerokich uśmiechów — Ależ to moja specjalność. Informacja. Lubię wiedzieć. Dlatego przyszedł pan do mnie, prawda?

— Cóż — odparł nadinspektor Davy. — Znamy pana dobrze. Ministerstwo Spraw Wewnętrznych, kontrwywiad i cała reszta. Musiałem zużyć trochę energii, żeby dotrzeć do pana — dodał dosyć prostodusznie.

Pan Robinson uśmiechnął się jeszcze raz.

— Myślę, że jest pan bardzo ciekawą indywidualnością, nadinspektorze — powiedział. — Życzę panu sukcesu, cokolwiek pan przedsięwzięmie.

— Dziękuję panu. Sądzę, że będę potrzebował dobrych życzeń. Nawiasem mówiąc, czy określiłby pan tych braci jako ludzi gwałtownych w działaniu?

— Na pewno nie — odrzekł pan Robinson. — To byłoby wbrew ich polityce. Bracia Hoffmanowie nie stosują przemocy w interesach. W każdym razie tak mi mówią moi informatorzy ze

szwajcarskich kół bankowych.

— Pożyteczne miejsce, Szwajcaria — zauważył nadinspektor.

— Tak, istotnie. Nie wiem, co zrobilibyśmy bez niej. Tak, my ludzie interesu musimy być bardzo wdzięczni temu krajowi. Ja osobiście — dodał — mam także wysokie mniemanie o Amsterdamie.

Spojrzał poważnie na Davy'ego, potem uśmiechnął się znowu i nadinspektor wyszedł.

Gdy wrócił do biura, zastał czekającą na niego notatkę: „Kanonik Pennyfather odnalazł się — cały, choć niezupełnie zdrowy. Został rzekomo potrącony przez samochód i miał wstrząs mózgu”.

# Rozdział osiemnasty

Kanonik Pennyfather patrzył na nadinspektora Davy'ego, a Davy i inspektor Campbell patrzyli na kanonika. Ksiądz był znowu w domu. Siedział w wielkim fotelu w swojej bibliotece, z poduszką pod plecami, z nogami opartymi na pufie i z pledem na kolanach, podkreślającym jego status inwalidy.

— Przykro mi — mówił grzecznie — że po prostu nie mogę sobie nic przypomnieć.

— Nie przypomina sobie wasza wielbność momentu uderzenia przez samochód?

— Jest mi naprawdę przykro, ale nie.

— Zatem skąd ksiądz wie, że to był samochód? — zapytał bystro inspektor Campbell.

— Ta kobieta, pani... pani... czy ona nazywała się Wheeling? — powiedziała mi o tym.

— A skąd ona wiedziała?

Kanonik Pennyfather wydawał się zdziwiony.

— Och, ma pan rację. Nie mogła wiedzieć, prawda? Przypuszczalnie domyślała się tylko, że lak się stało.

— I naprawdę nie pamięta ksiądz, skąd się wziął w tym Milton St. John?

— Nie mam pojęcia — odparł kanonik. — Nawet nazwa jest mi całkowicie obca.

Irytacja Campbella wzrastała, ale nadinspektor Davy powiedział uspokajającym, dobrotliwym tonem:

— Więc proszę nam wymienić ostatnią rzecz, jaką ksiądz pamięta.

Kanonik zwrócił się do niego z ulgą. Oschły sceptycyzm Campbella wydawał mu się nieprzyjemny.

— Jechałem do Lucerny na kongres. Wziąłem taksówkę na lotnisko, w każdym razie do Kensington.

— Tak. A potem?

— To wszystko. Nie mogę sobie przypomnieć nic więcej. Następną rzeczą, jaką pamiętam, jest szafa.

— Jaka szafa? — spytał inspektor Campbell.



— Stała w niewłaściwym miejscu.

Campbell miał zamiar iść za wątkiem szafy w złym miejscu. Davy przeciął to.

— Czy pamięta ksiądz moment przybycia na lotnisko?

— Chyba tak — powiedział kanonik, jak ktoś, kto ma jednak sporo wątpliwości.

— I odleciał ksiądz do Lucerny punktualnie?

— Tak? Nic pamiętam, jeśli tak było.

— Przypomina sobie ksiądz powrót do hotelu lej nocy?

— Nie.

— A pamięta ksiądz hotel „Bertram”?

— Oczywiście. Mieszkałem tam. Bardzo wygodnie. Zatrzymałem swój pokój.

— A podróż pociągiem?

— Pociągiem? Nie mogę sobie przypomnieć pociągu.

— Zdarzył się tam napad. Pociąg został obrabowany. To z pewnością może ksiądz pamiętać.

— Naprawdę powinienem? — spytał kanonik przepaszająco. — Jakoś nie pamiętam. — Spoglądał to na jednego, to na drugiego oficera z dobrotliwym, grzecznym uśmiechem.

— Więc pańska wersja brzmi, że nie pamięta pan niczego od wyjścia z taksówki na lotnisko aż do obudzenia się w domu Wheelingów w Milton Sl. John?

— Nie ma w tym nic niezwykłego — zapewnił kanonik. — To zdarza się dosyć często w przypadkach wstrząsu mózgu.

— Jakie były pańskie przypuszczenia na temat znalezienia się w obcym domu, kiedy się ksiądz obudził?

— Głowa bolała mnie tak przeraźliwie, że nie mogłem w ogóle myśleć. Potem, oczywiście, byłem ciekaw, gdzie jestem i pani Wheeling wyjaśniła mi to i przyniosła trochę wspaniałej zupy. Mówiła do mnie „kochanie”, „kotku” i „złotko” — powiedział kanonik z lekkim niesmakiem — ale była bardzo miła. Bardzo miła, doprawdy.

— Powinna była zgłosić wypadek na policji. Wtedy zostałby ksiądz zabrany do szpitala i odpowiednio pielęgnowany — rzekł Campbell.

— Ona doglądała mnie bardzo dobrze — zaprotestował energicznie kanonik. — Wiem, że ze

wstrząsem niewiele można zrobić, poza zapewnieniem pacjentowi spokoju.

— Gdyby mógł sobie ksiądz przypomnieć coś więcej...

Kanonik przerwał mu.

— Wydaje mi się, że zgubiłem z życia całe cztery dni — powiedział. — Bardzo dziwne. Naprawdę bardzo dziwne. Jestem ogromnie ciekaw, gdzie byłem i co robiłem. Doktor mówił, że wszystko może mi się przypomnieć. Z drugiej strony, pamięć może nie wrócić. Możliwe, że nigdy nie dowiem się, co się zdarzyło podczas tych dni. — Jego powieki zatrzepotały. — Panowie wybaczą, ale jestem zmęczony.

— Dosyć już tego — oznajmiła pani Mc Crae, kręcąca się przy drzwiach, gotowa wkroczyć w razie konieczności. Natarła energicznie: — Doktor powiada, że nic należy go niepokoić.

Detektywi podnieśli się i ruszyli do drzwi. Pani Mc Crae pilotowała ich do hallu, niczym wiemy owczarek.

Kanonik mruknął coś i nadinspektor Davy, który wychodził ostatni, obejrzał się jeszcze.

— Co to było? — zapytał, ale oczy kanonika były znów zamknięte.

— Jak się panu wydaje, co on powiedział? — zapytał Campbell, kiedy wyszli, odmówiwszy przyjęcia poczęstunku proponowanego dość ozięble przez panią Mc Crae.

Tata odrzekł w zamyśleniu:

— Zdawało mi się, że powiedział „mury Jerycha”.

— Co mógł mieć na myśli?

— Brzmi to biblijnie.

— Sądzi pan, że dowiemy się kiedykolwiek, w jaki sposób ten facet dostał się z Cromwell Road do Million St. John?

— Nie wydaje się, żeby mógł nam wiele pomóc — zgodził się nadinspektor.

— Ta kobieta, która twierdzi, że widziała go w pociągu, po napadzie. Czy może mieć rację? Czyżby był jakoś wmieszany w te rabunki? To chyba niemożliwe. Taki z gruntu uczciwy starszy pan. Nie wypada podejrzewać kanonika katedry w Chadminster, że ma coś wspólnego z napadem na pociąg, prawda?

— Nie — odparł Tata zamyślony. — Podobnie jak wyobrazić sobie sędziwego Ludgrave wmieszanego w rabunek banku.

Inspektor Campbell popatrzył na swego przełożonego z zaciekawieniem.

Wyprawę do Chadminster zakończył krótki i bezowocny wywiad z doktorem Stokesem w niedalekim Million St. John. Stokes był agresywny, niechętny i szorstki.

— Znam Wheelingów dość długo. Są, nawiasem mówiąc, moimi sąsiadami. Znaleźli tego starego przy drodze. Nie wiedzieli, czy jest pijany w trupa, czy chory. Prosili, abym rzucił okiem na niego. Powiedziałem im, że nie jest pijany, i że to wstrząs.

— I leczył go pan.

— Wcale nie. Nie leczyłem go, nie przepisywałem leków, ani nie opiekowałem się nim. Nie jestem lekarzem. Kiedyś byłem, ale już nie jestem, więc powiedziałem, że powinni zadzwonić na policję. Czy to zrobili, czy nie — nie wiem. Nie mój interes. Oboje są dosyć prymitywni, ale to zaci ludzie.

— Nie pomyślał pan, żeby zadzwonić samemu?

— Nie. Nie jestem lekarzem. To nie miało ze mną nic wspólnego. Jako człowiek powiedziałem im, żeby nie wlewali mu w gardło whisky i zostawili w spokoju, leżącego płasko, aż przyjdzie policja.

Spojrzał na nich wyzywająco, więc, choć niechętnie, opuścili dom byłego lekarza.

# Rozdział dziewiętnasty

Pan Hoffman był barczystym, solidnie wyglądającym mężczyzną. Sprawiał wrażenie, jakby został wyrzeźbiony z drewna, najpewniej lękowego.

Jego twarz była tak pozbawiona wyrazu, że wzbudzała podejrzenie, czy posiadacz jest zdolny do myślenia lub odczuwania emocji. Wydawało się to niemożliwe.

Maniery miał jednak nienaganne. Wstał, podszedł i wyciągnął podobną do klina dłoń:

— Nadinspektor Davy? Minęło już parę lat, od kiedy miałem przyjemność... Może pan nawet nie pamięta...

— O tak, pamiętam. Sprawa diamentu Aaronberga. Był pan świadkiem oskarżenia — muszę powiedzieć, wysmienitym świadkiem. Obrona nie była w stanie podważyć pana zeznań.

— Nie jest to łatwe — rzekł poważnie pan Hoffman. Istotnie, nie wyglądał na człowieka, którego można by bez trudu zbić z tropu.

— Co mogę zrobić dla pana? — zapytał. — Mam nadzieję, że to nie kłopoty. Zawsze chciałem żyć w zgodzie z policją. Mam najwyższy podziw dla waszego znakomitego aparatu śledczego.

— Och! To nie są kłopoty. Chciałem tylko, aby potwierdził pan małą informację.

— Będę uszczęśliwiony, jeśli zdołam pomóc panu w jakiś sposób. Jak powiadam, mam najlepszą opinię o waszej londyńskiej policji. Macie wspaniałych ludzi. Uczciwi, rzetelni, sprawiedliwi.

— Wprawia mnie pan w zakłopotanie.

— Jestem na pańskie usługi. Co chce pan wiedzieć?

— Zamierzam prosić pana o kilka drobnych informacji o hotelu „Bertram”.

Wyraz twarzy Hoffmana nie zmienił się. Może cały na moment zeszywniał, to wszystko.

— Hotel „Bertram”? — ton pytania wydawał się lekko zaintrygowany. Mogło wydawać się, że nigdy nie słyszał tej nazwy, albo nie mógł sobie przypomnieć, czy zna hotel „Bertram”, czy nie.

— Ma pan z nimi kontakty, prawda?

Pan Hoffman wzruszył ramionami.

— Mam tyle interesów — zauważył. — Nie można pamiętać o wszystkich. Masę interesów — powtórzył — dlatego jestem bardzo zajęty.

— Wiem, że trzyma pan rękę na wielu sprawach.

— Tak — Hoffman uśmiechnął się sztywno. — Jem z wielu złobów; to miał pan na myśli? I jest pan przekonany, że mam stosunki z tym... hotelem „Bertram”.

— Nie powiedziałbym, że „stosunki”. Ściśle mówiąc, jest pan jego właścicielem, prawda? — zapytał Tata dobrodusznie.

Tym razem Hoffman wyraźnie zeszywniał.

— Ciekaw jestem, któż to panu powiedział? — zapytał łagodnie.

— Ale to prawda, co? — odparł nadinspektor Davy jowialnie. — Bardzo przyjemnie posiadać taki lokal. Naprawdę musi pan być z tego dumny.

— O tak — odparł Hoffman. — Przez moment nie mogłem sobie przypomnieć. Widzi pan — zaśmiał się jakoś nienaturalnie — jestem właścicielem wielu nieruchomości w Londynie. To dobra lokata. Jeżeli coś pojawia się na rynku na dobrych warunkach i jest szansa tanio to złapać, inwestuję.

— A hotel „Bertram” był tani?

— Jako przedsiębiorstwo podupadł znacznie — oświadczył pan Hoffman, potrząsając głową. — No, teraz stanął na nogi. Byłem tam właśnie onegdaj. Tamtejsza atmosfera zrobiła na mnie wrażenie. Miła, staroświecka klientela, wygodne, staromodne wnętrze, nic krzykliwego, wiele luksusu bez blichtru.

— Osobiście wiem o nim bardzo mało — wyjaśnił pan Hoffman. — To tylko jedna z moich inwestycji, wierzę, że funkcjonująca dobrze.

— Zdaje się, że ma pan tam świetnego faceta do prowadzenia interesu. Jak on się nazywa? Humfries? Tak, Humfries.

— Wspaniały człowiek — stwierdził pan Hoffman.

— Zostawiam mu wolną rękę. Widzę po zestawieniu finansowym raz w roku, że wszystko jest w porządku.

— Zatrzymuje się tam mnóstwo utytułowanych osób — powiedział Tata. — A także bogatych Amerykanów.

— Potrząsnął głową w zamyśleniu. — Zdumiewająca kombinacja.

— Powiada pan, że był pan tam kiedyś? — dopytywał się Hoffman. — Mam nadzieję, że nieoficjalnie?

— Nic poważnego. Próbuję wyjaśnić małą tajemnicę.

— Tajemnicę? W hotelu „Bertram”?

— Tak się zdaje. Można by ją nazwać Sprawą Zniknięcia Duchownego.

— To żart — powiedział Hoffman. — Język waszego Sherlocka Holmesa.

— Ten ksiądz wyszedł stamtąd pewnego wieczoru i więcej go nie widziano.

— Dziwne — rzekł Hoffman. — Takie rzeczy jednak zdarzają się. Pamiętam wiele, wiele lat temu ogromną sensację. Pułkownik — zaraz przypomnę sobie nazwisko — pułkownik Ferguson, zdaje się, jeden z koniuszych królowej Mary. Wyszedł którejs nocy ze swojego klubu i również nigdy go nie ujrzano.

— Oczywiście — rzekł Tata z westchnieniem — dużo takich zniknięć jest dobrowolnych.

— Pan wie na ten temat więcej niż ja, drogi nadinspektorze. Mam nadzieję, że w hotelu „Bertram” udzielono panu wszelkiej pomocy.

— Nie mogli być miłsi — zapewnił Tata. — Ta panna Gorringe jest już u pana jakiś czas, jak mi się zdaje?

— Możliwe. Naprawdę wiem bardzo mało o tych sprawach. Nie interesuję się tym osobiście, rozumie pan. W rzeczywistości — uśmiechnął się rozbrajająco — byłem zdziwiony, że pan wie, iż hotel należy do mnie.

To nie było jeszcze to pytanie, które mogło paść ze strony nadinspektora, ale znowu w oczach rekina biznesu pojawił się lekki niepokój. Tata nie okazał swoich uczuć, ale zanotował to w pamięci.

— Rozgałęzienia prowadzące do City są podobne do gigantycznej układanki — powiedział. — Pękłaby mi głowa, gdybym musiał mieć z tym do czynienia. Zrozumiałem, że towarzystwo Mayfair Holding Trust, czy jak tam, jest zarejestrowane jako właściciel. Ono znowu należy do innego towarzystwa i tak dalej, i tak dalej. Sedno sprawy leży w tym, że Trust należy do pana. Proste. Mam rację?

— Ja i moi współdyrektorzy tkwimy w tym, jakby pan to określił — zgodził się dość niechętnie pan Hoffman.

— Pańscy współdyrektorzy. A kto to taki? Pan i jak sędzę, pański brat?

— Mój brat William towarzyszy mi w tym przedsięwzięciu. Musi pan zrozumieć, że „Bertram” jest tylko ogniwem w łańcuchu różnych hoteli, biur, klubów i innych londyńskich nieruchomości.

— Żadnych innych dyrektorów?

— Lord Pomfret, Abel Isaacstein — głos Hoffmana stał się nagle ostry. — Czy doprawdy musi pan znać te wszystkie szczegóły tylko dlatego, że bada pan Sprawę Zniknięcia Duchownego?

Tata potrząsał głową i spojrział przeproszająco.

— Sądzę, że to zwyczajna ciekawość. Zajmując się zniknięciem kanonika, trafiłem do „Bertrama”, a potem, cóż, zainteresowałem się nim, jak każdym ogniwem w dochodzeniu, jeśli rozumie pan, co mam na myśli. Jedna sprawa prowadzi do drugiej.

— Tak, potrafię to pojąć, I co? — uśmiechnął się. — Ciekawość pańska została zaspokojona?

— Nic lepszego, jak przyjść do samej głowy, kiedy pragnie się informacji — powiedział wesoło Tata. Podniósł się. — Jest jeszcze tylko jedna rzecz, którą naprawdę chciałbym wiedzieć i nie sądę, że mi pan to powie.

— Słucham? — głos Hoffmana był czujny.

— Skąd „Bertram” wytrzasnął tę podporę swego personelu? Cudowny! Ten facet, jak mu tam — Henry! Wygląda na arcyksięcia czy arcybiskupa, nie jestem pewien, na którego bardziej. W każdym razie podaje herbatę i maślane bułeczki — najwspanialsze maślane bułeczki. Niezapomniane przeżycie.....

— Pewnie lubi pan bardzo maślane bułeczki, co? — oczy Hoffmana spoczęły na moment z dezaprobatą na zaokrąglonej sylwetce Taty.

— Chyba można to zauważyć — odparł Tata. — No, nie będę panu zabierał czasu. Zapewne jest pan bardzo zajęty przyjmowaniem ofert, albo czymś takim.

— Bawi pana udawanie ignorancji w tych sprawach. Nie, nie jestem zajęty. Nie pozwalam, aby interesy absorbowwały mnie nadmiernie. Moje upodobania są proste. Żyję skromnie, wolny czas poświęcam hodowli róż i mojej rodzinie, do której jestem bardzo przywiązany.

— Brzmi to nieźle — zauważył Tata. — Chciałbym żyć w podobny sposób.

Pan Hoffman uśmiechnął się i podniósł się ociężale, aby uścisnąć dłoń nadinspektora.

— Mam nadzieję, że znajdzie pan swego zaginionego księdza już wkrótce.

— Och, ta sprawa jest załatwiona. Przykro mi, że nie wyjaśniłem panu tego. Znalazł się. Nieciekawa historia. Potracił go samochód, w wyniku czego doznał wstrząsu mózgu. Nic specjalnego.

Davy skierował się ku drzwiom, wtem odwrócił się i zapytał:

— Przy okazji, czy lady Sedgwick jest jednym z dyrektorów waszej spółki?

— Lady Sedgwick? — Hoffman zawahał się moment. — Nie. Czemu miałyby być?

— Cóż, po prostu słyszy się różne rzeczy... Jest tylko akcjonariuszką?

— Ja... Tak.

— No, do widzenia. Dziękuję panu bardzo. Wróciwszy do Yardu, poszedł prosto do zastępcy komisarza.

— Hotel „Bertram” finansują bracia Hoffmanowie.

— Co? Ci łajdacy? — spytał sir Ronald.

— Tak.

— Trzymali to w głębokiej tajemnicy.

— Istotnie. I Robertowi Hoffmanowi nie podobało się ani trochę, że to odkryliśmy.

— Co powiedział?

— Rozmawialiśmy bardzo formalnie i uprzejmie. Próbował niezbyt nachalnie dowiedzieć się, jak zdobyłem tę wiadomość.

— A ty, jak sądzę, nie sprawiłeś mu przyjemności tą informacją?

— Na pewno nie.

— Jak wytłumaczyłeś swoją wizytę?

— Wcale nie wytłumaczyłem — odparł Tata.

— Czy nie wydało mu się to trochę dziwne?

— Pewnie tak. Uważam, że dobrze to rozegrałem.

— Jeżeli za tym stoją Hoffmanowie, to wiele wyjaśnia. Oni nigdy nie wiążą się z nieuczciwym interesem, o nie! Nie organizują zbrodni, oni ją tylko finansują.

— Wilhelm załatwia w Szwajcarii stronę pieniężną. Zaraz po wojnie był zamieszany w zagraniczne machinacje walutowe — o tym wiemy — ale nic zdołaliśmy mu nic udowodnić. Obaj bracia kontrolują duże sumy i używają ich do krycia różnych przedsięwzięć, częściowo legalnych, częściowo nie. Są jednak ostrożni, znają wszystkie kruczki swego rzemiosła. Handel diamentami Roberta jest dosyć uczciwy, ale daje wiele do myślenia: diamenty, nieruchomości i bankowe interesy, kluby, fundacje kulturalne, przedsiębiorstwa budowlane, restauracje, hotele — wszystko to jest oficjalnie własnością kogoś innego.

— Myślisz, że Hoffman planuje te napady rabunkowe?

— Nie, sądzę, że ci dwaj zajmują się wyłącznie finansami. Tego, który planuje, musisz szukać gdzie indziej. Mamy tutaj do czynienia ze wspaniałym mózgiem.





# Rozdział dwudziesty

# I

Tego wieczoru na Londyn spadła nagle mgła. Nadinspektor postawiwszy kołnierz płaszcza skierował się na Pond Street. Idąc powoli, jak człowiek zamyślony, zdawał się wędrować bez celu, ale ktoś znający go dobrze stwierdziłby, że jego umysł jest w pełnym pogotowiu. Czaił się jak kot, zanim chwyci zdobycz w pazury.

Na Pond Street było dziś spokojnie. Stało tam niewiele samochodów. Mgła, początkowo niemal przejrzysta, zgęstniała. Odgłosy ruchu ulicznego z Park Lane były tak słabe, jak w uliczkach podmiejskich. Większość autobusów zaniechała kursowania. Tylko od czasu do czasu pojedyncze samochody z optymistami za kierownicą sunęły wolno. Nadinspektor Davy skręcił w ślepy zaułek, doszedł do końca i wrócił. Przeszedł się ulicą ponownie, pozornie, bez celu, raz i drugi, ale nie było to bez powodu. Jego koci, łowiecki instynkt kazał mu krążyć wokół jednego, szczególnego budynku, hotelu „Bertram”. Nadinspektor ustalał wnikliwie usytuowanie budynku. Oglądał samochody zaparkowane przy krawężniku i te w ślepym zaułku. Ze szczególną uwagą obejrzał budynki stojące na miejscu dawnych stajni. Zainteresował go zwłaszcza pewien samochód. Wydał wargi i powiedział cicho:

— Więc jesteś tu znowu, mój śliczny. — Sprawdził numer i skinął głową. — Dziś wieczór FAN 2266, co?

— Schylił się i przesunął delikatnie palcami po tablicy rejestracyjnej, potem skinął głową z zadowoleniem.

— Dobra robota — powiedział półgłosem.

Skierował się ku drugiemu końcowi budynku, skręcił dwukrotnie w prawo i wyszedł jeszcze raz na Pond Street, pięćdziesiąt metrów od wejścia do hotelu. Znowu przerwał spacer, podziwiając elegancką linię innego wyścigowego wozu.

— Ty też jesteś śliczny — szepnął nadinspektor. — Twoja tablica rejestracyjna jest taka sama jak tamtego w zaułku. Twój numer jest chyba zawsze ten sam. I to znaczyłoby... — przerwał. — Ale czy naprawdę? — wymamrotał. Spojrzał w górę, na to, co mogłoby być niebem. — Mgła gęstnieje — rzekł do siebie.

Przed drzwiami hotelu stał irlandzki portier, machając dość energicznie rękami, aby się rozgrzać. Nadinspektor pozdrowił go uprzejmie. Portier ukłonił się:

— Dobry wieczór, sir. Paskudna noc.

— Tak. Nie wyobrażam sobie, żeby ktoś, kto nie musi, zechciał wyjść dziś wieczorem.

Wahadłowe drzwi otworzyły się i dama w średnim wieku zatrzymała się niepewnie na schodach.

— Taksówka, *madame*?

— O Boże. Zamierzałam iść piechotą.

— Nie robiłbym lego na pani miejscu, *madame*. Jest okropna mgła. Nawet jazda taksówką nie będzie zbyt łatwa.

— Potrafi pan znaleźć taksówkę?

— Dołożę wszelkich starań. Proszę wrócić do hallu i pozostać w cieple, a ja zawiadomię panią, jeśli mi się uda. — W jego głosie zabrzmiał ton perswazji. — Jeśli pani nie musi, lepiej nie wychodzić dziś wieczór wcale.

— Och, może ma pan rację. Ale kilkoro przyjaciół w Chelsea oczekuje mnie. Nie wiem. Powrót może być trudny. Jak pan myśli?

Michael Gorman zajął się damą troskliwie:

— Gdybym był na pani miejscu, *madame* — powiedział stanowczo — zadzwoniłbym do przyjaciół i odwołał spotkanie. To nic przyjemnego, dla damy takiej jak pani, być poza domem w mglistą noc.

— Tak, rzeczywiście, może ma pan rację — cofnęła się...

— Muszę troszczyć się o nich — wyjaśnił Micky Gorman. — Mogłaby stracić torebkę, wychodząc o tej porze, w mgłę i włócząc się po Chelsea, czy West Kensington, czy gdzie tam miała iść.

— Przypuszczam, że ma pan spore doświadczenie w postępowaniu ze starszymi damami? — spytał Tata.

— A tak, istotnie. Hotel zastępuje im dom, jest błogosławieństwem dla ich postarzałych serc. A co z panem, sir? Czeka pan na taksówkę?

— Nie sędzę, żeby mógł pan złapać jakąś, nawet gdybym potrzebował — rzekł nadinspektor. — Nie widać ich tu wiele. I nie mam im tego za złe.

— Zaraz, mógłbym załatwić jedną dla pana. Tu, za rogiem, pewien taksówkarz parkuje zwykle swoją gablotę; ma ogrzewanie i kropelkę czegoś, co chroni przed zimmem.

— Nie dla mnie taksówka — powiedział Tata z westchnieniem. Wskazał na hotel. — Muszę tam wejść. Mam robotę.

— Naprawdę? Jeszcze w sprawie zaginionego księdza?

— Niezupełnie. Znalazł się.

— Znalazł? — portier wytrzeszczył oczy. — Gdzie się znalazł?

— Błąkał się we wstrząsie po wypadku.

— Ach, tego można się było właśnie spodziewać po nim. Pewnie przechodził przez jezdnię nie rozejrzawszy się.

— To jest myśl — odparł Davy.

Skinął głową i wszedł do hotelu. Tego wieczoru w hallu nie było zbyt wielu ludzi. Zobaczył pannę Marple siedzącą w fotelu przy kominku, a ona zauważyła jego. Nic zrobiła jednak żadnego gestu powitalnego. Podeszedł do recepcji. Panna Gorringe ślęczała, jak zwykle, nad swoimi księgami. Wydawała się lekko zaniepokojona widokiem nadinspektora. Była to bardzo nieznaczna reakcja, ale zanotował ją w pamięci.

— Przypomina mnie sobie pani, panno Gorringe? — zagadnął. — Przyszedłem tu kiedyś.

— Oczywiście, pamiętam pana, nadinspektorze. Czy chciałby się pan dowiedzieć czegoś więcej? Życzy pan sobie widzieć się z panem Humfriesem?

— Nie, nie, dziękuję. Nie myślę, że to konieczne. Chciałbym tylko jeszcze raz rzucić okiem na wasz rejestr, jeśli można.

— Naturalnie — podsunęła mu księgę.

Otworzył ją i powoli przeglądał stronicę. Panna Gorringe mogła przypuszczać, że szuka określonej pozycji. W rzeczywistości nie chodziło o to. Tata posiadał pewną umiejętność, nabytą wcześniej w życiu, którą rozwinął do stopnia najwyższego artyzmu. Potrafił zapamiętywać nazwiska i adresy z fotograficzną dokładnością, i zachowywał je w pamięci 24, a nawet 48 godzin. Potrząsnął głową, zamknął księgę i zwrócił pannie Gorringe.

— Nie było kanonika Pennyfathera? — zapytał lekkim tonem.

— Kanonika Pennyfathera?

— Nie wie pani, że się odnalazł?

— Ależ nie. Nikt mi nie powiedział. Gdzie?

— Gdzieś na prowincji. Wygląda to na wypadek samochodowy. Nie zawiadomiono nas. Jakiś dobry Samarytanin zabrał go i leczył u siebie w domu.

— Och, to świetnie. Naprawdę bardzo się cieszę. Byłam o niego niespokojna.

— Jego przyjaciele również. Właśnie sprawdzałem, czy przypadkiem jeden z nich nie zatrzymał się tutaj. Archidiakon... archidiakon... nie pamiętam nazwiska, ale przypominałbym sobie, gdybym je zobaczył.

— Tomlinson? — zapytała uczynnie panna Gorringe. — Przyjeżdża do nas w następnym tygodniu. Z Salisbury.

— Nie, nie Tomlinson. No, nic ważnego — odszedł od kontuaru.

Ascetycznie wyglądający mężczyzna w średnim wieku studiował źle odbitą pracę, pisząc od czasu do czasu na marginesie komentarze pismem tak drobnym, że wprost nieczytelnym. Uśmiechał się przy tym z cierpką satysfakcją.

Siedziały tam też ze dwie pary małżeńskie o długim stażu, nie odczuwające zbyt dużej potrzeby rozmowy. Od czasu do czasu gromadziły się dwie czy trzy osoby, dyskutując z niepokojem o tym, co by się stało, gdyby oni sami lub ich rodziny, poszli dokądś przy takiej pogodzie.

— Dzwoniłam i błagałam Susan, żeby nie przyjeżdżała samochodem... to znaczy drogą M1, zawsze tak niebezpieczną we mgle.

— Mówią, że w centrum kraju jest jaśniej... Nadinspektor słuchał tego przechodząc. Bez pośpiechu i bez ostentacji zbliżył się do swego celu.

Panna Marple siedząc przy kominku obserwowała jego nadejście.

— A więc jest pani jeszcze tu, panno Marple. To mnie cieszy.

— Wyjeżdżam jutro — odparła.

Można było to wyczuć w jej postawie. Siedziała wyprostowana, napięta, jak pasażer na lotnisku czy dworcu. Był pewien, że jej bagaże zostały spakowane, należało tylko dołożyć koszulę nocną i przybory toaletowe.

— To koniec moich dwutygodniowych wakacji — wyjaśniła.

— Mam nadzieję, że jest pani zadowolona. Panna Marple nie odpowiedziała natychmiast.

— W pewnym sensie tak... — urwała.

— Aż drugiej strony nie?

— Tak trudno wyjaśnić, co mam na myśli...

— Czy nie siedzi pani trochę za blisko ognia? Dosyć gorąco tutaj. Nie chciałaby się pani przenieść? Może do tego kąta?

Panna Marple spojrzała na wskazany kąt, potem na Davy'ego.

— Myślę, że ma pan rację — powiedziała.

Podał jej ramię, zatroszczył się o torebkę i książkę, i usadowił w spokojnym zakątku.

— Dobrze?

— Zupełnie dobrze.

— Czy wie pani, dlaczego zaproponowałem zmianę miejsca?

— Sądził pan, to bardzo miłe z pana strony, że jest mi za gorąco przy ogniu. Poza tym — dodała — tutaj nasza rozmowa nie może być podsłuchana.

— Czy chce mi pani coś powiedzieć?

— Dlaczego pan tak myśli?

— Wyglądała pani, jakby tak było — powiedział Davy.

— Przykro mi, że okazałam to tak wyraźnie — rzekła panna Marple. — Nie sądziłam, że moje zamiary są widoczne.

— No więc, o cóż chodzi?

— Nie wiem, czy powinnam o tym mówić. Chciałabym przekonać pana, że naprawdę nie lubię się wtrącać. Jestem temu przeciwna. Można w ten sposób zrobić wiele krzywdy, mimo dobrych zamiarów.

— To właśnie taka sprawa? Rozumiem. Tak, to problem dla pani.

— Czasem widzimy ludzi, którzy robią coś niemądrego, nawet niebezpiecznego. Ale czy mamy prawo interweniować? Jestem zdania, że z reguły nie.

— Czy mówi pani o kanoniku Pennyfatherze?

— O kanoniku Pennyfatherze? — panna Marple zdziwiła się bardzo. — O nie. To nie ma z nim nic wspólnego. Sprawa dotyczy dziewczyny.

— Dziewczyny? I pani uważa, że mógłbym jej pomóc?

— Nie wiem — odparła. — Po prostu nie wiem. Ale jestem bardzo niespokojna.

Tata nie naciskał. Siedząc łak, wyglądał na zadowolonego i niezbyt mądrego, dużego mężczyznę. Zostawił jej czas do namysłu. Starsza pani robiła, co mogła, aby mu pomóc, więc był przygotowany na rewanz. Może nie był zbyt zainteresowany, ale z drugiej strony, nigdy nic nie wiadomo.

— Czytuje się w gazetach — powiedziała panna Marple — sprawozdania z rozpraw w sądzie; o młodych ludziach, dzieciach, czy dziewczętach „potrzebujących troski i opieki”. To chyba zwrot prawniczy, ale sądzę, że to znaczy coś rzeczywistego.

— Uważa pani, że dziewczyna, o której pani wspomniała, potrzebuje opieki i troski?

— Tak, właśnie tak.

— Jest sama na świecie?

— O nie — odparła panna Marple. — Bardzo nie jest sama, jeśli można się tak wyrazić. Pozornie ma bardzo dobrą opiekę, jest dokładnie strzeżona.

— To brzmi interesująco — zauważył Tata.

— Mieszkała w tym hotelu — ciągnęła panna Marple — z panią Carpenter, zdaje się. Nazywa się Elwira Blake.

Nadinspektor spojrział z nagłym zainteresowaniem.

— To śliczna dziewczyna. Bardzo młoda i, jak mówię, pilnowana i otaczana opieką. Jej opiekunem jest pułkownik Luscombe, bardzo miły pan, wręcz czarujący starszy człowiek. Obawiam się, że jest uosobieniem naiwności.

— Opiekun czy dziewczyna?

— Miałam na myśli opiekuna — wyjaśniła panna Marple. — Nie wiem nic o dziewczynie. Wydaje mi się jednak, że jest w niebezpieczeństwie. Spotkałam ją przypadkowo w Battersea Park. Siedziała w letniej kawiarni z młodym człowiekiem.

— Ach, o to chodzi? — spytał Tata. — Nieodpowiedni chłopak? Bitnik, hochsztapler, bandzior?

— Bardzo przystojny mężczyzna — odparła. — Niezbyt młody. Trzydzieści kilka lat, typ, który bardzo podoba się kobietom, ale ma złą twarz. Jastrzębią, drapieżną, okrutną.

— Może nie jest taki zły, na jakiego wygląda — powiedział Tata uspokajająco.

— Raczej jest gorszy. Jestem o tym przekonana. Prowadzi wielki, wyścigowy samochód.

Tata popatrzył bystro:

— Wyścigowy samochód?

— Tak. Kilka razy widziałam, jak stał w pobliżu tego hotelu.

— Nie zapamiętała pani numeru?

— Oczywiście, że zapamiętałam. FAN 2266. Miałam kuzynkę, która się jąkała — wyjaśniła panna Marple. — Dlatego zapamiętałam.

Davy wydawał się zaintrygowany.

— Pan wie, kim on jest? — zapytała panna Marple.

— Prawdę mówiąc, wiem — odrzekł Tata wolno.



— Pół Francuz, pół Polak. Znany rajdowiec, był mistrzem świata przed trzema laty. Nazywa się Ladislaus Malinowski. Ma pani zupełną rację. Cieszy się złą reputacją, jeśli chodzi o kobiety. Można powiedzieć, że nie jest właściwym przyjacielem dla młodej dziewczyny. Jednak niełatwo zrobić coś w takiej sprawie. Pewnie spotyka się z nim w tajemnicy?

— Jestem przeświadczona.

— Czy zwracała się pani do jej opiekuna?

— Nie znam go — odparła panna Marple. — Zostaliśmy tylko przedstawieni sobie przez wspólną przyjaciółkę. Nie podoba mi się pomysł pójścia do niego z plotkami. Ciekawa jestem, czy mógłby pan tu coś zaradzić?

— Mogę spróbować — obiecał Tata. — Przy okazji, pewnie chciałyby pani dowiedzieć się, że pani przyjaciel, kanonik Pennyfather, odnalazł się cały i zdrowy.

— Doprawdy? — ożywiła się panna Marple.

— Gdzie?

— W miejscowości Milton St. John.

— To bardzo dziwne. Co tam robił? Czy wie?

— Najwyraźniej — nadinspektor położył nacisk na to słowo — miał wypadek.

— Jaki wypadek?

— Potracony przez samochód, doznał wstrząsu mózgu, ale mógł też oczywiście dostać po głowie.

— Rozumiem — panna Marple rozważyła ten szczegół. — On sam nie wie?

— Mówi — nadinspektor znowu podkreślił to słowo — że nic nie wie.

— Interesujące.

— Prawda? Ostatnia rzecz, jaką pamięta, to jazda taksówką na lotnisko Kensington.

Panna Marple potrząsnęła głową z zakłopotaniem.

— Wiem, że to się zdarza w przypadkach wstrząsu — mruknęła. — Nie powiedział niczego, co mogłoby się przydać?

— Mamrotał coś o murach Jerycha.

— Jozue? — zaryzykowała panna Marple. — Albo prace wykopaliskowe? Pamiętam też, dawno temu, sztukę, chyba pana Sutro.

— I grane przez cały tydzień w kinach, na północ od Tamizy, *Mury Jerycha* z Olgą Radbourne i Bartem Levinne — rzekł Tata.

Panna Marple spojrzała na niego podejrzliwie.

— Mógł pójść na ten film na Cromwell Road. Mógł wyjść koło jedenastej i wrócić tu — choć gdyby tak się stało, ktoś powinien go zauważyć. To byłoby dobrze przed północą...

— Wsiadł w zły autobus — podsunęła panna Marple.

— Albo coś w tym rodzaju.

— Powiedzmy, że wrócił po północy — rzekł Tata.

— Mógł dostać się do pokoju nie widziany przez nikogo, ale jeżeli tak, dlaczego wyszedł znowu, trzy godziny później?

Panna Marple szukała odpowiedniego słowa.

— Jedyne pomysły, jakie mi przychodzi... och!

Drgnęła, gdy na ulicy rozległ się huk.

— Gaźnik — powiedział nadinspektor uspokajająco.

— Przepraszani, że jestem taka nerwowa dziś wieczór, mam takie uczucie...

— Że coś się zdarzy? Myślę, że nie powinna się pani bać.

— Nigdy nie lubiłam mgły.

— Chciałem powiedzieć, że bardzo mi pani pomogła. Rzeczy zauważone przez panią, drobiazgi, zsumowały się.

— A więc tutaj jest coś nie w porządku?

— Tu wszystko było i jest nie w porządku.

Panna Marple westchnęła.

— Na początku to wydawało się cudowne: nic nie zmienione, jakby powrót do przeszłości, do tej przeszłości, którą się tak kochało. — Przerwała. — Rzecz jasna, to nie było prawda. Zdałam sobie sprawę, że nie wraca się nigdy, że nie należy tego nawet próbować, że istotą życia jest postęp. Życie jest naprawdę Drogą w Jedną Stronę.

— Coś w tym rodzaju — zgodził się Tata.

— Pamiętam — powiedziała panna Marple, odbiegając od tematu w charakterystyczny dla niej

sposób — pamiętam, jak będąc w Paryżu, poszłam z matką i babką na herbatę do Hotelu Elizejskiego. Moja babka rozejrzała się i powiedziała nagle: „Klaro, jestem tu chyba jedyną kobietą w czepku!” I tak było! Kiedy wróciła do domu, spakowała wszystkie swoje czepki, płaszcze naszywane paciorkami i wysłała je...

— Na wentę? — podsunął Tata życzliwie.

— O nie. Nikt tego nie chciał na wentę. Posłała do teatru. Oni to docenili. Ale zaraz — panna Marple zmieniła temat — o czym mówiłam?

— Oceniała pani ten hotel.

— Tak. Wydaje się w porządku, ale nie jest. To mieszanina ludzi prawdziwych i nierzeczywistych. Nie zawsze można ich odróżnić.

— Co pani rozumie przez „niereczywistych”?

— Są tu wojskowi w stanie spoczynku, ale wśród nich tacy, którzy wyglądają, jakby nigdy nie byli w wojsku. I duchowni, którzy nie są duchownymi. Admirałowie i kapitanowie, którzy nigdy nie służyli w marynarce. Moja przyjaciółka Selina Hazy bawiła mnie początkowo, usiłując wciąż rozpoznawać ludzi, których niegdyś znała (co jest naturalne) i myśląc się często, gdyż nie byli tymi, za których ich brała. To jednak zdarzało się zbyt często. I wtedy zaczęłam się zastanawiać. Nawet Rose, pokojówka, taka miła — pomyślałam, że może nie jest prawdziwa.

— Jeśli to panią interesuje, jest byłą aktorką. Dobrą aktorką. Dostaje tu lepszą pensję niż kiedykolwiek na scenie.

— Ale za co?

— Głównie jako część dekoracji. Może zresztą jest w tym coś więcej.

— Jestem rada, że wyjeżdżam stąd — powiedziała panna Marple. Przeszedł ją lekki dreszcz. — Zanim się coś wydarzy.

— Czego się pani spodziewa? — spytał.

— Czegoś złego — powiedziała stara dama.

— Zło to wielkie słowo...

— Myśli pan, że zbyt melodramatyczne? Mam pewne doświadczenie, a tu często miałam wrażenie, że wręcz ocieram się o morderstwo.

— Morderstwo? — nadinspektor Davy potrząsnął głową. — Nie podejrzewam tego. Tylko małe polowanie na paru sprytnych przestępców.

— To nie to samo. Morderstwo, chęć popełnienia mordu, to coś zupełnie innego. To jest, jak to

wyrazić?, jest przeciw Bogu.

Spojrzał na nią i potrząsnął głową łagodnie i uspokajająco.

— Tu nie będzie żadnego morderstwa — stwierdził. Na zewnątrz rozległ się ostry huk, głośniejszy niż poprzednio. Po nim nastąpił krzyk i następny huk.

Nadinspektor Davy zerwał się na nogi, ruszając z szybkością zadziwiającą u tak tęgiego mężczyzny. Po pani sekundach wybiegł przez wahadłowe drzwi na ulicę.

## II

Krzyk — krzyk kobiety — przenikał mgłą nutą przerażenia. Davy popędził ulicą w jego kierunku. Dostrzegł niewyraźną postać kobiecą, opartą o ogrodzenie. Po kilkunastu krokach był przy niej. Nosiła długi, jasny, futrzany płaszcz, jej lśniące blond włosy zwisały po obu stronach twarzy. Przez chwilę myślał, że poznaje ją, potem stwierdził, że była tylko wątłą dziewczyną. Na chodniku, rozciągnięte u jej stóp, leżało ciało mężczyzny w uniformie. Nadinspektor Davy rozpoznał go. To był Michael Gorman.

Kiedy Davy podszedł do dziewczyny, ta chwyciła go kurczowo, drżąc i jękając urywane zdania.

— Ktoś próbował mnie zabić... Ktoś... strzelali do mnie... Gdyby nie on... — wskazała na dół, na nieruchomą postać. — Odepchnął mnie i znalazł przede mną... i wtedy padł drugi strzał... i on upadł... Ocalił mi życie. Myślę, że jest ranny, poważnie ranny...

Nadinspektor ukląkł. Jego latarka zabłysła. Wysoki irlandzki portier padł jak żołnierz. Po lewej stronie bluzy widać było mokrą plamę, która rosła w miarę, jak krew przesiąkała przez ubranie. Davy podniósł powiekę, dotknął przegubu. Wstał.

— Jest gotów — powiedział.

Dziewczyna krzyknęła przeraźliwie. — Pan myśli, że on nie żyje? Och, nie, nie! On nie może być martwy!

— Kto strzelał do pani?

— Nie wiem... Zostawiłam samochód zaraz za rogiem i szłam po omacku wzdłuż ogrodzenia... szłam do hotelu „Bertram”. Nagle rozległ się strzał... kula przeszła koło mego policzka i potem on... portier od „Bertrama” przybiegł do mnie i zasłonił mnie... i wtedy padł drugi strzał... Sądzę... sądzą, że ktoś musiał się ukryć w tym miejscu.

Nadinspektor popatrzył we wskazanym kierunku. Po tej stronie hotelu był staroświecki skwerek, poniżej poziomu chodnika, z bramą i paroma stopniami prowadzącymi w dół. Ponieważ na tę stronę wychodziły jedynie jakieś magazyny, teren ten był pusty. Człowiek mógł się tam ukryć dosyć łatwo.

— Widziała go pani?

— Nie bardzo. Minął mnie jak cień. Wszystko działo się w gęstej mgłę. Davy skinął głową.

Dziewczyna zaczęła szlochać histerycznie.

— Ale kto chciałby mnie zabić? Po co mieliby mnie zabijać? To już drugi raz. Nie rozumiem... dlaczego...

Otoczywszy jedną ręką ramiona dziewczyny, nadinspektor drugą szukał czegoś w kieszeni.

Przeraźliwy dźwięk policyjnego gwizdka przeniknął mgłę.

### III

W hallu hotelu „Betram” panna Gorringe spojrzała bystro zza biurka.

Pani gości spojrzało po sobie również. Starsi i bardziej głusi nie zareagowali w ogóle.

Henry, stawiając kieliszek starej brandy na stole, zastygł z nim w ręce.

Panna Marple pochyliła się ku przodowi, zaciskając ręce na poręczach fotela. Admirał w stanie spoczynku powiedział stanowczo:

— Wypadek! Na pewno samochody zderzyły się we mgle.

Wahadłowe drzwi otworzyły się, pchnięte z ulicy. Ukazał się w nich olbrzymi policjant, znacznie potężniejszej postury niż przeciętni strażnicy porządku. Podtrzymywał dziewczynę w jasnym, futrzanym płaszczu. Wydawało się, że prowadzona ledwie może iść. Policjant rozejrzał się z zakłopotaniem, w poszukiwaniu pomocy.

Panna Gorringe podniosła się zza biurka, próbując stawić czoła sytuacji. W tej samej chwili zjechała winda. Wyszła z niej wysoka kobieta, a dziewczyna, uwolniwszy się z objęć policjanta, popędziła jak szalona przez hali.

— Mamo! — krzyczała. — Och mamó, mamó!... — i rzuciła się, szlochając, w ramiona Bess Sedgwick.

# Rozdział dwudziesty pierwszy

Nadinspektor Davy usadowił się w fotelu i popatrzył na dwie kobiety siedzące naprzeciw niego. Było już po północy. Funkcjonariusze policji odeszli. Byli lekarze, spece od daktyloskopii, ambulans zabierający ciało, a teraz wszystko zacieśniło się do tego jednego pokoju, ofiarowanego na użytek prawa przez hotel „Bertram”. Nadinspektor siedział po jednej stronie stołu, Bess Sedgwick i Elwira po drugiej. Pod ścianą tkwił policjant, protokołując dyskretnie przesłuchanie. Detektyw–sierżant Wadell ulokował się przy drzwiach.

Tata patrzył zamyślony na dwie kobiety zwrócone ku niemu. Matka i córka. Zauważył podobieństwo między nimi, wyraźne, choć powierzchowne. Zrozumiał, dlaczego we mgle, przez moment wziął Elwirę Blake za Bess Sedgwick. Teraz jednak, patrząc na obie, bardziej dostrzegał różnice niż podobieństwa. Nie były naprawdę podobne, wyjąwszy koloryt, a mimo to odnosił wrażenie, że ma przed sobą pozytywną i negatywną wersję tej samej osoby. W Bess Sedgwick wszystko było pozytywne. Jej witalność, energia, magnetyczny urok. Podziwiał tę kobietę. Zawsze ją podziwiał. Zachwycił się jej odwagą, a sportowe wyczyny stale go ekscytowały. Czytając niedzielne gazety mówił: — To się jej nigdy nie uda — i niezmiennie udawało się! Uważał za niemożliwe, aby osiągnęła cel podróży i osiągała go. Szczególnie zdumiewały go jej niespożyte siły. Miała kraksę samolotową, kilka wypadków samochodowych, dwukrotnie przeżyła groźny upadek z konia, ale zawsze wychodziła z tego cała. Promienna, żywa osobowość, której nie można było zignorować. Chylił głowę przed jej umysłem. Któregoś dnia, oczywiście, będzie miała pecha. Nie można czarować życia tak długo. Przeniósł wzrok z matki na córkę. Dziwił się. Bardzo się dziwił.

Elwira Blake była introwertyczką. Bess Sedgwick szła przez życie dzięki swej imponującej woli. Zgadywał, że Elwira miała odmienny sposób radzenia sobie. Ulegała. Była posłuszna. Uśmiechała się ustępliwie, a potem prześlizgiwała się między palcami.

— Sprytna — powiedział sobie, oceniając ten fakt.

— Tylko w ten sposób potrafi dojść do czegoś. Nie umie nadrabiać bezczelnością, ani wymóc niczego siłą. Przypuszczalnie jej opiekunowie nie mają najmniejszego pojęcia, do czego jest zdolna.

Był ciekaw, co robiła przemykając się do hotelu „Bertram” późnym, mglistym wieczorem. Zamierzał ją teraz o to zapytać. Uznał za wielce prawdopodobne, że odpowiedź, którą otrzyma, nie będzie prawdziwa.

— W ten sposób biedne dziecko broni się — pomyślał. — Przyszła tutaj spotkać się z matką, czy odnaleźć ją? To bardzo możliwe, ale nie był o tym przekonany. Przypomniał sobie o wielkim, sportowym wozie ukrytym za rogiem, samochodzie z numerem rejestracyjnym FAN 2266. Ladislaus Malinowski musiał znajdować się gdzieś w okolicy, skoro jego samochód był tutaj.

— No więc — zaczął, zwracając się do Elwiry w swój najbardziej sympatyczny, ojcowski sposób — jak się pani teraz czuje?



— Zupełnie dobrze — odparła Elwira.

— Świetnie. Chciałbym, żeby odpowiedziała pani na kilka pytań, jeśli czuje się pani na siłach, ponieważ czas jest najważniejszym elementem śledztwa. Strzelono do pani dwukrotnie i zginął człowiek. Chcemy otrzymać tyle wskazówek, żeby można było złapać osobę, która go zabiła.

— Powiem panu wszystko, co wiem, ale to stało się tak szybko. I we mgle nic się nie widzi. Nie mam pojęcia, kto to mógł być, ani jak wyglądał. Byłam przerażona.

— Mówiła pani, że już drugi raz ktoś próbował zabić panią. Czy to znaczy, że był już kiedyś zamach na pani życie?

— Tak powiedziałam? Nie pamiętam — poruszyła się niespokojnie. — Chyba niczego takiego nie mówiłam.

— A jednak — rzekł Tata.

— Przypuszczam, że byłam... że histeryzowałam.

— Nie — upierał się nadinspektor — nie sędzę. Uważam, że to właśnie miała pani na myśli.

— Mogłam sobie coś wyobrazić — mruknęła Elwira. Jej oczy znowu uciekły w bok.

Bess Sedgwick odezwała się spokojnie:

— Lepiej powiedz mu, Elwiro.

Dziewczyna rzuciła krótkie, niespokojne spojrzenie na matkę.

— Nie powinna się pani obawiać — rzekł uspokajająco Tata. — W policji wiemy dobrze, że dziewczęta nie mówią wszystkiego swoim matkom czy opiekunom. Nie bierzemy tych wszystkich spraw zbyt poważnie, ale musimy o nich wiedzieć, ponieważ to nam pomaga.

Bess Sedgwick spytała:

— To było we Włoszech?

— Tak — odparła Elwira.

Davy dorzucił: — Tam, gdzie pani była w szkole, czy zakładzie, czy jak się to teraz nazywa?

— Tak. Byłam u hrabiny Martinelli. Było nas tam osiemnaście, czy dwadzieścia.

— I wydało się pani, że ktoś usiłował panią zabić? Jak to było?

— Dostałam wielkie pudło czekoladek. Była tam kartka napisana po włosku, kwiecistym stylem. Wie pan, takie rzeczy, jak oni zwykle mówią. „Dla najpiękniejszej signoriny”, coś w tym rodzaju.

Moje przyjaciółki i ja — no — śmiałyśmy się trochę z tego i byłyśmy ciekawe, kto to mógł przysłać.

— Paczka przyszła pocztą?

— Nie. Po prostu znalazła się w moim pokoju. Ktoś musiał ją tam położyć.

— Rozumiem. Pewnie przekupiona służąca. Przypuszczam, że nie wtajemniczyła pani hrabiny Jak-  
jej—tam w tę historię?

Lekki uśmiech pojawił się na twarzy Elwiry.

— Nie. Oczywiście nie zrobiłyśmy tego. W każdym razie otworzyłyśmy pudło i znalazłyśmy wspaniałe czekoladki. Były różne, ale między innymi też kilka fiołkowych, to znaczy z kandyzowanym fiołkiem na wierzchu. Moje ulubione. Naturalnie zjadłam jedną czy dwie, a potem w nocy byłam okropnie chora. Nie myślałam, że to z powodu czekoladek. Uważałam, że zaszkodziło mi coś co zjadłam na obiad.

— Ktoś jeszcze chorował?

— Nie. Tylko ja. Więc byłam bardzo chora, ale pod koniec następnego dnia czułam się już dobrze. Dzień czy dwa później zjadłam znowu czekoladkę z fiołkiem i zdarzyło się to samo. Opowiedziałam o tym Bridget. To moja najbliższa przyjaciółka. Obejrzałyśmy czekoladki i odkryłyśmy, że te fiołkowe miały na spodzie otworek, przez który musiały być ponownie napełniane, więc pomyślałyśmy, że ktoś włożył tam trochę trucizny, dlatego tylko do nich, że znał mój gust.

— Nikt więcej nie chorował?

— Nie.

— Więc przypuszczalnie nikt więcej nie jadł fiołkowych czekoladek?

— Nie, chyba nikt. Widzi pan, to był mój prezent i dziewczęta wiedziały, że je lubię, zostawiły zatem te właśnie dla mnie.

— Facet ryzykował, kimkolwiek był — zauważył Tata. — Cała szkoła mogła zostać wytruta.

— To absurd — przerwała lady Sedgwick. — Zupełny absurd! Nigdy nie słyszałam o czymś tak prymitywnym.

Nadinspektor Davy zrobił lekki nuch ręką.

— Proszę — zwrócił się do Elwiry. — Bardzo mnie to interesuje, panno Blake. I pani nadal nie poinformowała hrabiny?

— Nic. Narobiłaby okropnego szumu.

— A co stało się z czekoladkami?

— Wyrzuciłyśmy je — odparła Elwira. — Takie wspaniałe czekoladki! — dodała tonem lekkiego żalu.

— Nie usiłowały panie odkryć, kto je przysłał?

Elwira wydawała się zakłopotana:

— Wie pan, myślałam, że to mógł być Gwido.

— Tak? — spytał nadinspektor dobrodusznie. — A któż to jest Gwido?

— Och, Gwido... — Elwira przerwała i popatrzyła na matkę.

— Nie bądź niemądra — powiedziała Bess. — Opowiedz nadinspektorowi o Gwidonie, kimkolwiek on jest. Każda dziewczyna w twoim wieku ma jakiegoś Gwidona w swoim życiu. Przypuszczam, że spotkałaś go we Włoszech?

— Tak. Kiedy zabrano nas do opery. Odezwał się do mnie. Był miły. Bardzo przystojny. Spotykałam się czasem z nim, gdy szliśmy na spacer. Podawał mi liściki.

— I, jak sądzę — wtrąciła Bess Sedgwick — wymyślałaś masę kłamstw, kombinowałaś z przyjaciółkami i udawało ci się wychodzić i spotykać się z nim? Tak było?

To przecięcie spowiedzi sprawiło Elwirze ulgę.

— Tak. Czasem Bridget i ja wychodziłyśmy razem. Czasem Gwido jakoś zdołał...

— Jak brzmi jego nazwisko?

— Nie wiem — odparła Elwira. — Nigdy mi nie powiedział.

Nadinspektor uśmiechnął się do niej.

— Nie chce mi pani powiedzieć? Mniejsza o to. Nie wątpię, że potrafimy się tego dowiedzieć bez pani pomocy, jeżeli to naprawdę będzie potrzebne. Ale dlaczego sądzi pani, że ten młody człowiek usiłował zabić dziewczynę, którą prawdopodobnie lubił?

— Och, ponieważ zwykle groził czymś takim. Stale kłóciliśmy się. Przyprawdzał przyjaciół i jeśli udawałam, że podobają mi się bardziej od niego, był wściekły i ostrzegał, żebym uważała, co robię. Że nie mogę rzucić go tak po prostu i jeżeli nie będę mu wierna, zabije mnie! A ja myślałam tylko, że jest melodramatyczny i teatralny — Elwira uśmiechnęła się nieoczekiwanie: — To wszystko było dosyć śmieszne. Nie sądziłam, że te groźby są prawdziwe czy na serio.

— Tak — rzekł nadinspektor Davy. — Wątpię, żeby młody człowiek, taki, jakiego pani opisała, mógł naprawdę zatruć czekoladki i posłać pani.

— Ja także nie podejrzewam go tak naprawdę — zastanowiła się Elwira — ale nikt inny nie

przychodzi mi na myśl. Przestraszyłam się. A potem, kiedy wróciłam do Anglii, dostałam kartkę... — przerwała.

— Jaką kartkę?

— Przyszła w kopercie i była pisana drukowanymi literami. „Strzeż się. Ktoś chce cię zabić”.

Brwi nadinspektora uniosły się.

— Naprawdę? Dziwne. Bardzo dziwne. I to panią zaniepokoiło. Była pani przerażona?

— Tak. Zaczęłam zastanawiać się, kto... kto mógłby pragnąć mnie usunąć. Dlatego próbowałam wykryć, czy jestem bogata.

— Proszę mówić dalej.

— Pewnego dnia w Londynie zdarzyło się jeszcze coś. Jechałam metrem i na peronie było dużo ludzi. Zdawało mi się, że ktoś próbuje mnie zepchnąć na tory.

— Kochane dziecko — wtrąciła Bess. — Nie fantazuj.

Nadinspektor zrobił znowu lekki gest ręką.

— Tak — odparła Elwira tłumacząc się. — Pewnie wyobraziłam sobie to wszystko, ale... nie wiem... przyszło mi do głowy, po tym wypadku, że to może być prawda. — Zwróciła się błagalnie do Bess: — Mamo! Ty możesz wiedzieć. Czy jest ktoś taki? Czy mam jakiegoś wroga?

— Ma się rozumieć, że nie masz — odparła Bess niecierpliwie. — Nie bądź idiotką. Nikt nie chce cię zabić. W jakim celu miałby to robić?

— Więc kto strzelał do mnie wieczorem?

— W takiej mgle — powiedziała Bess — przez pomyłkę mogłaś zostać wzięta za kogoś innego. To możliwe, prawda? — spojrzała na nadinspektora.

— Tak, to bardzo prawdopodobne — potwierdził.

Bess spojrzała na niego i z ruchu jej warg domyślił się słowa „później”.

— No — powiedział pogodnie. — Zbierzmy jeszcze trochę faktów. Skąd pani szła wieczorem? Co robiła pani spacerując po Pond Street w taki mglisty wieczór?

— Rano poszłam na wykład do Tale Gallery. Potem zjadłam lunch z moją przyjaciółką Bridget. Mieszka przy Onslow Square. Poszłyśmy do kina, a kiedy wyszłyśmy, była mgła, która gęstniała coraz bardziej, więc pomyślałam, że lepiej będzie nie wracać samochodem.

— Prowadzi pani samochód?

— Tak. Zrobiłam prawo jazdy w lecie. Ale nie jestem dobrym kierowcą i nie znoszę jazdy we mgle. Matka Bridget powiedziała, że mogę zostać u nich na noc, wobec tego zadzwoniłam do kuzynki Mildred, tam gdzie mieszkam, w Kent...

Tata skinął głową.

— ... i zawiadomiłam, że zamierzam przenocować u Bridget. Stwierdziła, że to bardzo mądrze.

— A co zdarzyło się potem? — spytał Tata.

— Mgła zdawała się przerzedzać. Wie pan, jaka bywa niejednolita. Wobec tego powiedziałam, że jednak chcę wrócić do Kent. Pożegnałam się z Bridget i wyruszyłam. Ale wtedy pogoda zaczęła się znów pogarszać. Bardzo tego nie lubię. Wpadłam w gęstą mgłę, zgubiłam drogę i nie wiedziałam, gdzie jestem. Potem zorientowałam się, że jestem na Hyde Park Corner i stwierdziłam, że nie potrafię dojechać do Kent w tej mazi. Najpierw postanowiłam wrócić do Bridget, ale przyszło mi na myśl, że dopiero co zablądziłam. I wtedy uświadomiłam sobie, że znajduję się w pobliżu miłego hotelu, do którego zabrał mnie wuj Derek, kiedy wróciłam z Włoch i pomyślałam: „pójdę tam i jestem pewna, że znajdą pokój dla mnie”. To było naprawdę proste, wyszukałam więc miejsce na samochód i poszłam w kierunku hotelu.

— Czy spotkała pani kogoś, lub słyszała w pobliżu czyjeś kroki?

— To zabawne, że pan mówi o tym, ponieważ wydaje mi się, że ktoś szedł za mną. Naturalnie po Londynie chodzi dużo ludzi. Tylko, że w takiej mgle to sprawia nieprzyjemne wrażenie. Zatrzymałam się i nasłuchiwałam, ale nie słyszałam żadnych kroków i doszłam do wniosku, że mi się wydawało. Poza tym, byłam już blisko hotelu.

— I co się stało wtedy?

— Padł strzał. Jak mówiłam panu, zdawało mi się, że kula przeszła mi koło ucha. Portier stojący przed hotelem podbiegł i zasłonił mnie i wtedy... wtedy... padł drugi strzał... On... on upadł, a ja zaczęłam krzyczeć... — znowu zadrżała.

— Spokojnie, dziewczyno — powiedziała Bess niskim, stanowczym głosem. — Przestań — takim tonem mówiła do swoich koni i okazało się to skuteczne także dla córki.

Elwira popatrzyła na nią mrugając, wyprostowała się i uspokoiła.

— Dobra dziewczynka — powiedziała Bess.

— A potem przyszedł pan — ciągnęła dziewczyna.

— Dmuchnął pan w swój gwizdek i kazał policjantowi zabrać mnie do hotelu. Jak tylko weszłam, zobaczyłam mamusię...

Odwróciła się i spojrzała na Bess.

— A więc jesteśmy mniej więcej na bieżąco — stwierdził Tata. Poprawił się w fotelu.

— Czy zna pani człowieka, który nazywa się Ladislaus Malinowski? — zapytał. Jego ton był zdawkowy, bez wyrazu. Nie patrzył na dziewczynę, ale zanotował, że wciągnęła gwałtownie powietrze, gdyż słuchał pilnie. Oczywiście miał zwrócone na matkę, nie na córkę.

— Nie — odpowiedziała Elwira, po przerwie odrobinę za długiej. — Nie znam.

— Och — rzekł Tata — myślałem, że może go pani znać. Możliwe, że był tu dziś wieczorem.

— Tak? Dlaczego?

— Jego samochód jest tutaj — odparł Tata. — Dlatego tak pomyślałem.

— Nie znam go — powtórzyła Elwira.

— Pomyliłem się — rzekł Tata. — Pani oczywiście go zna? — zwrócił się do Bess Sedgwick.

— Naturalnie — potwierdziła Bess. — Znam go od wielu lat. — I dodała uśmiechając się: — Wie pan, to szalenciec. Prowadzi samochód jak anioł, czy jak diabeł. Skręci kark któregoś dnia. Rozbił się fatalnie osiemnaście miesięcy temu.

— Tak, pamiętam, że czytałem o tym — potwierdził Davy. — Nie brał jeszcze udziału w zawodach.

— Jeszcze nie. Może nigdy nie wróci na tor.

— Czy mogłabym teraz pójść do łóżka? — spytała płaczkliwie Elwira. — Jestem... jestem okropnie zmęczona.

— Oczywiście. Musi pani być zmęczona. Powiedziała nam pani wszystko, co pani pamięta?

— O tak.

— Pójdę z tobą na górę — powiedziała Bess. Matka i córka wyszły.

— Dziewczyna zna Malinowskiego zupełnie dobrze — zauważył Tata,

— Rzeczywiście tak pan uważa? — spytał sierżant Wadell.

— Wiem o tym. Zaledwie dzień, czy dwa temu była z nim na herbacie w Battersea Park.

— Jak pan to wykrył?

— Opowiedziała mi o tym ze zgorzaniem pewna stara dama. Była zdania, że to nie jest odpowiedni przyjaciel dla młodej dziewczyny. Oczywiście to prawda.

— Szczególnie, jeśli on i jej matka... — Wadell przerwał taktownie. — To dosyć powszechna

plotka.

— Tak. Może prawdziwa, może nie. Zapewne prawdziwa.

— W takim razie, która z nich jest tą właściwą?

Nadinspektor zignorował pytanie. Powiedział:

— Chcę go przyłapać. Cholernie chcę tego. Jego samochód stoi tutaj, tuż za rogiem.

— Myśli pan, że mieszka w tym hotelu?

— Nie. To nie pasowałoby do układanki. Nie powinien się tu zatrzymywać. Jeżeli przyszedł, to aby spotkać się z dziewczyną. A ona z pewnością szła zobaczyć się z nim. Tak podejrzewam.

Drzwi otworzyły się i Bess Sedgwick weszła ponownie:

— Wróciłam, ponieważ chciałam z panem pomówić. Spojrzała na dwóch pozostałych mężczyzn.

— Czy mogę porozmawiać z panem sam na sam? Przekażę panu wszelkie informacje, jakie posiadam, ale chciałabym zamienić parę słów na osobności.

— Nie ma powodu, aby pani odmówić — nadinspektor skinął głową i młody konstabl wziął swój notes i wyszedł, a sierżant Wadell za nim. — Więc? — zapytał Davy.

Lady Sedgwick znowu usiadła naprzeciw.

— Ta idiotyczna historia z zatrutymi czekoladkami — oświadczyła — to nonsens. Po prostu śmieszne. Nie wierzę, żeby coś takiego zdarzyło się kiedykolwiek.

— Nie wierzy pani?

— A pan?

Tata potrząsnął głową z powątpiewaniem. — Uważa pani, że córka wymyśliła to?

— Tak. Ale po co?

— Cóż, jeśli pani nie wie, to skąd ja mam znać powód? To pani córka. Przypuszczalnie zna ją pani lepiej niż ja.

— Nie znam jej wcale — powiedziała Bess gorzko.

— Nie widziałam jej ani nie miałam z nią nic do czynienia od czasu, kiedy miała dwa lata, a ja uciekłam od męża.

— Ach tak. Rozumiem wszystko. To dziwne. Sąd powierza zwykle opiekę nad dzieckiem matce, gdy o to prosi, nawet jeżeli rozwód następuje z jej winy. Przypuszczalnie pani nie prosiła. Pani tego

nie chciała.

— Uważałam, że tak będzie lepiej.

— Dlaczego?

— Sądziłam, że to może być dla niej niebezpieczne.

— Ze względów moralnych?

— Nie. Nie dlatego. Cudzołóstwo jest dziś zjawiskiem powszechnym. Dzieci wiedzą o nim, wyrastają wśród zdrad małżeńskich. Nie. Dlatego, że naprawdę nie jestem osobą dość bezpieczną, aby przebywać z córką. Życie, jakie prowadzę, jest ryzykowne. Nic można zmienić swojej natury. Ja urodziłam się, żeby żyć w ten właśnie sposób. Nic jestem prawomyślna ani konwencjonalna. Uważałam, że dla Elwiry będzie lepiej, bardziej szczęśliwie, jeśli otrzyma standardowe, angielskie wychowanie. Chroniona, doglądana...

— Ale bez miłości matki?

— Myślałam, że jeśli mnie pokocha, przyniesie jej to nieszczęście. Och, może mi pan nie wierzyć, ale to właśnie czułam.

— Rozumiem. I wciąż jest pani zdania, że miała rację?

— Nie — zaprzeczyła Bess. — Myliłam się całkowicie.

— Czy pani córka zna Malinowskiego?

— Jestem pewna, że nie. Powiedziała panu. Sam pan to słyszał.

— Owszem, słyszałem.

— Cóż zatem?

— Kiedy siedziała tutaj, bała się. My, policjanci, potrafimy wyczuć strach, gdy się z nim zetkniemy. Czego się obawiała? Zatrute czekoladki czy nie, w każdym razie był zamach na jej życie. Ta historia w metro może być prawdziwa...

— To śmieszne. Jak w thrillerze...

— Być może. Jednak takie rzeczy zdarzają się. Częściej niż się pani wydaje. Potrafi pani podać mi myśl, kto chciałby zabić pani córkę?

— Nikt... absolutnie nikt! — zawołała porywczo. Nadinspektor Davy westchnął i potrząsnął głową.



# Rozdział dwudziesty drugi

Nadinspektor Davy czekał cierpliwie, aż pani Melford skończy mówić. Było to szczególnie bezpłodne przesłuchanie. Kuzynka Mildred była chaotyczna, niewiarygodna i, ogólnie biorąc, głupia. Taki przynajmniej był prywatny pogląd Taty. Wyliczenie dobrych manier Elwiry, miłego usposobienia, kłopotów z zębami i dziwnych usprawiedliwień przez telefon, doprowadziło ją do poważnych wątpliwości, czy przyjaciółka Elwiry, Bridget, jest naprawdę odpowiednim towarzyszem dla niej. Wszystkie te sprawy, opinie, poglądy zostały przedstawione nadinspektorowi w postaci gęstej papki. Pani Melford nie wiedziała nic, nie słyszała nic, nic widziała nic, a najwyraźniej myślała również bardzo niewiele.

Krótką rozmowa telefoniczna z opiekunem Elwiry, pułkownikiem Luscombe, była jeszcze bardziej jałowa, choć szczęśliwie mniej obfita w słowa.

— Jak chińskie małpy — mruknął Tata do swojego sierżanta, odłożywszy słuchawkę. — Nie widzą zła, nie słyszą zła, nie mówią o złu. Kłopot polega na tym, że wszyscy, którzy mają coś do czynienia z tą dziewczyną, są zbyt mili, jeżeli rozumiesz, co mam na myśli. Za wiele gładkich osób nie wiedzających, co to jest zło. Nie tak, jak moja stara dama.

— Ta z hotelu „Bertram”?

— Właśnie ta. Ona ma długoletnie życiowe doświadczenie w dostrzeganiu zła, wyobrażaniu zła, podejrzywaniu zła i ruszaniu do bitwy ze złem. Zobaczmy, co zdołamy wydobyć z tej przyjaciółki, Bridget.

W tym przesłuchaniu trudności były spowodowane przede wszystkim przez mamusię Bridget. Nadinspektor użył całej pomysłowości i umiejętności pochlebiania, zanim udało mu się pomówić z Bridget bez asysty jej matki. Trzeba przyznać, że był zrećnie wspierany przez dziewczynę. Po pewnej ilości stereotypowych pytań i odpowiedzi, oraz po wydaniu przez matkę Bridget okrzyku zgrozy na wieść o tym, jak to Elwira uniknęła o włos śmierci, Bridget powiedziała:

— Ach, mamusiu, już pora na to posiedzenie komitetu. Mówiłaś, że to bardzo ważne.

— O mój Boże — jęknęła matka Bridget.

— Wiesz przecież, że bez ciebie oni wszystko okropnie pokręca..

— Och tak. Na pewno. Ale może powinnam...

— Kiedy my już właściwie zakończyliśmy — włączył się Tata, przybierając swój miły, ojcowski sposób bycia.

— Nie musi się pani niepokoić. Zadałem już wszystkie ważne pytania. Wyjaśniła mi pani to, co

chciałem wiedzieć. Mam tylko parę rutynowych pytań o ludzi we Włoszech, w czym panna Bridget będzie mogła mi pomóc.

— No, jeśli uważasz, że poradzisz sobie, Bridget...

— Na pewno, mamusiu.

Ostatecznie, ociągając się matka Bridget wyszła na posiedzenie swego komitetu.

— Ojej — westchnęła Bridget, wróciwszy po zamknięciu drzwi frontowych. — Myślę, że niektóre matki są trudne.

— Słyszałem o tym — rzekł nadinspektor Davy.

— Wiele młodych dam, z którymi się zetknąłem, ma masę kłopotów z matkami.

— Sądziłam, że pan ma inne zdanie.

— Ocli tak — odparł Davy — ale młode damy tak to właśnie widzą. Teraz może mi pani opowiedzieć trochę więcej.

— Naprawdę nie mogłabym mówić szczerze w obecności mamusi — wyjaśniła Bridget. — Czuję jednak, że to naprawdę ważne, aby dowiedział się pan jak najwięcej o wszystkim. Wiem, że z jakiegoś powodu Elwira była bardzo niespokojna i bała się. Nie przyznawała się, że jest w niebezpieczeństwie, ale widziałam jej strach.

— Tak też myślałem. Oczywiście nie chciałem pytać za wiele przy pani matce.

— Och nie — rzekła dziewczyna. — Nie trzeba, aby mamusia słyszała o tym. Wpada w okropny stan przy takich historiach, a potem powtarza je każdemu. Sądzę, że Elwira nie chce, żeby jej osobiste sprawy stały się publiczną tajemnicą.

— Przede wszystkim — zaczął nadinspektor — chciałbym dowiedzieć się o pudełku czekoladek we Włoszech. Rozumiem, że istniało podejrzenie, iż mogły być zatrute.

Bridget otworzyła szeroko oczy:

— Zatrute? — powiedziała. — O nie, nie sądzę. Przynajmniej...

— Coś się jednak zdarzyło?

— Tak. Ktoś przysłał bombonierkę i Elwira zjadła mnóstwo czekoladek i była w nocy chora. Bardzo chora.

— Ale nie podejrzewała trucizny?

— Nie. To znaczy — ach tak, powiedziała, że ktoś próbował otruć jedną z nas, więc obejrzałyśmy

czekoladki, żeby zobaczyć, czy coś zostało do nich wstrzyknięte.

— I było?

— Nie — odparła Bridget. — O tyle, o ile mogłyśmy to stwierdzić.

— Ale może panna Elwira dalej tak myślała?

— Może, ale więcej o tym nie mówiła.

— Jednak uważa pani, że kogoś się obawiała?

— Nie sądziłam tak wtedy, ani nie dostrzegłam niczego. Dopiero później, tutaj.

— A co z tym chłopcem, z Gwidonem?

Bridget zachichotała:

— Strasznie się napalał na Elwirę.

— A pani i przyjaciółka wyznaczały mu spotkania?

— Cóż, nie mam nic przeciw temu, żeby powiedzieć panu — zastanowiła się Bridget. — Ostatecznie jest pan policjantem. Dla pana to nie są ważne rzeczy, więc mam nadzieję, że zrozumie pan. Hrabina Martinelli była okropnie surowa, a przynajmniej tak się jej wydawało. A my oczywiście miałyśmy różne sztuczki i sposoby. Byłyśmy solidarne. Jasne?

— I kłamałyście jak z nut?

— Obawiam się, że tak. Ale co można poradzić, gdy ktoś jest tak podejrzliwy?

— Więc spotykałyście się z Gwidonem. A on groził Elwirze?

— Och, nie wydaje mi się, że na serio.

— A może był jeszcze ktoś, z kim się spotykała?

— Och... to... nie wiem.

— Proszę mi powiedzieć, panno Bridget. To może być życiowa sprawa.

— Tak. Rozumiem. No więc był jeszcze ktoś. Nie wiem kto, ale była nim zajęta naprawdę. Śmiertelnie poważnie. Uważam, że to było coś wyjątkowego.

— Spotykała się z nim?

— Chyba tak. Mówiła, że spotyka się z Gwidonem, ale to nie zawsze był on. Czasem ten drugi.

— Nie przychodziło pani do głowy, kto to był?

— Nie — głos dziewczyny zabrzmiał odrobinę niepewnie.

— Czy nie mógł to być ten rajdowiec, Ladislaus Malinowski?

Bridget gapiała się na niego dobrą chwilę:

— Więc pan wie?

— Mam rację?

— Myślę, że tak. Wycięła jego fotografię z gazety. Trzymała ją w szufladzie pod pończochami.

— A może to tylko idol z ilustracji w czasopiśmie?

— Możliwe, ale nie wydaje mi się.

— Spotykała się z nim tu, w kraju?

— Nie wiem. Widzi pan, nie wiem, co robiła naprawdę od czasu powrotu z Włoch.

— Przyjechała do Londynu, do dentysty — podsunął jej Tata. — Tak przynajmniej twierdziła. Zamiast tego poszła do pani. Zadzwoiła do pani Melford z jakąś historią o starej guwernantce.

Bridget zachichotała cicho.

— To nie była prawda, co? — zapytał nadinspektor śmiejąc się. — Dokąd poszła w rzeczywistości?

Bridget zawahała się i wreszcie powiedziała:

— Pojechała do Irlandii.

— Do Irlandii? Po co?

— Nie powiedziała mi.

— Wie pani, dokąd pojechała w Irlandii?

— Dokładnie nie. Wspomniała nazwę. Bally coś. Chyba Ballygowlan.

— Rozumiem. Jest pani tego pewna?

— Widziałam ją z daleka na lotnisku Kensington. Leciła Aer Lingus.

— Kiedy wróciła?

— Następnego dnia.

— Także samolotem?

— Tak.

— Jest pani całkiem pewna, że wróciła samolotem?

— Przypuszczam, że tak.

— Wzięła bilet powrotny?

— Nie. Pamiętam, że nie.

— Mogła więc wrócić inną drogą?

— Tak. Zapewne.

— Mogła wrócić, na przykład, Irlandzkim Ekspresem?

— Nie mówiła o tym.

— Ale nie mówiła również, że przyleciała samolotem?

— Nie — zgodziła się Bridget. — Ale po co miałyby wracać statkiem i pociągiem, zamiast przylecieć?

— Cóż, jeżeli dowiedziała się wszystkiego i nie musiała się zatrzymywać, mogła pomyśleć, że prościej będzie wrócić nocnym pociągiem.

— No cóż, mogło się tak zdarzyć. Davy uśmiechnął się lekko:

— Młocie damy nie wyobrażają sobie dzisiaj, że można podróżować inaczej, jak tylko samolotem.

— Rzeczywiście — zgodziła się Bridget.

— W każdym razie wróciła do Anglii. Co się zdarzyło potem? Przyszła do pani, czy zadzwoniła?

— Zadzwoniła.

— O jakiej porze?

— Chyba rano. Tak, musiała być jedenasta lub dwunasta.

— I co powiedziała?

— Spytała czy wszystko było w porządku.

— A było?

— Nie, nie było, ponieważ pani Melford zadzwoniła, a mamusia odebrała telefon i sytuacja zrobiła się kłopotliwa i nie wiedziałam, co mówić. Więc Elwira oświadczyła, że nie przyjdzie na Onslow Square, tylko zatelefonuje do kuzynki Mildred i spróbuje wymyślić jakąś historię.

— I to wszystko, co pani jest w stanie sobie przypomnieć?

— To jest wszystko — odparła Bridget z pewną powściągliwością. Myślała o panu Bollard i bransoletce. Tego na pewno nie zamierzała opowiedzieć nadinspektorowi. Tata wiedział dobrze, że zataiła coś przed nim. Mógł mieć tylko nadzieję, że to nic mającego związek z jego śledztwem. Zapytał znowu:

— Uważa pani, że przyjaciółka obawiała się kogoś lub czegoś?

— Tak.

— Wspominała o tym, a może pani napomknęła jej?

— Zapytałam ją otwarcie. Najpierw zaprzeczyła, a potem przyznała, że jest przestraszona. I wiem, że była — ciągnęła Bridget gwałtownie. — Była w niebezpieczeństwie. Była o tym przekonana. Ale dlaczego, tego nie wiem.

— Pani przekonanie w tej kwestii jest związane z owym właśnie rankiem, kiedy panna Blake wróciła z Irlandii?

— Tak. Wtedy się upewniłam.

— Tego ranka, kiedy mogła wrócić Irlandzkim Ekspresem?

— Nie uważam tego za prawdopodobne. Czemu pan jej nie zapyta?

— Pewnie w końcu to zrobię. Nie chcę jednak zwracać uwagi na ten punkt. Nie w tej chwili. To mogłoby się stać dla niej jeszcze bardziej niebezpieczne.

Bridget otworzyła szeroko oczy.

— O czym pan myśli?

— Pani może tego nie pamiętać, ale tej nocy, a raczej wcześniej rano, obrabowano Irlandzki Ekspres.

— Uważa pan, że Elwira tam była i nie powiedziała mi ani słowa?

— Zgadzam się, że to nieprawdopodobne — rzekł Tata — ale przyszło mi na myśl, że zobaczyła coś, czy kogoś, lub zdarzył się jakiś incydent, związany z Irlandzkim Ekspresem. Mogła ujrzeć kogoś znajomego i dzięki temu znalazła się w niebezpieczeństwie.

— Och! — wykrzyknęła Bridget — sądzi pan, że ktoś, kogo znała, był zamieszany w rabunek?

Nadinspektor wstał:

— Myślę, że to wszystko. Na pewno nie potrafi pani przypomnieć sobie niczego więcej? Dokąd pani przyjaciółka poszła tego dnia? Albo dzień wcześniej?

Wizja pana Bollarda i jego sklepu znowu pojawiła się przed oczami Bridget.

— Nie — odparła.

— Wydaje mi się, że jest jeszcze coś, o czym pani nie mówiła — rzekł Davy.

Bridget chwyciła się słomki z wdzięcznością.

— Ach, zapomniałam — powiedziała. — Tak. Zdaje się, że poszła do jakiegoś prawnika. Do prawnika, który był jej powiernikiem, żeby dowiedzieć się czegoś.

— A więc poszła do prawnika, który był jej powiernikiem. Nie przypuszczam, żeby znała pani jego nazwisko?

— Nazywa się Egerton... Biuro Forbes, Egerton i coś tam — rzekła Bridget. — Mnóstwo nazwisk. Chyba nic nie pokręciłam.

— Rozumiem. I chciała się czegoś dowiedzieć?

— Chciała wiedzieć, ile ma pieniędzy — wyjaśniła Bridget. Nadinspektor podniósł brwi.

— Coś podobnego! — wykrzyknął. — To ciekawe. Dlaczego nie wiedziała tego?

— Ponieważ opiekunowie nie mówili jej nic o pieniądzach — wyjaśniła Bridget. — Im wydaje się, że to niedobrze wiedzieć, ile się ma pieniędzy.

— A ona chciała znać prawdę?

— Tak. Uważała to za ważne,

— Cóż, dziękuję pani — powiedział nadinspektor Davy. — Bardzo mi pani pomogła.

# Rozdział dwudziesty trzeci

Richard Egerton popatrzył jeszcze raz na służbową wizytówkę leżącą przed nim, po czym przeniósł wzrok na twarz nadinspektora.

— Dziwna sprawa — powiedział.

— Tak, proszę pana — zgodził się nadinspektor Davy. — Bardzo dziwna sprawa.

— Hotel „Bertram” — ciągnął Egerton — w takiej mgle. Tak, ostatniego wieczoru była paskudna mgła. Przypuszczam, że w takie wieczory macie masę podobnych wypadków? Wyrwanie torebek, rabunki i różne tego typu sprawy?

— To nie było tak — rzekł Tata. — Nie usiłowano niczego wyrwać pannie Blake.

— Skąd padł strzał?

— Z powodu tej mgły nie możemy być pewni. Ona sama nie umiała tego określić. Ale sądzymy — to chyba najlepsza myśl — że zabójca mógł stać na skwerku.

— Mówi pan, że strzelał dwa razy?

— Tak. Pierwszy strzał chybił. Portier przybiegł ze swego stanowiska przed hotelem i zasłonił Elwirę Blake przed drugim strzałem.

— Został trafiony zamiast niej?

— Tak.

— Dzielny facet.

— Tak — potwierdził nadinspektor. — Był dzielny. Jego akta wojskowe są bardzo dobre. Irlandczyk.

— Jak się nazywał?

— Michael Gorman.

— Michael Gorman — Egerton zmarszczył na moment brwi. — Nie. Przez chwilę wydawało mi się, że to nazwisko coś mi mówi.

— To bardzo pospolite nazwisko. W każdym razie ocalił dziewczynie życie.

— A właściwie, dlaczego przyszedł pan do mnie, nadinspektorze?



— Miałem nadzieję, że otrzymam małą informację. Lubimy wiedzieć jak najwięcej o ofiarach morderczych zamachów.

— Oczywiście. Ale, szczerze mówiąc, widziałem Elwirę tylko dwa razy od czasu, kiedy była dzieckiem.

— Ostatnio jakiś tydzień temu, kiedy złożyła krótką wizytę?

— Tak. Co właściwie chce pan wiedzieć? Jeżeli coś personalnie o niej, kim są jej przyjaciele albo chłopcy, czy coś o kłopotach zakochanych, lub tym podobnych sprawach — to lepiej pójść do którejś z kobiet. Jest pani Carpenter, która przywiozła dziewczynę z Włoch i pani Melford, u której mieszka w Sussex.

— Widziałem się z panią Melford.

— Rozumiem.

— Żadnego pożytku. Zupełnie na nic się nie zdało. A ja nie chcę szczególnie personalnych informacji. Ostatecznie widziałem ją sam i słyszałem, co może mi powiedzieć, albo raczej, co chce mi powiedzieć.

Z szybkiego ruchu brwi Egertona pojawił się, że tamten zdaje sobie sprawę ze znaczenia słowa „chce”.

— Dowiedziałem się też, że była niespokojna, zdenerwowana, obawiała się czegoś i była przekonana, że jej życie jest w niebezpieczeństwie. Czy takie wrażenie odniósł pan, kiedy tu przyszła?

— Nie — odparł Egerton wolno. — Nie chciałbym posuwać się tak daleko, choć powiedziała jedną czy dwie rzeczy, które zwróciły moją uwagę jako dziwne.

— Takie jak...?

— Chciała wiedzieć, kto odniósłby korzyść, gdyby nagle zmarła.

— Ach — powiedział nadinspektor Davy. — Więc miała na myśli tę ewentualność? Że mogłaby umrzeć nagle. Interesujące.

— Przyszło jej coś do głowy, ale nie wiem, co to było. Chciała też poinformować się, ile ma pieniędzy, a raczej, ile będzie miała, kiedy skończy dwadzieścia jeden lat.

— Sądzę, że dużo.

— To bardzo wielka fortuna, nadinspektorze.

— Jak pan myśli, dlaczego chciała o tym wiedzieć?

— O pieniądzach?

— Tak, i o tym, kto by je dziedziczył?

— Nie wiem — odparł Egerton. — Nie mam pojęcia. Poruszyła także temat małżeństwa.

— Czy odniósł pan wrażenie, że w jej życiu jest mężczyzna?

— Nie mam dowodu, ale właściwie tak pomyślałem. Czuję nieomylnie, że gdzieś w pobliżu jest chłopiec. Zazwyczaj jest! Luscombe, to znaczy, pułkownik Luscombe, jej opiekun, zdawał się nie wiedzieć nic o chłopcu. Ale zacny, stary Derek mógł o tym nie mieć pojęcia. Był zupełnie wytracony z równowagi, gdy zasugerowałem mu, że może być chłopak na tapecie i to prawdopodobnie nieodpowiedni.

— On jest nieodpowiedni.

— O, zatem wie pan, kto to jest?

— Mogę się tylko domyślać, że Ladislaus Malinowski.

— Ten rajdowiec? Coś podobnego! Przystojny ryzykant. Kobiety łatwo tracą dla niego głowę. Ciekaw jestem, jak się zetknął z Elwirą. Nie mogę pojąć, gdzie mogły się przeciąć ich drogi, ach tak, on był chyba w Rzymie parę miesięcy temu. Możliwe, że tam go spotkała.

— Bardzo prawdopodobne. A może poznała go przez swoją matkę?

— Przez Bess? To nieprawdopodobne. Davy chrząknął:

— Mówi się, że lady Sedgwick i Malinowski są bliskimi przyjaciółmi.

— Och tak, tak, znam tę plotkę. Może jest prawdziwa, może nie. Są zaprzyjaźnieni, związani przez podobny styl życia. Oczywiście Bess ma swoje romanse, choć nie jest typem nimfomanki. Ludzie zawsze są gotowi plotkować o samotnej kobiecie, ale w przypadku Bess to nie jest prawda. W każdym razie, o ile wiem, Bess i jej córka praktycznie nie znały się.

— To właśnie powiedziała mi lady Sedgwick. I pan się z tym zgadza?

Egerton skinął głową.

— A co z innymi krewnymi panny Blake?

— Praktycznie nie ma żadnych. Dwaj bracia matki zginęli na wojnie, a ona sama była jedynym dzieckiem starego Conistona. Pani Melford, choć dziewczyna nazywa ją „kuzynką Mildred”, jest naprawdę kuzynką pułkownika Luscombe. Pułkownik robił dla Elwiry bardzo wiele w swój staroświecki, skrupulatny sposób, ale to jest trudne... dla mężczyzny.

— Powiada pan, że panna Blake poruszyła temat małżeństwa? Mam nadzieję, że to niemożliwe, aby w chwili obecnej była już zamężna?

— Jest niepełnoletnia... musiałaby mieć akceptację opiekuna i powierników.

— Formalnie tak. Ale młodzi ludzie nie zawsze na to czekają — powiedział Tata.

— Wiem. Godne ubolewania. Trzeba pokonać wszystkie przeszkody związane z kuratelą sądu i całą resztą. I nawet wówczas są trudności.

— Ale kiedy już są poślubieni, to jest po takcie — rzekł Tata. — Przypuszczam, że gdyby była zamężna i nagle zmarła, dziedziczyłby jej mąż?

— Ten pomysł małżeństwa jest absolutnie nieprawdopodobny. Ona miała najtroskliwszą opiekę i... — przerwał, reagując na cyniczny uśmiech nadinspektora Davy'ego.

Jakkolwiek troskliwie Elwira była dogładana, udało się jej zawrzeć znajomość z tym wysoce nieodpowiednim Malinowskim. Powiedział więc niepewnie: — Jej matka uciekła, to prawda.

— Tak, jej matka to właśnie zrobiła, ale panna Blake jest odmiennym typem. Stawia na swoim, ale dochodzi do tego w inny sposób.

— Chyba pan nie myśli...

— Nic myślę niczego. Na razie — powiedział nadinspektor Davy.

# Rozdział dwudziesty czwarty

Ladislaus Malinowski popatrzył na obu oficerów policji, odrzucił głowę do tyłu i roześmiał się.

— To bardzo zabawne! — powiedział. — Jesteście napuszeni jak sowy. Wezwaliście mnie tu i chcecie przesłuchiwać, choć nie macie przeciw mnie nic, zupełnie nic.

— Myślimy, że może pan nam pomóc w naszym śledztwie, panie Malinowski. — Nadinspektor mówił z oficjalną uprzejmością. — Posiada pan samochód, mercedes otto, numer rejestracyjny FAN 2266.

— Czy jest jakiś powód, dla którego nie miałbym posiadać takiego wozu?

— Nie ma żadnego, sir. Jest tylko pewna niejasność co do właściwego numeru. Pański wóz był na szosie M7 i tablica rejestracyjna była wtedy inna.

— Bzdura. To musiał być inny samochód.

— Nie ma wielu egzemplarzy tego modelu. Sprawdziliśmy te, które są w kraju.

— Przypuszczam, że wierzy pan we wszystko, co powie panu policjant z drogówki? Śmiechu warte! Gdzie to się zdarzyło?

— Miejsce, w którym policjant zatrzymał pana i poprosił o pokazanie prawa jazdy, znajduje się niezbyt daleko od Bedhampton. Była to noc napadu na Irlandzki Ekspres.

— Pan mnie naprawdę rozwesela — powiedział młody człowiek.

— Ma pan rewolwer?

— Oczywiście, mam rewolwer i pistolet automatyczny. Posiadam odpowiednie zezwolenia.

— Właśnie. Oba są jeszcze w pańskim posiadaniu?

— Na pewno.

— Ostrzegłem już pana, panie Malinowski.

— Ostrzeżenie sławnego policjanta! Wszystko, co pan powie, będzie zapisane i użyte przeciw panu!

— To nie jest właściwe sformułowanie — powiedział łagodnie Tata. — Użyte, tak. Przeciw, nie. Nie chce pan zmienić swego zeznania?

— Nie chce.

— I jest pan pewien, że nie chce pan sprowadzić tu swego adwokata?

— Nie lubię adwokatów.

— Niektórzy ludzie nie lubią. Gdzie są teraz te pistolety?

— Myślę, że pan bardzo dobrze wie, gdzie są. Mały pistolet w bocznej kieszeni mego samochodu, tego mercedesa otto, którego numer rejestracyjny jest, jak pan powiedział, FAN 2266. Rewolwer leży w szufladzie w moim mieszkaniu.

— Ma pan zupełną rację co do tego w, szufladzie, w pańskim mieszkaniu — powiedział Tata — ale ten drugi, pistolet nie znajduje się w samochodzie.

— Jest tam. W lewej kieszeni. Tata potrząsnął głową.

— Może kiedyś tam był. Teraz nie. Czy to ten, panie Malinowski?

Przesunął mały, automatyczny pistolet po stole. Malinowski podniósł go z wyrazem wielkiego zdziwienia.

— Tak. To on. Więc to pan wziął go z mojego samochodu?

— Nie — odparł Tata. — Nie zabraliśmy go z pańskiego wozu. Znaleźliśmy go gdzie indziej.

— Gdzie?

— Znaleźliśmy go na skwerku przy Pond Street, która, jak pan zapewne wie, jest ulicą w pobliżu Park Lane. Mógł zostać upuszczony przez człowieka idącego, a może biegnącego tą ulicą.

Ladislaus Malinowski wzruszył ramionami:

— To nic ma nic wspólnego ze mną. Nie rzuciłem go tam. Był w moim wozie dzień czy dwa temu. Człowiek nie patrzy bez przerwy, czy coś jeszcze leży na miejscu. Zakłada, że leży.

— Czy wie pan, że z tego pistoletu zastrzelono Michaela Gormana, wieczorem 26 listopada?

— Michaela Gormana? Nie znam go.

— Portiera z hotelu „Bertram”.

— Ach tak, ten, który został zastrzelony. Czytałem o tym. I powiada pan, że z mojego pistoletu? Nonsens!

— To nie nonsens. Badali go eksperci od balistyki. Wie pan dosyć na temat broni palnej, aby zdawać sobie sprawę, że ich orzeczenie jest wiarygodne.

— Próbuje mnie zrobić. Wiem, co wyczynia policja.

— Myślę, że zna pan lepiej policję tego kraju.

— Sugeruje pan, że zastrzeliłem Michaela Gormana?

— Na razie prosimy tylko o złożenie zeznań. Oskarżenia nie wniesiono.

— Ale pan uważa, że ja zastrzeliłem tę komiczną figurę w wojskowym przebraniu. Po co miałbym to zrobić? Nie byłem mu winien pieniędzy, nie miałem z nim na pieńku.

— Strzelano do młodej damy. Gorman pobiegł ochronić ją i dostał drugą kulą w pierś.

— Młoda dama?

— Młoda dama, którą pan zna. Panna Elwira Blake.

— Mówi pan, że ktoś chciał zastrzelić Elwirę z mojego pistoletu?

W jego głosie brzmiało niedowierzanie.

— Mogliście się posprzeczać.

— Ma pan na myśli, że pokłóciłem się z Elwirą i strzeliłem do niej? Co za obłąd! Czemu miałbym zabić dziewczynę, którą zamierzam poślubić?

— Czy to część pańskiego zeznania? To, że zamierza pan poślubić pannę Blake?

Tylko przez moment Ladislaus wahał się. Potem powiedział, wzruszając ramionami:

— Ona jest jeszcze bardzo młoda. To rzecz do dyskusji.

— A może obiecała wyjść za pana, a potem zmieniła zdanie? Jest ktoś, kogo się obawiała. Czy to pan, panie Malinowski?

— Czemu ja właśnie miałbym chcieć, żeby umarła? Albo jestem zakochany i chcę się ożenić, albo nie chcę się żenić i nie muszę. Więc po co miałbym ją zabijać?

— Nie ma zbyt wielu osób w jej otoczeniu, które pragnęłyby tego. — Davy odczekał moment i ciągnął niedbale. — Jest, oczywiście, jej matka.

— Co? — Malinowski podskoczył. — Bess? Bess zabija własną córkę? Pan oszalał! Z jakiego powodu Bess miałaby to zrobić?

— Może dlatego, że jako najbliższa krewna odziedziczyłaby olbrzymią fortunę.

— Bess? Pan uważa, że Bess potrafiłaby zabić dla pieniędzy? Ona ma forsy pod dostatkiem od tego swojego amerykańskiego męża. W każdym razie wystarczająco dużo.

— Wystarczająco dużo to nie to samo co ogromna fortuna — powiedział Tata. — Ludzie popełniają morderstwa dla wielkiej fortuny, znane są matki, które zabiły dzieci i dzieci, które zabiły z tego samego powodu swoje matki.

— Mówię panu, że pan oszalał!

— Powiada pan, że chce się pan ożenić z panną Blake. A może już się to stało? Jeżeli tak, to pan byłby tym, który dziedziczy wielki majątek.

— Co za zwariowane idiotyzmy pan wygaduje! Nie, nie ożeniłem się z Elwirą. To śliczna dziewczyna. Lubię ją, a ona jest zakochana we mnie. Tak, przyznaję. I nic ponadto, rozumie pan?

— Doprawdy? Przed chwilą oświadczył pan zupełnie stanowczo, że jest kobietą, z którą zamierza się pan ożenić.

— Ach to!

— Właśnie. Czy to prawda?

— Mówiłem o ślubie, ponieważ brzmiało to poważniej. Jesteście w Anglii, w kraju tak pruderyjnym...

— To mało prawdopodobne tłumaczenie.

— Pan nie rozumie niczego. Jej matka i ja jesteśmy kochankami. Nie chciałem tego powiedzieć — i zamiast tego zasugerowałem, że córka i ja jesteśmy zaręczeni. To brzmi właściwie i po angielsku.

— Dla mnie ta wersja jest jeszcze bardziej naciągana. Pan potrzebuje gwałtownie pieniędzy, co?

— Drogi inspektorze, ja zawsze potrzebuję pieniędzy. To bardzo smutne.

— A jednak parę miesięcy temu, o ile się orientuję, wyrzucał pan pieniądze bardzo beztrosko.

— Miałem szczęśliwą passę. Jestem graczem. Przyznaję to.

— Łatwo uwierzyć. A gdzie pan miał tę „passę”?

— Tego nie powiem. Niech się pan tego nie spodziewa.

— Nie spodziewam się.

— To wszystko, o co miał mnie pan spytać?

— W tej chwili tak. Zidentyfikował pan pistolet jako swój. To nam bardzo pomoże.

— Nie rozumiem... Nie mogę pojąć... — przerwał i wyciągnął rękę. — Proszę mi go dać.

— Obawiam się, że musimy go zatrzymać, więc napiszę panu pokwitowanie.

Wręczył kwit Malinowskiemu, który wyszedł, trzaskając drzwiami.

— Facet z temperamentem — orzekł Tata.

— Nie pocisnął go pan w sprawie tych fałszywych tablic i Bedhampton?

— Nie. Chciałem go wyprowadzić z równowagi. Ale nie za bardzo. Będziemy mu dawkować po jednym denerwującym pytaniem, albo fakcie, na raz. A on już jest zaniepokojony.

— Stary chce widzieć pana, sir, jak tylko będzie pan mógł.

Nadinspektor Davy skinął głową i ruszył w drogę do pokoju sir Ronalda.

— Ach! Tata. Robisz postępy?

— Tak. Idzie nieźle. Sporo ryb w sieci, przeważnie drobnych. Ale zbliżamy się do dużych sztuk. Wszystko jest w porządku...

— Dobrze się spisujesz, Fred — powiedział sir Ronald.



# Rozdział dwudziesty piąty

# I

Panna Marple wysiadła z pociągu na londyńskiej stacji Paddington i zobaczyła tęgą posiac nadinspektora Davy'ego, stojącą na peronie w oczekiwaniu na jej przyjazd.

— To bardzo uprzejmie z pani strony — powiedział wzięwszy ją pod rękę i przeprowadził przez kontrolę do oczekującego samochodu. Kierowca otworzył drzwi, panna Marple wsiadła, nadinspektor za nią i samochód odjechał.

— Dokąd mnie pan zabiera, nadinspektorze?

— Do hotelu „Bertram”.

— O Boże, znowu hotel „Bertram”. Dlaczego?

— Oficjalna odpowiedź brzmi: ponieważ policja uważa, że może pani pomóc w śledztwie.

— Słowa wydają mi się znajome, ale trochę złowieszcze. Są często wstępem do aresztowania, prawda?

— Nie zamierzam pani aresztować, panno Marple — uśmiechnął się Tata. — Ma pani alibi.

Panna Marple przetrwała to w milczeniu. Potem powiedziała: — Wiem.

Przyjechali do hotelu „Bertram” milcząc. Kiedy weszli, panna Gorringe spojrzała zza biurka, ale Tata pilotował pannę Marple prosto do windy.

— Drugie piętro.

Winda wjechała na górę i nadinspektor ruszył korytarzem, a kiedy otworzył drzwi numeru 18, panna Marple zauważyła:

— To ten sam pokój, w którym mieszkałam.

— Rzeczywiście — odparł Tata. Panna Marple usiadła w fotelu.

— Bardzo wygodny pokój — stwierdziła, rozglądając się z lekkim westchnieniem.

— Na pewno wiesz tu, co to jest komfort.

— Wygląda pan na zmęczonego, nadinspektorze — powiedziała niespodziewanie panna Marple.

— Musiałem się trochę pokręcić po kraju. Prawdę mówiąc, właśnie wróciłem z Irlandii.

— Doprawdy? Z Ballygowlan?

— A skąd, u diabła, pani wie o Ballygowlan? Przepraszam, proszę wybaczyć.

Panna Marple uśmiechnęła się wyrozumiale.

— Pewnie Michael Gorman przypadkowo powiedział pani, że pochodzi stamtąd, czy tak?

— Niezupełnie tak — odparła panna Marple.

— Zatem, proszę wybaczyć moją dociekliwość, ale skąd się pani dowiedziała?

— Och. To jest naprawdę krępujące. No, po prostu zdarzyło mi się coś podsłuchać.

— Rozumiem.

— Nic jestem wścibska. A to stało się w miejscu publicznym. Przyznaję szczerze, że lubię słuchać, co ludzie mówią. Każdy lubi. Szczególnie, kiedy się jest starym i nie porusza się wiele. Chcę powiedzieć, że zazwyczaj jeśli ludzie rozmawiają w pobliżu, to się słucha.

— Wydaje mi się to zupełnie naturalne — zgodził się Tata.

— W pewnym sensie tak. Jeżeli ktoś nie zniża głosu, to musi być przygotowany, że ktoś go podsłucha. Oczywiście może się zdarzyć, że ludzie rozmawiają w miejscu publicznym, nie wiedząc, że jest tam ktoś jeszcze. Wtedy trzeba się zdecydować, co robić. Wstać i zakaszleć, czy siedzieć spokojnie i mieć nadzieję, że nikt nie zda sobie sprawy z obecności trzeciej osoby. Oba sposoby są kłopotliwe.

Nadinspektor spojrział na zegarek:

— Chwileczkę. Chętnie posłucham więcej o tym, ale lada moment przyjedzie kanonik Pennyfather. Muszę pójść i przyjąć go. Pozwoli pani?

Panna Marple odparła, że pozwala i nadinspektor wyszedł.

## II

Kanonik Pennyfather wszedł przez wahadłowe drzwi do hallu hotelu „Bertram”. Zmarszczył się lekko, zastanawiając się, co się zmieniło u „Bertrama”. Może hotel został odmalowany lub przebudowany? To nie było to, ale istotnie coś się zmieniło. Kanonikowi nie przyszło na myśl, że uderzyła go różnica między wysokim na sześć stóp niebieskookim i ciemnowłosym portierem, a mierzącym pięć stóp i siedem cali odźwiernym z pochyłymi ramionami, piegami i rudawą strzechą włosów, sterczącą spod czapki. Wiedział tylko, że coś jest inaczej. Ze zwykłym roztargnieniem powędrował do recepcji. Panna Gorringe była na miejscu i powitała go.

— Kanonik Pennyfather. Jak miło pana widzieć. Przyszedł ksiądz odebrać swój bagaż? Jest przygotowany. Gdyby tylko zawiadomił nas pan, wysłalibyśmy go pod wskazany adres.

— Dziękuję — powiedział kanonik — dziękuję pani bardzo. Zawsze jest pani ogromnie miła, panno Gorringe.

Ale skoro przyjechałem dzisiaj tak czy owak do Londynu, pomyślałem, że mogę sam wpaść po walizki.

— Byliśmy bardzo niespokojni o księdza — rzekła panna Gorringe. — Nie można było pana znaleźć. Czy to był wypadek samochodowy?

— Tak — odparł kanonik. — Tak. Ludzie jeżdżą dzisiaj zbyt szybko. Bardzo niebezpiecznie. Ale nie pamiętam z tego wiele. Wstrząs mózgu, powiada doktor. Kiedy człowiek starzeje się, jego pamięć... — potrząsnął smutno głową. — A jak pani się miewa, panno Gorringe?

— O, bardzo dobrze.

W tym momencie uderzyło kanonika, że panna Gorringe również zmieniła się. Przyjrzał się jej badawczo, próbując dociec, na czym polegała różnica. Włosy? Były takie same jak zwykle. Może nawet trochę bardziej kędzierzawe. Czarna suknia, wielki medalion, broszka z kameą. Wszystko jak zwykle. Lecz była jakaś różnica. Może zeszczupiała? A może... tak, na pewno, wyglądała na zaniepokojoną. Kanonik Pennyfather nieczęsto zauważał, że ludzie są poruszeni; nie był człowiekiem dostrzegającym emocje innych, ale dziś uderzyło go to, ponieważ panna Gorringe od wielu lat prezentowała gościom niezmiennie to samo oblicze.

— Mam nadzieję, że nie jest pani chora? — zapytał troskliwie. — Wygląda pani trochę blado.

— Mieliśmy sporo zmartwieli.

— Doprawdy? Przykro mi to słyszeć. Mam nadzieję, że nie z powodu mego zniknięcia?

— O nie — odparła panna Gorringe. — Oczywiście niepokoiłiśmy się, ale jak tylko usłyszeliśmy, że znalazł się ksiądz cały... — przerwała i westchnęła: — Nie. Chodzi o to... pisano o tym w

gazetach. Gorman, nasz portier, został zabity.

— Ach, tak. Teraz sobie przypominam. Czytałem wzmiankę, że mieliście tutaj morderstwo.

Panna Gorringe zadrżała na dźwięk słowa morderstwo.

— Okropne — skomentowała — okropne. Czegoś takiego nigdy nie było u „Bertrama”. To nie jest hotel, w którym zdarzają się morderstwa.

— Nie, nie, na pewno — potwierdził szybko kanonik.

— Jestem pewien, że nie. Nigdy nie przyszłoby mi to do głowy.

— Naturalnie to nie stało się wewnątrz hotelu — rzekła panna Gorringe, trochę pocieszona, kiedy ten aspekt sprawy dotarł do niej. — To było na zewnątrz, na ulicy.

— Więc to naprawdę nie ma nic wspólnego z wami — przyszedł jej z pomocą kanonik. Najwyraźniej nie powiedział tego, co trzeba.

— Ale to jest związane z hotelem. Musieliśmy znosić tu policję wypytującą ludzi, ponieważ zastrzelono naszego portiera.

— A więc stąd wziął się ten nowy człowiek przed hotelem! Wie pani, od razu wydało mi się, że coś się tu zmieniło.

— Tak, nie sądzę, żeby był odpowiedni. Nie jest w naszym stylu. Oczywiście musieliśmy szybko znaleźć kogoś.

— Przypomniałem sobie teraz tę historię — powiedział kanonik, zbierając trochę niejasnych wspomnień o tym, co czytał w gazecie przed tygodniem. — Myślałem jednak, że to dziewczynę zastrzelono.

— Ma pan na myśli córkę lady Sedgwick? Pewnie widział ją pan tutaj z jej opiekunem, pułkownikiem Luscombe. Została napadnięta przez kogoś we mgle. Przypuszczam, że chcieli jej wyrwać torebkę. W każdym razie strzelili do niej, a później Gorman, który był żołnierzem i człowiekiem o dużej przytomności umysłu, podbiegł, zasłonił ją i został zabity, biedaczysko.

— Bardzo smutne, naprawdę — powiedział kanonik potrząsając głową.

— To spowodowało okropne komplikacje — pożałowała się panna Gorringe. — Policja stale się tutaj kręci. Można się było tego spodziewać, ale nie lubimy zamieszania, choć muszę przyznać, że nadinspektor Davy i sierżant Wadell mają bardzo nobliwy wygląd. Zwyczajne ubrania i bardzo dobry styl bycia, a nie te buty i płaszcze deszczowe, jakie widzi się w filmach. Zupełnie podobni do nas.

— Eee... tak — odpowiedział kanonik.

— Czy musiał pan pójść do szpitala? — dowiadywała się panna Gorringe.

— Nie. Pewni dobrzy ludzie, prawdziwi Samarytanie, chyba ogrodnik z żoną, zabrali mnie do siebie i ta pani pielęgnowała mnie, aż wróciłem do zdrowia. Jestem im naprawdę ogromnie wdzięczny. To takie pokrzepiające odkryć, że istnieje jeszcze na świecie ludzka życzliwość. Prawda?

Panna Gorringe odparła, że to bardzo krzepiące.

— Po tym, co się czyta o wzroście przestępczości — dodała — o tych okropnych młodych ludziach i dziewczynach napadających na banki, rabujących pociągi i czyhających na ludzi. O, nadinspektor Davy schodzi do hallu. Sądzę, że chce mówić z panem.

— Nie rozumiem, o co mu chodzi — powiedział kanonik zakłopotany. — Widział się już ze mną w Chadminster. Był bardzo rozczarowany, że nic umiałem powiedzieć mu nic użytecznego.

— Nie?

Kanonik potrząsnął smutno głową:

— Nie zdołałem sobie niczego przypomnieć. Wypadek zdarzył się w pobliżu miejscowości zwanej Bedhampton i naprawdę nie mogę pojąć, co tam robiłem. Nadinspektor uparczywie pytał mnie, skąd się tam wzięłem, a ja nie potrafiłem tego wyjaśnić. Bardzo dziwne, prawda? Wydawało mu się chyba, że prowadziłem samochód z okolicy stacji kolejowej do plebanii.

— To bardzo prawdopodobne — zauważyła panna Gorringe.

— Wcale nie — odparł kanonik. — Dlaczego miałbym jeździć po okolicy, której zupełnie nie znam?

Nadinspektor Davy podszedł do nich.

— A więc jest ksiądz — powiedział. — Czuje się ksiądz zupełnie dobrze?

— Tak — odparł kanonik — ale wciąż miewam bóle głowy. I zalecają mi nie pracować zbyt wiele. Nadal jednak nie przypominałem sobie tego, co powinienem i doktor mówi, że to może nie nastąpić nigdy.

— No, nie należy tracić nadziei. — Davy zabrał kanonika z recepcji. — Chcę, żeby ksiądz wziął udział w małym eksperymencie. Czy wasza wielbność zechce mu pomóc?

Kiedy nadinspektor otworzył drzwi pokoju 18, panna Marple ciągle siedziała w fotelu przy oknie.

— Dużo dziś ludzi na ulicy — zauważyła. — Więcej niż zwykle.

— Cóż, to jest przejście do Berkeley Street i Shepherd's Market.

— Nie mam na myśli przechodniów, tylko ludzi robiących różne rzeczy — naprawiających drogi, telefony, stoi wóz z masami, kilka prywatnych samochodów...

— I co — jeśli mogę spytać — wnioskuje pani z tego?

— Nie powiedziałam, że wnioskuje cokolwiek.

Tata przyjrzał się jej uważnie. Potem powiedział:

— Chcę, żeby mi pani pomogła.

— Naturalnie. Dlatego tu jestem. Co mam robić?

— Chodzi o to, żeby zrobiła pani dokładnie to samo, co w nocy dziewiętnastego listopada. Spała pani, obudziła się, być może z powodu jakiegoś niezwykłego hałasu. Zapaliła pani światło, wstała z łóżka, otworzyła drzwi i wyjrzała. Może pani powtórzyć te czynności?

— Na pewno — powiedziała panna Marple. Wstała i podeszła do łóżka.

— Chwileczkę.

Nadinspektor zapukał w ścianę, oddzielającą sąsiedni pokój.

— Musi pan zrobić to mocniej — zauważyła panna Marple. — Budynek wzniesiono z bardzo solidnych materiałów.

Nadinspektor podwoił siłę uderzeń.

— Poleciałem kanonikowi, żeby liczył do dziesięciu — rzekł patrząc na zegarek. — Teraz! Niech pani rusza.

Panna Marple dotknęła elektrycznej lampy, spojrzała na wyimaginowany zegarek, wstała, podeszła do drzwi, otworzyła je i wyjrzała. Po prawej stronie wychodził z pokoju kanonik Pennyfather, kierując się ku schodom. Panna Marple wciągnęła głęboko powietrze. Zawróciła.

— I co? — zapytał Davy.

— Mężczyzna, którego widziałam tamtej nocy, to nie był wielebny Pennyfather — oświadczyła panna Marple. — Oczywiście, jeżeli teraz wyszedł z pokoju kanonik.

— Wydawało mi się, że pani mówiła...

— Wiem. Wyglądał jak kanonik Pennyfather. Włosy, ubranie i reszta. Ale nie szedł tak samo. Sądzę... sądzą, że to musiał być młodszy mężczyzna. Ogromnie mi przykro, że wprowadziłam pana w błąd, ale to nie wielebnego Pennyfathera widziałam tamtej nocy. Jestem tego zupełnie pewna.

— Naprawdę jest pani tym razem całkiem pewna?

— Tak — odpowiedziała. — I przepraszam za wprowadzenie w błąd.

— Była pani bardzo bliska prawdy. Kanonik Pennyfather wrócił tamtej nocy do hotelu. Nikt nie widział go wchodzącego — ale nic dziwnego, skoro było to po północy. Wszedł schodami, otworzył drzwi do swego pokoju i przekroczył próg. Co zobaczył, lub co się wtedy zdarzyło, nie wiemy, ponieważ nie potrafi, czy nie chce nam powiedzieć. Gdybyśmy tylko mogli poruszyć w jakiś sposób jego pamięć...

— Jest takie niemieckie słowo — rzekła panna Marple w zamyśleniu.

— Jakie niemieckie słowo?

— O Boże, zapomniałam w tej chwili, ale... Rozległo się pukanie do drzwi.

— Mogę wejść? — zapytał kanonik. — Czy jest pan zadowolony?

— Całkowicie — odparł Tata. — Mówiłem właśnie panie Marple... czy zna ksiądz pannę Marple?

— O tak — powiedział kanonik, trochę niepewny czy zna ją, czy nie.

— Właśnie opowiadałem panie Marple, jak udało się nam ustalić, że tamtej nocy wrócił ksiądz do hotelu po północy, udał się na górę, otworzył drzwi, wszedł...

Panna Marple wydała okrzyk:

— Przypomniałam sobie to niemieckie słowo. *Doppelgänger!*\*

Kanonik Pennyfather uderzył się dłonią w czoło:

— Ależ oczywiście, jasne! Jak mogłem zapomnieć? Ma pan rację. Po tym filmie *Mury Jerycha* wróciłem do hotelu, wszedłem na górę, otworzyłem drzwi i zobaczyłem — to niesłychane! — zobaczyłem siebie samego siedzącego w fotelu i patrzącego na mnie. Jak pani mówi, *Doppelgänger*. Jakie to osobliwe! A potem... zaraz... — Podniósł oczy, zastanawiając się.

— A potem wystraszyli się na widok księdza śmiertelnie, ponieważ byli pewni, iż jest ksiądz właśnie w Lucernie i ktoś stuknął waszą wielebność w głowę.



# Rozdział dwudziesty szósty

Kanonik Pennyfather pojechał taksówką do British Museum. Nadinspektor usadowił pannę Marple w hallu: — Czy nie zechciałaby poczekać na niego dziesięć minut? — Nie miała nic przeciw temu. Z przyjemnością skorzystała z okazji, aby usiąść, rozejrzeć się i pomyśleć.

Hotel „Bertram”. Tak wiele wspomnień... Przeszłość stopiła się z terażniejszością. Przypomniało się jej francuskie powiedzenie: *Plus ça change, plus c'est la même chose*. Odwróciła zdanie. *Plus c'est la même chose, plus ça change*\*. Oba są prawdziwe, pomyślała.

Czuła się smutna ze względu na hotel „Bertram” i ze względu na siebie. Ciekawe, czego jeszcze chce od niej nadinspektor. Wyczuwała, że jest podniecony bliskim osiągnięciem celu. Był człowiekiem, którego plany zaczynają owocować. To był dzień D\* nadinspektora Davy.

Życie u „Bertrama” biegło zwykłym torem. Nie, zdecydowała panna Marple, nie tak jak zwykle. Istniała różnica, choć nie umiała określić, na czym polega. Może ukryty niepokój? Drzwi wahadłowe otworzyły się i tym razem wielki mężczyzna o wyglądzie farmera podszedł do miejsca, w którym siedziała panna Marple.

— Gotowa? — zapytał grzecznie.

— Dokąd zabiera mnie pan teraz?

— Idziemy złożyć wizytę lady Sedgwick.

— Mieszka tutaj?

— Tak. Z córką.

Panna Marple wstała. Mruknęła rozglądając się dookoła:

— Biedny „Bertram”.

— Co pani ma na myśli?

— Sądzę, że pan dobrze wie, o czym myślę.

— Cóż, patrząc z punktu widzenia pani, może wiem.

— Zawsze jest smutne, gdy trzeba zniszczyć dzieło sztuki.

— Pani nazywa to miejsce dziełem sztuki?

— Oczywiście. Pan również.

— Rozumiem, co pani chce powiedzieć.

— To tak, jakby cały wypielęgnowany ogród zarósł panu czarnym bzem. Nie można nic zrobić poza wykarczowaniem wszystkiego.

— Nie znam się dobrze na uprawie ziemi. Ale zmienmy metaforę na „usunąć zgniliznę”, a zgodzę się.

Wjechali windą i poszli korytarzem do narożnego apartamentu lady Sedgwick i jej córki.

Nadinspektor Davy zapukał, głos odpowiedział „proszę wejść” i Tata wszedł, mając za sobą pannę Marple.

Bess Sedgwick siedziała przy oknie, w fotelu z wysokim oparciem. Na kolanach miała książkę, ale nie czytała jej.

— Więc to znowu pan, nadinspektorze — jej oczy skierowały się ku panie Marple. Wydawała się trochę zdziwiona.

— To jest panna Marple — wyjaśnił Davy. — Panna Marple — lady Sedgwick.

— Poznałam już panią — powiedziała Bess. — Siedziała pani kiedyś z Seliną Hazy, prawda? Proszę usiąść — dodała. Potem zwróciła się do nadinspektora. — Czy ma pan jakieś wiadomości o człowieku, który strzelał do Elwiry?

— Na razie nic, co mogłaby pani nazwać nowiną.

— Wątpię, czy kiedykolwiek coś pan zdobędzie. W takiej mgle wychodzą różni rabusie i czatują na idące samotnie kobiety.

— To prawda — rzekł Tata. — Jak się ma pani córka?

— Elwira czuje się dobrze.

— Jest tutaj z panią?

— Tak. Zadzwoiłam do pułkownika Luscombe. Był zachwycony, że chcę przejąć opiekę — uśmiechnęła się nagle. — Kochany staruszek. Zawsze usilnie namawiał mnie do zamieszkania z córką.

— Może miał rację — zauważył Tata.

— O nie, nie miał. Ale w tym momencie uważam to za najlepsze rozwiązanie. — Zwróciła głowę do okna i powiedziała zmienionym tonem. — Słyszałam, że aresztował pan mojego przyjaciela, pana Malinowskiego. Pod jakim zarzutem?

— Nie aresztowałem go — poprawił ją Tata. — Pomaga nam tylko w śledztwie.

— Wysłałam mego adwokata, aby zajął się nim.

— Bardzo mądrze — powiedział Tata aprobowując. — Każdy, kto ma kłopoty z policją, robi bardzo roztropnie, biorąc adwokata. Inaczej może łatwo powiedzieć coś niewłaściwego.

— Nawet, jeśli jest całkowicie niewinny?

— Może jest to nawet bardziej konieczne w takim przypadku.

— Jest pan dosyć cyniczny, prawda? W związku z czym pan go przesłuchiwał, jeśli mogę zapytać? A może nie wolno mi?

— Przede wszystkim chcieliśmy dowiedzieć się, co robił tej nocy, kiedy zginął Michael Gorman.

Bess Sedgwick wyprostowała się gwałtownie w swoim fotelu.

— Czyżby wpadł pan na śmieszny pomysł, że Ladislaus strzelał do Elwiry? Oni nawet się nie znali.

— Mógł to zrobić. Jego samochód stał właśnie za rogiem.

— Bzdura! — powiedziała lady Sedgwick energicznie.

— Czy strzelanina tamtej nocy bardzo panią przestraszyła?

Wydawała się lekko zdziwiona.

— Naturalnie, byłam zdenerwowana, że moja córka ledwie uszła z życiem. A czego się pan spodziewał?

— Nie o tym myślałem. Chodzi mi o śmierć Michaela Gormana; czy poruszyła panią?

— Jest mi bardzo przykro z tego powodu. Był dzielny człowiekiem.

— I to wszystko?

— Czego jeszcze pan oczekiwał?

— Znała go pani, prawda?

— Oczywiście. Pracował tutaj.

— Jednak znała go pani trochę lepiej.

— Co ma pan na myśli?

— No, lady Sedgwick. Był przecież pani mężem, czyż nie?

Nie odpowiadała parę chwil, chociaż nie okazała wzruszenia ani zaskoczenia.

— Widzę, że wie pan dużo —: westchnęła i odchyliła się w fotelu. — Nie widziałam go od, zaraz, od bardzo wielu lat. Od dwudziestu, nie, więcej niż dwudziestu. I wyjrzawszy pewnego dnia przez okno, nagle zobaczyłam Micky'ego.

— A on, także poznał panią?

— To zaskakujące, ale rozpoznaliśmy się — powiedziała Bess. — Byliśmy razem tylko około tygodnia. Potem moja rodzina dopadła nas, przepłaciła Micky'ego, a mnie zabrała do domu jako tę, która zhańbiła ród.

Westchnęła znowu:

— Byłam bardzo młoda, kiedy z nim uciekłam. Bardzo niewiele wiedziałam o życiu. Po prostu głupia dziewczyna, z głową pełną romantycznych fantazji. Był dla mnie bohaterem, głównie z powodu świetnego stylu konnej jazdy. Nie znał strachu. I był przystojny, wesoły, z tą swoją irlandzką wymową... Myślę, że tak naprawdę to ja uciekłam z nim. Wątpię, czy jemu przyszłoby to do głowy. Ale byłam dzika, uparta i zakochana do szaleństwa! —potrząsnęła głową. — To nie trwało długo... Pierwsze dwadzieścia cztery godziny wystarczyły, aby mnie otrzeźwić. Pił, był ordynarny i brutalny. Byłam wdzięczna mojej rodzinie, kiedy odnalazła i zabrała mnie. Nigdy później nic chciałam go widzieć ani słyszeć o nim.

— Czy pani rodzina wiedziała, że zdążyliście się pobrać?

— Nie.

— Nie powiedziała im pani tego?

— Nie sadziłam, że jestem zamężna.

— Jak to się stało?

— Pobraliśmy się w Ballygowlan, ale kiedy moja rodzina odnalazła nas, Micky przyszedł do mnie i powiedział, że małżeństwo było lipne. On i jego przyjaciele sfabrykowali to, tak mówił. Wówczas wydało mi się to rzeczą zupełnie naturalną. Czy chciał pieniędzy, czy obawiał się, że złamał prawo, poślubiając nieletnią, nie wiem. W każdym razie nie wątpiłam ani przez moment, że mówi prawdę — przynajmniej wtedy.

— A później?

Wydawała się pogrążona w myślach.

— To zdarzyło się... och, wiele lat później, kiedy wiedziałam trochę więcej o życiu i przepisach prawnych.

Nagle przyszło mi do głowy, że może mimo wszystko wzięłam ślub z Michaeliem Gormanem.

— Żalem w rzeczywistości, kiedy wyszła pani za lorda Conistona, popełniła pani bigamię.

— I kiedy poślubiłam Johnny'ego Sedgwicka i mego amerykańskiego męża Ridgewaya Beckera — popatrzyła na nadinspektora i roześmiała się ze szczerym rozbawieniem.

— Tyle bigamii! To bardzo śmieszne,

— Nie myślała pani nigdy o przeprowadzeniu rozwodu?

Wzruszyła ramionami:

— Cała sprawa z Michaelem wydawała się głupim snem. Po co miałam to odgrzebywać? Oczywiście, powiedziałam Johnny'emu — głos jej zmiękł i złagodniał, kiedy wymawiała jego imię.

— A co on na to?

— Nie obchodziło go to. Ani Johnnie, ani ja, nie byliśmy legalistami.

— Bigamia powoduje pewne sankcje karne, lady Sedgwick.

Spojrzała na niego i zaśmiała się.

— Któż chciałby się zajmować czymś, co zdarzyło się w Irlandii, tyle lał temu? Sprawa została zakończona. Micky wziął swoje pieniądze i odszedł. Och, czy pan nie rozumie? To był mały, głupi incydent, o którym chciałam zapomnieć. Odłożyłam go na bok, razem z wieloma sprawami, które nie miały znaczenia w moim życiu.

— A potem — rzekł Tata spokojnym głosem — pewnego dnia, w listopadzie, Michael Gorman odnalazł się i zaczął panią szantażować?

— Nonsens! Kto powiedział, że on mnie szantażował?

Oczy Taty zwróciły się powoli ku starej damie, siedzącej cicho w swoim fotelu.

— Pani? — Bess Sedgwick wlepiła oczy w pannę Marple. — A cóż pani wie o tym?

W jej głosie brzmiało więcej zdziwienia niż oskarżenia.

— Fotele w tym hotelu mają bardzo wysokie oparcia — powiedziała panna Marple. — Są bardzo wygodne. Siedziałam w jednym z nich, przed kominkiem w gabinecie. Właśnie wypoczywałam przed wyjściem któregoś ranka. Pani weszła i pisała list. Przypuszczam, że nie wiedziała pani o obecności jeszcze kogoś w pokoju. I w ten sposób słyszałam pani rozmowę z tym człowiekiem, Gormanem.

— Pani słuchała?

— Naturalnie — odparła panna Marple. — Dlaczego nie? To było miejsce publiczne. Kiedy pani podniosła okno i zawołała tego człowieka, nie miałam pojęcia, że to będzie prywatna rozmowa.

Bess wpatrywała się w nią przez chwilę, potem skinęła wolno głową.

— Rozumiem — rzekła. — Ale mimo wszystko źle pani pojęła to, co usłyszała. Micky nie szantażował mnie. Może o tym myślał, ale ostrzegłam go, zanim spróbował.

— Szeroki uśmiech, który pojawił się na jej twarzy sprawił, że stała się niemal sympatyczna. — Odstraszyłam go.

— Tak — odparła panna Marple. — Prawdopodobnie udało się to pani. Zagroziła mu pani zastrzeleniem. Załatwiła to pani, jeśli nie zabrzmiało impertynencko, naprawdę bardzo dobrze.

Bess Sedgwick uniosła brwi z rozbawieniem.

— Nie byłam jednak jedyną osobą, słuchającą tej rozmowy — ciągnęła stara dama.

— Boże miłosierny! Czyżby cały hotel słuchał?

— Drugi fotel był także zajęty.

— Przez kogo?

Panna Marple zacisnęła wargi. Spojrzała na nadinspektora i było to spojrzenie wręcz błagalne. „Jeżeli trzeba to zrobić — mówią jej oczy — niech pan to zrobi. Ja nie mogę...”

— W drugim fotelu siedziała pani córka — powiedział Davy.

— Och nie! — ten okrzyk wyrwał się jej gwałtownie.

— Och nie! Nie Elwira! Rozumiem... Tak, rozumiem. Musiała pomyśleć...

— Myślała o tym wystarczająco poważnie, aby pojechać do Irlandii i odkryć prawdę. To nie było trudne.

Bess Sedgwick powtórzyła cicho:

— Och nie... — A potem: — Biedne dziecko!... Nawet nie spytała mnie o nic. Dusiła wszystko w sobie. Gdyby tylko wspomniała o tym, mogłam jej wszystko wyjaśnić, przekonać, że to nieważne.

— Może nic zgodziłaby się z panią — zaproponował nadinspektor. — To dziwna rzecz — ciągnął niemal jak stary farmer rozprawiający o swojej ziemi i inwentarzu.

— Po wielu latach prób i błędów nauczyłem się nie wierzyć szablonowi, jeżeli jest prosty. Proste szablony są często zbyt dobre, aby były prawdziwe. Model morderstwa popełnionego tamtej nocy był następujący. Dziewczyna mówi, że ktoś strzelił do niej i chybił. Portier przybiegł na ratunek i dostał drugą kulę. To może być prawda. Możliwe, że dziewczyna widziała to w taki sposób. Jednak w rzeczywistości wypadki mogły przebiegać całkiem odmiennie.

Przed chwilą stwierdziła pani dosyć gwałtownie, że nie istniał powód, dla którego Ladislaus Małinowski miałby nastawać na życie pani córki. Tak, zgadzam się. Nie miał motywu. Jest młodym człowiekiem, który może pokłócić się z kobietą, wyciągnąć nóż i ugodzić ją. Ale nie sądzę, żeby schował się w ogródku, czekał i zastrzelił z zimną krwią. Przypuśćmy jednak, że chciał zabić kogoś innego. Słysząc krzyki i strzały — ale to, co się naprawdę zdarzyło, to śmierć Michaela Gormana. Przypuśćmy, że o to właśnie chodziło. Malinowski planuje to bardzo starannie. Wybiera mglistą noc, ukrywa się na skwerku i czeka, aż nadejdzie pani córka. Wie, że nadejdzie, bo się z nią umówił. Strzela. Nie zamierza trafić dziewczyny. Jest ostrożny, nie posyła kuli blisko niej, lecz ona uważa, że to zamach na nią. Krzyczy. Portier z hotelu słysząc strzał i krzyk, biegnie w dół ulicy i wtedy Malinowski strzela do osoby, którą naprawdę chce zabić. Jest to Michael Gorman.

— Nic wierzę ani słowu tej historii! Czemu, na Boga, Ladislaus chciałby zastrzelić Micky'ego Gormana?

— Może mały szantaż... — powiedział Tata.

— Pan jest zdania, że Ladislaus był szantażowany przez Micky'ego? Z jakiego powodu?

— Być może — odparł Tata — z powodu rzeczy, które dzieją się w hotelu „Bertram”. Gorman mógł odkryć wiele z tych spraw.

— Rzeczy, które dzieją się w hotelu „Bertram”? Co pan ma na myśli?

— To był niezły gang — rzekł nadinspektor. — Dobre planowanie, znakomite wykonanie. Jednak nic nie trwa wiecznie. Panna Marple spytała mnie kiedyś, co tutaj jest nie w porządku. Teraz odpowiem na to pytanie. Hotel „Bertram” jest w rzeczywistości kwaterą główną jednego z największych i najlepszych syndykatów zbrodni, jaki istniał od lat.

# Rozdział dwudziesty siódmy

Przez długą chwilę trwała cisza. Polem odezwała się panna Marple:

— Jakie to interesujące — powiedziała tonem salonowej konwersacji.

Bess Sedgwick zwróciła się do niej:

— Nie wygląda pani na zaskoczoną.

— Bo nie jestem. Naprawdę nie. Działo się tu zbyt wiele dziwnych rzeczy, które nie pasowały do rzeczywistości. Wszystko było za gładkie, aby mogło być prawdziwe, jeśli rozumie pani, co mam na myśli. To, co w kołach teatralnych nazywa się dobrą inscenizacją. Bo to była inscenizacja, nie rzeczywistość.

— Zdarzało się mnóstwo drobnych incydentów; ludzie spotykali przyjaciół czy znajomych — i stwierdzali, że to pomyłka.

— To normalne — wtrącił nadinspektor Davy — tutaj jednak zdarzało się za często. Prawda, panno Marple?

— Owszem — zgodziła się. — Takie osoby jak Selina Hazy, mylą się często. Przytrafiało się to jednak zbyt wielu ludziom. Nie można było tego nie zauważyć.

— Ta dama spostrzegła masę rzeczy — powiedział nadinspektor do lady Sedgwick, jakby panna Marple była jego ulubionym tresowanym psem.

Bess Sedgwick odwróciła się do niego gwałtownie:

— Co pan ma na myśli, mówiąc że to miejsce jest główną kwaterą syndykatu zbrodni? Powiedziałabym, że hotel „Bertram” jest najbardziej szacownym miejscem na świecie.

— Naturalnie — odparł Tata. — Tak właśnie miało być. Zużyto masę czasu, pieniędzy i pomysłowości, aby takie wrażenie stworzyć. Prawda i fałsz są tu zmieszane bardzo sprytnie. Macie w Henrym znakomitego aktora, prowadzącego spektakl. Macie tego Humfriesa, niezwykle wiarygodnego faceta. Nie notowany w kraju, ale za granicą był wmieszany w kilka raczej dziwnych interesów hotelowych. Jest tu kilku bardzo dobrych aktorów charakterystycznych, grających różne role. Przyznam, że nie mogę się oprzeć uczuciu wielkiego podziwu dla całej tej struktury. To kosztuje kraj masę pieniędzy. Przyprawia Urząd Śledczy i policję prowincjonalną o ból głowy. Za każdym razem, kiedy już zdawało się nam, że docieramy do czegoś, okazywało się, że to oderwany przypadek. Pracowaliśmy jednak nad tą układanką: kawałek stąd, fragment stamtąd. Garaż, gdzie trzyma się stopy tablic rejestracyjnych, kierujących uwagę na dowolnie wybrany samochód. Firma posiadająca wozy meblowe, chłodnie, furgonetkę ze sklepu spożywczego, nawet jeden czy dwa



falszywe wozy pocztowe. Rajdowiec z wozem wyścigowym, pokonujący ogromne odległości w niewiarygodnie krótkim czasie, oraz stary ksiądz, trzęsący się w wiekowym morrisie oksford. Domek ogrodnika, udzielającego w razie potrzeby pierwszej pomocy, mającego kontakt z uslužnym lekarzem. Nie muszę tego kontynuować. Rozgałęzienia wydają się nieskończone. To jedna połowa. Zagraniczni goście, przyjeżdżający do „Bertrama”, to druga. Przeważnie z Ameryki lub dominiów. Ludzie bogaci, poza wszelkimi podejrzeniami, przybywający z masą luksusowych bagaży i wyjeżdżający z masą luksusowych bagaży, które wyglądają tak samo, ale nie są identyczne. Bogaci turyści, przybywający do Francji, nie niepokojeni nadmiernie przez urząd celny, ponieważ celnicy nie naprzykrzają się tym, którzy przynoszą krajowi pieniądze. Te same osoby nie podróżują za często. Zawodnicy muszą się zmieniać. Nikomu z nich nie można niczego łatwo udowodnić, ale wszystkich w końcu przyłapiemy. Robimy początek. Na przykład Cabotowie...

— Co z Cabotami? — spytała ostro Bess.

— Pamięta ich pani? Bardzo mili Amerykanie, naprawdę bardzo sympatyczni. Mieszkali tu w zeszłym roku i znowu zawitali w tym. Nie przyjechaliby tu trzeci raz. Nikt nie przechodzi trzeci raz tej samej próby. Tak, aresztowaliśmy ich w Calais. Ten kufer, który mieli z sobą, to dobrze wykonana skrytka. Mieścił lekko ponad trzysta tysięcy funtów, pochodzących z rabunku pociągu w Bedhampton. Oczywiście, to kropla w morzu.

Hotel „Bertram”, muszę to wreszcie powiedzieć, jest główną kwaterą całej organizacji! Połowa personelu w tym tkwi. Niektórzy goście również. Pewni klienci nie są tymi, za których się podają. Na przykład, prawdziwi Cabotowie są właśnie teraz na Jukatanie. Urządzono też zabawę z identyfikacją. Weźmy sędziego Ludgrove. Znana twarz, kartoflowaty nos z brodawką. Łatwe do odtworzenia. Kanonik Pennyfather. Łagodny ksiądz z prowincji, z wielką, białą czupryną, niezwykle roztargniony. Jego zachowanie, sposób patrzenia znad okularów są bardzo łatwe do imitowania przez dobrego aktora.

— Ale jaki był z tego pożytek? — zapyła Bess.

— Naprawdę, pyta mnie pani? Czy to nie oczywiste? Sędziego Ludgrove widziano w pobliżu miejsca napadu na bank. Ktoś rozpoznaje go, wspomina o tym. Idziemy tym tropem. Wszystko okazuje się pomyłką. Sędzia był w tym czasie gdzie indziej. I ani przez chwilę nie uważaliśmy tego za „świadome wprowadzenie w błąd”. Nikt nie był niepokojony tylko z powodu podobieństwa do poszukiwanego człowieka. Bo i nie był. Zmywał makijaż i kończył swoją rolę. Cała operacja sprowadzała się do robienia zamieszania. Raz mieliśmy sędziego Sądu Najwyższego, kiedy indziej archidiakona, admirała, generała — a wszyscy byli widziani na miejscu przestępstwa.

— Po rabunku pociągu w Bedhampton, użyto co najmniej czterech pojazdów, zanim przewieziono łup do Londynu. Brał w tym udział samochód wyścigowy prowadzony przez Malinowskiego, staroświecki daimler z admirałem, fałszywa ciężarówka metal boks i morris oksford, kierowany przez starego księdza, ze strzechą białych włosów. Wspaniała operacja, znakomicie zaplanowana.

Ale pewnego dnia gang miał pecha. Roztargniony, stary ksiądz kanonik Pennyfather pomylił dzień swego lotu, a zawrócony z lotniska zabłąkał się na Cromwell Road, poszedł do kina, wrócił do hotelu po północy, udał się do swojego pokoju, od którego klucz miał w kieszeni, otworzył drzwi i

wszedł do środka. Przeżył największy szok swego życia, gdy ujrzał siebie samego, siedzącego na krześle naprzeciwko drzwi! Ostatnią rzeczą, jakiej gang się spodziewał, był wchodzący do pokoju kanonik Pennyfather, który miał siedzieć bezpiecznie w Lucernie. Jego dubler był właśnie gotowy do startu, aby odegrać swoją rolę w Bedhampton, kiedy wszedł autentyczny kanonik. Nie wiedzieli, co robić, ale jeden z członków bandy miał szybki refleks. Sądzę, że był to Humfries. Uderzył staruszka w głowę i ten upadł nieprzytomny. Myślę, że ktoś był wściekły z tego powodu i bardzo niezadowolony. Kiedy jednak po zbadaniu księdza stwierdzili, że jest tylko ogłuszony i prawdopodobnie przyjdzie do siebie dopiero po kilkunastu godzinach, kontynuowali swój plan. Fałszywy kanonik wyszedł z pokoju i pojechał na miejsce akcji, gdzie miał odegrać swoją rolę w sztafecie. Co zrobiono z prawdziwym kanonikiem, mogę tylko zgadywać. Przypuszczam, że został zabrany tej samej nocy i wywieziony samochodem blisko domku ogrodnika, niedaleko miejsca napadu, gdzie mógł się nim zająć lekarz. Zatem gdyby pojawiły się pogłoski, że w pobliżu widziano kanonika Pennyfathera, wszystko pasowałoby znakomicie. Musiał to być niespokojny okres dla zainteresowanych, te godziny, zanim ksiądz odzyskał przytomność i stwierdzono, że trzy dni zostały wymazane z jego pamięci.

— Czy w przeciwnym razie zabiliby go? — spytała panna Marple.

— Nie — odparł Tato. — Nie sądzą. Ktoś tego nie chciał. Od początku wydawało się jasne, że ten, kto stoi na czele, ma obiekcje przed popełnieniem morderstwa.

— To brzmi fantastycznie — powiedziała lady Sedgwick — zupełnie fantastycznie. I nie wierzę, że ma pan jakiegokolwiek dowody, łączące Ladislausa z tym bajdurzeniem.

— Mam mnóstwo dowodów przeciw panu Malinowskiemu — rzekł Davy. — Wie pani, że on jest nieostrożny. Płacze się tam, gdzie nie powinien. Przy pierwszej okazji dowiódł swego związku z pani córką. Mieli umówiony szyfr.

— Nonsens. Mówiła panu, że go nie zna.

— To nieprawda. Jest w nim zakochana. Chce wyjść za niego.

— Nie wierzę w to!

— Pani nie może o tym wiedzieć — zwrócił uwagę nadinspektor. — Malinowski nie jest człowiekiem opowiadającym swoje sekrety, a córki nie zna pani wcale. Przyznała to pani sama. Kiedy Malinowski przyszedł do hotelu „Bertram”, była pani wściekła.

— Dlaczego?

— Ponieważ to pani jest mózgiem całej szajki — powiedział Tato. — Pani i Henry. Stronę finansową prowadzi bracia Hoffmanowie. Oni załatwiają sprawy z bankami kontynentalnymi, rachunki i tak dalej, ale szefem syndykatu, centrum planowania i uruchamiania jest pani, lady Sedgwick.

Bess popatrzyła na niego i roześmiała się.

— Nigdy nie słyszałam czegoś tak zabawnego!

— O nie, to wcale nie jest śmieszne. Pani ma rozum, odwagę i tupet. Próbowала pani niemal wszystkiego, zanim zdecydowała się na zbrodnię. Lubi pani silne emocje, duże ryzyko. To nie pieniądze pociągały panią, raczej uciecha z kolejnych wyczynów. Nie była pani jednak zwolenniczką zabijania, ani używania przemocy. Żadnego mordowania, żadnych brutalnych napaści, ot, co najwyżej spokojne, celne stuknięcie w głowę, jeśli to konieczne. Jest pani niezwykle interesującą kobietą. Jedną z niewielu naprawdę fascynujących, wielkich kryminalistek.

Parę chwil trwała cisza. Potem Bess wstała.

— Myślę, że pan zwariował — sięgnęła po telefon.

— Zamierza pani zadzwonić po adwokata? To słuszne, zanim się powie za dużo.

Gwałtownym mchem rzuciła słuchawkę na widełki.

— Zresztą — nienawidzę adwokatów... Dobrze. Niech będzie. Kierowałam tym interesem. Tak, miał pan rację mówiąc, że to była uciecha. Kochałam każdą minutę. To dopiero była zabawa, zagarnianie pieniędzy z banków, pociągów, urzędów pocztowych i tak zwanych karetek! Planowanie i decydowanie było zabawne; wspaniałe emocje i jestem zadowolona, że je przeżyłam. Tak długo dzban wodę nosi... To właśnie chciał pan powiedzieć? Cóż, nacieszyłam się za swoje pieniądze! Ale myli się pan sądząc, że Ladislaus Malinowski zabił Michaela Gormana. On tego nie zrobił. To ja. — Zaśmiała się nagle wysokim, podnieconym śmiechem.

— Mniejsza o to, co zrobił, czym mi groził... Powiedziałam, że go zastrzelę — panna Marple słyszała — i zastrzeliłam. Zrobiłam większość tego, o co posądzał pan Ladislausa. Ukryłam się na skwerku. Kiedy Elwira przeszła, oddałam strzał na chybił trafił, a gdy krzyknęła i Micky nadbiegł, miałam go na widelcu i dostał za swoje! Oczywiście dysponowałam kluczami do wszystkich wejść hotelowych. Wśliznęłam się przez boczne drzwi i wróciłam do mego pokoju. Nigdy nie przyszło mi do głowy, że pójdziecie śladem pistoletu aż do Ladislausa, że będziecie go podejrzewać. Broń zabrałam po kryjomu z jego samochodu, ale mogę pana zapewnić, że bez zamiaru rzucania na niego podejrzenia.

Zwróciła się do panny Marple.

— Proszę pamiętać — jest pani świadkiem mojego zeznania. Ja zabiłam Gormana.

— A może twierdzi pani tak, bo jest zakochana w Malinowskim? — podsunął Davy.

— Nie jestem — zareplikowała ostro. — Jestem jego bliską przyjaciółką, to wszystko. Och tak, okresowo byliśmy kochankami, ale zakochana w nim nie jestem. Przez całe życie kochałam tylko jedną osobę, Johna Sedgwicka — jej głos znowu zmiękł i złagodniał.

— Jednak Ladislaus jest moim przyjacielem. Nic chcę wrabiać go w coś, czego nie zrobił. Zabiłam Michaela Gormana. Powiedziałam to i panna Marple słyszała... A teraz, drogi nadinspektorze Davy — jej głos podniósł się w podnieceniu i śmiechu — złap mnie, jeśli potrafisz!

Szerokim zamachem wybiła szybę słuchawką telefoniczną i zanim Tata podniósł się, była już na zewnątrz, prześlizgując się szybko po wąskim parapecie. Davy, z zadziwiającą przy jego tuszy szybkością, podbiegł do innego okna i podniósł jego dolną szybę. Jednocześnie dmuchnął w gwizdek wyjęty z kieszeni.

Panna Marple wstała z nieco większą trudnością i po chwili dołączyła do niego. Razem wpatrywali się w parapet fasady hotelu „Bertram”.

— Spadnie! Wspina się po rynnie! — wykrzyknęła panna Marple. — Ale czemu pnie się do góry?

— Idzie na dach. To jej jedyna szansa i ona o tym wie. Dobry Boże, niech pani patrzy. Wspina się jak kot. Wygląda jak mucha na ścianie. Ryzykuje!

Panna Marple mamrotała z przymkniętymi oczami:

— Spadnie. Nie uda się jej...

Kobieta, którą obserwowali, znikła z pola widzenia. Tata cofnął się w głąb pokoju. Stara dama spytała:

— Czy nie chce pan pójść i... Tata potrząsnął głową.

— Co mogę zdziałać przy mojej tuszy? Wydałem moim ludziom polecenie, żeby byli przygotowani na taką ewentualność. Wiedzą, co robić. Za parę minut dowiemy się... Nie zdziwiłbym się, gdyby wywiodła w pole wielu policjantów! — westchnął. — Szalona kobieta. Mamy kilka takich w każdym pokoleniu. Nie dają się oswoić, włączyć w społeczeństwo, nakłonić do życia zgodnie z prawem i porządkiem. Jeśli są święte, idą pielęgnować trędowatych, lub giną męczeńską śmiercią w dżungli. Jeżeli są złe, większość popełnia okropności, o jakich pani nie słyszała. A czasem są właśnie szalone! Byłoby szczęściem, gdyby urodziły się w innym stuleciu, kiedy każdy działał na własną rękę, każdy walczył o przetrwanie. Stale otacza je ryzyko, niebezpieczeństwo i dlatego zagrażają innym. Taki świat im odpowiada, czują się w nim, jak ryby w wodzie. Nasza rzeczywistość jest dla nich nie do zniesienia. I one do niej nie należą.

— Czy pan wie, co ona zamierza?

— Tak naprawdę, to nie wiem. Do jej talentów należy między innymi robić rzeczy nieoczekiwane. Musiała coś wykombinować. Wiedziała, co się święci. Więc siedziała patrząc na nas, podtrzymując rozmowę i zastanawiała się. Intensywnie myślała i planowała. Przypuszczam... ach... — przerwał na nagły dźwięk startera. Rozległ się pisk opon i ryk silnika wyścigowego wozu. Wychylił się z okna: — Wymknęła się. Dorwała swój samochód.

Rozległ się głośniejszy pisk, kiedy przechylony wóz skręcił na dwóch kołach, potężny ryk i piękny, biały samochód popędził ulicą.

— Zabije kogoś — powiedział nadinspektor. — Zabije wielu ludzi, nawet jeśli nie zabije siebie.

— Myśle... — zaczęła panna Marple.

— Oczywiście jest dobrym kierowcą. Piekielnie dobrym. Uff, niewiele brakowało.

Warkot wyścigowego wozu, oddalającego się z głośnym trąbieniem, słyszalny był coraz słabiej, już nie zagłuszał krzyków, odgłosów strzałów, hamowania, samochodowych sygnałów i pisku hamulców, na koniec doszedł ich uszu skowyt opon i grzmiący wybuch...

— Rozbiła się — stwierdził Tata. Stał bardzo spokojnie, czekając z cierpliwością, charakterystyczną dla jego wielkiej postaci. Panna Marple milczała, oparta o fotel. Wtem jakieś okrzyki przebiegły ulicą, jak sztafeta. Mężczyzna z przeciwnej strony ulicy popatrzył na nadinspektora i wykonał kilka szybkich gestów.

— Tak. Rozbiła się — westchnął ciężko Davy. — Nie żyje! Wpadła na ogrodzenie parku z szybkością dziewięćdziesięciu mil na godzinę. Nie ma innych ofiar, nie licząc pani drobnych kontuzji. Prowadziła wspaniale. Tak, nie żyje. — Wrócił w głąb pokoju i popatrzył na pannę Marple: — Cóż, zdążyła złożyć zeznanie. Słyszała pani.

— Tak — odparła stara dama. — Słyszałam — a po chwili: — To nie była prawda, rzecz jasna — dodała spokojnie.

— Nie uwierzyła jej pani, co?

— A pan?

— Nie — odparł. — To nie była prawdziwa historia. Wymyśliła to tak, że fakty niby się zgadzały, ale to nie była prawda. Nie zastrzeliła Gormana. Czy wpadła pani na to, kto to zrobił?

— Jasne — rzekła panna Marple. — Dziewczyna.

— O! A kiedy zaczęła się pani domyślać?

— Podejrzewałam to od początku.

— Tak jak ja — rzekł Tata. — Tamtej nocy była pełna przerażenia. To, co zeznawała, było nędznym kłamstwem. Jednak początkowo nie mogłem dostrzec motywu.

— Mnie to też intrygowało — powiedziała panna Marple. — Odkryła, że jej matka jest bigamistką, ale żeby popełniać morderstwo z tego powodu? Nie w dzisiejszych czasach! Przypuszczam, że chodziło o pieniądze.

— Tak, pieniądze — potwierdził nadinspektor. — Ojciec zostawił jej kolosalną fortunę. Gdy odkryła, że matka wzięła ślub z Gormanem, uprzytomniła sobie, że małżeństwo z Conistonem nie było legalne. Pomyślała, że nie otrzyma pieniędzy, gdyż nie jest dzieckiem z prawego łoża. Wie pani, że była w błędzie. Mieliśmy już podobny wypadek. To zależy od sformułowania testamentu. Coniston zostawił jej majątek zupełnie wyraźnie, wymieniając ją z imienia i nazwiska. Dostałaby wszystko, ale nie wiedziała tego. I nie zamierzała wypuścić takiej forszy z rąk.

— Dlaczego potrzebowała tak bardzo pieniędzy? Nadinspektor Davy powiedział ponuro:

— Żeby kupić Malinowskiego. Ożeniłby się z nią dla pieniędzy. Bez nich — nigdy. Dziewczyna nie była głupia. Wiedziała o tym. Pragnęła go jednak bez względu na wszystko. Była rozpaczliwie zakochana.

— Wiem — wyjaśniła panna Marple. — Widziałam jej twarz tamtego dnia, w Battersea Park...

— Zdawała sobie sprawę, że mając pieniądze dostanie go, a bez pieniędzy straci — powiedział Tata. — Wobec tego zaplanowała morderstwo z premedytacją. Nie ukrywała się, rzecz jasna, na skwerku. Tam nie było nikogo. Po prostu stojąc przy ogrodzeniu strzeliła i krzyknęła, a kiedy Gorman nadbiegł, strzeliła mu prosto w pierś. Potem znowu zaczęła krzyczeć. Panowała nad sobą. Nie miała pojęcia, że obciąża Malinowskiego. Wzięła jego pistolet, gdyż był to jedyny łatwy sposób zdobycia broni, a nie przyszło jej do głowy, że on może być podejrzany o zbrodnię, albo że jest gdzieś w sąsiedztwie tego wieczora. Myślała, że uznamy wypadek za próbę rabunku we mgle. Tak, była spokojna. Ale już po wszystkim bała się. I matka obawiała się o nią.

— A teraz, co pan chce zrobić?

— Wiem, że zabiła go, ale nie mam dowodów. Może dopisze jej szczęście nowicjusza... Nawet prawo zdaje się stosować zasadę, by pozwolić psu ugryźć raz — przekładając rzecz na język potoczny. Doświadczony obrońca potrafiłby zrobić wielki spektakl z tak łatwego materiału — młoda dziewczyna, niewłaściwe wychowanie, a, jak pani wie, ona jest piękna.

— Tak — powiedziała panna Marple. — Dzieci Lucyfera często są piękne. I, jak wiemy, rosną jak zielony wawrzyn.

— Prawdopodobnie jednak nie dojdzie do procesu — nie ma dowodów. Proszę pomyśleć o sobie: zostanie pani wezwana jako świadek, świadek tego, co mówiła jej matka, świadek wyznania zbrodni?

— Wiem — odparła panna Marple. — Wymogła to na mnie, prawda? Wybrała swoją śmierć za cenę wolności córki. To jakby życzenie umierającej...

Drzwi prowadzące do sypialni otworzyły się. Weszła Elwira Blake. Była ubrana w prostą, jasnoniebieską suknię. Złote włosy zwisały po obu stronach twarzy. Wyglądała jak jeden z aniołów na płótnach wczesnego renesansu włoskiego. Patrzyła to na jedno, to na drugie. Powiedziała:

— Słyszałam samochód, huk, krzyjących ludzi... Czy zdarzył się wypadek?

— Przykro mi zawiadomić panią, panno Blake — zaczął nadinspektor oficjalnie. — Pani matka nie żyje.

Elwira wstrzymała oddech: — Och nie — szepnęła. To był nieśmiały, niepewny protest.

— Przed ucieczką, bo to była ucieczka, przyznała się do zamordowania Michaela Gormana.

— Ma pan na myśli, że to była ona...

— Tak — odparł Davy. — Tak właśnie powiedziała.

— Czy ma pani coś do dodania?

Elwira patrzyła na niego długą chwilę. Bardzo lekko potrząsnęła głową.

— Nie — zaprzeczyła. — Nie mam nic do dodania.

— Odwróciła się i wyszła.

— No? — zapytała panna Marple — i pozwoli jej pan tak odejść?

Nastąpiła pauza, potem Tata uderzył pięścią w stół.

— Nie! — krzyknął. — Na Boga, nie!

Panna Marple skinęła poważnie głową.

— Niech Bóg się zlituje nad jej duszą — szepnęła cichutko.

---

\* C.I.D. (Criminal Investigating Department) — Urząd Śledczy dla Spraw Kryminalnych w Scotland Yardzie (przyp. tłum.)

\* *Doppelgänger* (niem.) — sobowtór (przyp. tłum.).

\* *Plus ça change...* Im więcej zmian, tym więcej dawnego. *Plus c'est...* Im więcej dawnego, tym więcej zmian (przyp. tłum.)

\* Dzień D — dzień inwazji aliantów w Normandii, 4 czerwca 1944 r.; przenośnie dzień decydującej rozgrywki (przyp. tłum.)